# PRZYBŁĘDY.

Do Mieczysława Pawlikowskiego.

*Opowiadaniem mi o „Łusi" stworzyłeś „Przybłędy." Bierz-że je, jakiemi są, a gdy przyjmiesz tak serdecznie jak „Łusię," przybędzie mi w życiu parę szczęśliwych chwil.*

Autor.

## I.

Chałupka drewniana, ludzie mówią, że więcéj w niéj gliny, niż drzewa. Ciemna słoma na jéj dachu obleka się w grube, a zielone, ułożone do cienia plastry mchu. I chociaż są delikatne, świecące jak aksamit, mimo to, jakieś ponure zgrzybiałą starością. Niewielkie okna pochylają się ku sobie, bo téż i ściana radaby się położyć do snu, wysłużyła swoje... I pewno ległaby na zielonéj murawie, gdyby nie dwa dębowe klocki, które silnemi ramiony podtrzymują staruszkę. Okna malutkie, lecz za to drzwi duże, a próg wysoki...

Na progu siedział chłopiec w przepasanéj rzemykiem koszuli. Łokcie sparł o kolana, ręce podłożył pod brodę i patrzał z obojętnością dziecka, na zielone błonie, ciemną na błoniu wodę rozlaną w szeroki staw, piaszczyste, świecące od promieni słońca wzgórze i u jego stóp młode, karłowate choinki. Na skłonie widnokręgu majaczały granatowe góry, okryte niebieską mgłą. Widział je chłopiec, lecz na nie nie patrzał, bo nie myślał o nich.

Smutno w naturze, bo choć słońce świeci, promienie jego padają na biały, umarły piasek, usychające drzewka i pożółkłą od słońca trawę. Pomimo że słońce świeci, woda zawsze tu ciemna, nad wodą parę czarnych wron, i nikogo więcéj. Pasterze pognali bydło na Nowe Zajmy, i było dziś cicho, a zawsze jakoś tu pusto.

Młody chłopiec w koszuli przepasanéj rzemykiem patrzał na ponury krajobraz, nie pragnąc piękniejszych widoków. Pewno nie

wiedział, że są piękniejsze, i gdyby je widział, nie zwróciłby na to uwagi. Przyrodę sądził z jéj obfitości na ośmiu zagonach żyznych piasków, które były własnością jego matki, i z wydajności mleka jednéj krowy, któréj dziś nie pasał.

Matusia poszli na jarmark z prosięciem, musiał zostać, aby domu pilnować. Zresztą nie lubiał pasać na Nowych Zajmach, bo mu tam Kuba dokuczał, chociaż on nic mu złego nie robił. A tu na błoniu mógł uskarżyć się matusi, i ta go broniła jak mogła.

Jeść mu się chciało, od śniadania nic nie miał w ustach, a słonko już się na drugą stronę przechyliło. Zimno mu było, pewno z głodu, dlatego był smutny i zamyślony. I myślałby długo, gdyby nie stara kura, widocznie obrażona jego apatyą, nie zaczęła go dziobać po chudéj nodze.

— A cóż ci dam, kiej sam nie mam nic—szepnął chłopiec do kury, która tłómaczenie chłopca starała się zagłuszyć gdakaniem, nie przestając go dziobać.

Chłopiec zasłonił nożyny koszulą.

— Matusia zaparli izbę, to i zkąd ci wezmę? Czekaj, czekaj, zaraz wrócą— pocieszał jak mógł towarzyszkę.

Pociecha wypowiedziana kurze zwróciła myśl chłopca na obwarzanek, kukiełkę i dwa jabłka. Jedna z tych wybornych rzeczy pewnie go nie minie. Marzenia jego puściły się w tym kierunku, tymczasem zrozpaczona z głodu kura, rozgrzebywała pazurami piasek, chwytając dziobem grudki wapna.

Nadzieja zwolna wstępowała w serce głodnego dziecka od chwili, gdy z za lasu zaczęli ukazywać się ludzie, wracający z jarmarku. Przechodziła Smoleńka, ciągnąc na powrózku kupioną krowę.

— A wieleście-ta za nią dali? spytał naiwnie chłopak.

— A tobie co do tego?—odparła zamożna gospodyni. Patrzajcie go, dodała cicho, przybłęda jakiś...

Chłopiec na tak szorstką odpowiedź zamilkł i posmutniał.

Wracali ludzie, lecz już ich nie zaczepiał.

Chata stała na samym końcu wsi, i dlatego ludzie wracając z jarmarku koło niéj przechodzili.

Szedł za drugimi Franek Skowron, podpił sobie, bo czapkę przechylił na bakier, utykał troszkę, lecz minę miał zamaszystą i hardą.

— Matuś nie wrócili jeszcze, odezwał się do chłopca.

— A coby mieli wrócić, odparło obojętnie dziecko.

— Słuchajno Jaś, zawołał Franek, twoja matka głupia jak ta kura. Pokazał nogą na kurę.

— A bo co? spytał chłopiec.

— A bo co? powtórzył Franek, 27-letni smukły, choć silnie zbudowany chłop. Bo głupia i już! Przepijałem do niéj dwa razy, to się ino odwróciła.

Franek tupnął nogą ze złości, zachwiał się i poszedł daléj.

— Cóż to, rozmawiał ze sobą idąc, ja gospodarski syn, z dziada gospodarza, a ona co?... A Bóg ją wié... Ja chłop jak się patrzy, a ona co?...

Idąc stawał, zamyślał się, rozkładał rękami, aż znikł wśród chat.

Chłopiec obojętnie przyjął opinią Franka o swéj matce, zamyślony o kukiełce, obwarzanku i dwóch jabłkach. Stara kura jak żołnierz na czatach, zaczęła coraz głośniéj gdakać i trzepotać skrzydłami. Znał on trzepotanie skrzydeł staréj kury, i dlatego się zerwał, stanął na progu, spiął się na palcach, i wytężył wzrok, a oczy miał ciemne i duże...

— Matuś! zawołał i całym pędem cienkich, bosych nóg, poleciał... Kura pogalopowała za nim, lecz rychło stanęła, wyostrzyła dziób o kamień i oglądając się wracała poważnie, aby dogodne zająć stanowisko.

Na powitanie syna matka przykucnęła do ziemi, roztworzyła ramiona. Chłopiec dobywał w biegu wszystkich sił, nareszcie ostatnie dwa susy i już był w objęciach matki.

Powitanie choć serdeczne, lecz krótkie, bo chłopcu pilno było zajrzéć do koszyka matki. Spojrzał i oczy mu się zaiskrzyły; w koszyku rumieniły się dwa jabłka, tuż przy nich leżały obwarzanek i kukiełka. Przebierając nogami z niecierpliwości wydobywał wszystko razem.

— A matusi nic nie zostawisz? spytała kobiéta.

Chłopiec ze smutną miną oddał jéj jedno jabłko, obwarzanek wsunął na rękę, a kukiełkę zaczął z chciwością głodnego zębami obrabiać, podskakując z nogi na nogę.

Matka tymczasem siadłszy na murawie rozwijała powoli zawiniątko, z którego po chwili wyjrzała czworograniasta czerwona czapka z czarnym barankiem. Twarz chłopca oblała się rumieńcem, usta otworzył, a ręce wyciągnął... Matka włożyła mu czapkę na głowę, chłopiec ją zdjął, oglądając na wszystkie strony.

— I nie podziękujesz matusi? zapytała się dziecka kobiéta, wyciągając rękę do pocałowania.

Jaś prędko przytknął usta do ręki matki i cały oddał się swemu szczęściu. Czapka chłopca czerwieniła się wśród promieni słońca rumieniąc mu buzię, a twarz matki promieniała radością i dumą.

Wracali razem oboje, depcząc miękką murawę. Przed niemi wioska, za niemi ciemny las, a na południu granatowe góry zamykały świat.

Targ udał się wybornie, dwoje prosiąt sprzedała gospodyni nadspodziewanie dobrze.

— Ale-bo co téż to były, moje dziecko, za prosięta! zawołała matka.

— A ino, odparł syn, galante, a tłuściutkie.

— A wiesz Jasiu, żem się za niemi spłakała, bo tak kwiczały żałośliwie i tak się obzierały za mną, gdy je rzeźnik brał...

— A coby nie, zauważył chłopiec, abo to u nas miały krzywdę?

— A jaki był targ, ludzi mrowie, i dlatego wszystko było drogo. Ziemniaki rozdrapywali. Za moję miarkę dostałam 4-ry szóstki, i za nie kupiłam piechoty... (1).

— Będziewa sadzić, matusiu, zawołał chłopiec.

— Jutro!

— Skoro słonko wzejdzie.

Wracali razem oboje. Przed niemi biegła nadzieja, bo natura uśmiechała się wiosną, a oni uśmiechali się do życia. Tak mało mieli potrzeb, a tak drobne życzenia. Parę ciepłych promieni słońca, kilka kropli deszczu na ośm zagonów piasku. Czyż to tak wiele? Parę uśmiechów dobrych ludzi i dużo, dużo spokoju i ciszy. Czyż to tak wiele?

Przed chałupą kura gdacząc biegała na przywitanie z miejsca na miejsce. Psa jeszcze nie było.

Drzwi do izby zostały otwarte, piérwsza wleciała kokosza i póty się darła, póki jéj gospodyni nie rzuciła garstki kartofli.

Nareszcie matka i syn byli u siebie, łóżko zasłane pierzynką, ława przy oknach, stół czysto wymyty; przy drugiéj ścianie skrzynka. Komin obielony, w kącie przy drzwiach konewka i miotła. Tuż obok na półce miski i parę garnków, nad łóżkiem obraz Matki Boskiéj i pod nim kolorowany żurnal mód, znaleziony przez Jasia przy ogrodzie dworskim.

Nie było czasu na czułości. Matka oprócz jabłka darowanego jéj przez chłopca nic jeszcze nie jadła, zwyczajnie żałowała dla siebie. Syn z uśmiechem radości i podziwu rozkładał na stole jarmarczne sprawunki: perkal na koszule i chustkę na głowę dla matki.

Kobiéta w przelocie tylko rzucała spojrzenia na perkal i chustkę, rozpalając żywo ogień. Na żur nie mieli ochoty, bo były kar-

---

(1) Groch, fasola, piechotą zwany.

tofle z omastą, i na uroczystość dobrego targu zacierka na wodzie, również omaszczona słoniną.

Matka siadła na ławce, chłopiec na stole w czerwonéj czapce, któréj nie zdejmował, i razem ubierając po troszku ziemniaków i polewki z kluskami, jedli powoli, gwarząc o kłopotach dnia, a wielkich nadziejach na przyszłość.

Podjedli sobie wyśmienicie! Syn obtarł rękawem usta i wybiegł, chcąc koniecznie czerwoną swą czapkę pokazać na wsi. Matka wyszła do chlewków, w których było jeszcze trzy sztuki prosiaków i sześć gęsi schowanych, aby w szkodę nie weszły. Kaczki żerowały po czarnéj wodzie błonia. Było więc nad czém się kłopotać.

Chłopiec w czerwonéj czapce mocno naciągniętéj, powoli, po za płotami, mijając chaty, ścieżkami koło zbóż, skradał się nieśmiało. Był troszkę dziki i ludzi się bał, bo téż go i ludzie nie kochali. Dlaczego? Nie myślał o tém. Taka już była jego dola.

Za szóstą chatą znalazł drogę do wsi, na szerokość dwóch kół, których ślady głęboko wbiły się w darń. Przy drodze rosła wierzba; urwał z niéj wić i nabrawszy odwagi, lekkim kłusem wbiegł w środek wsi.

— Przybłęda w czerwonéj czapce! wołali zdaleka chłopcy, goniąc za nim. Jaś przyśpieszył troszkę kłusa, lecz nie uciekał.

— Przybłęda stój, wołali. Jaś biegł nie oglądając się.

Rozgniewani chłopcy, nie lubiąc Przybłędy, a bojąc się do niego doskoczyć z powodu wici, którą wywijał tryumfująco, zaczęli rzucać grudami ziemi. Pociski padały przed nim i z boku; chłopiec się nie oglądał i nie przyśpieszał biegu; był dumny i zadowolniony z siebie.

Nareszcie pociski rzedniały, i w końcu ustały zupełnie. Chłopiec dotarł do przedostatniéj chaty, a widząc dzieci siedzące na przyzbie, zwolnił biegu.

Było ich sześcioro wdowy Płonczyny, Płonczynkami zwane. W téj gromadce Jaś był dobrze widziany i nie tylko że się nie bał, lecz często nawet rej w niéj wodził.

Dzieci go otoczyły, chłopiec stanął i podparł się pod boki.

— Jaś, bój się Boga, a zkądeś ty taką galantą czapkę wziął, pierwsza zawołała Nastka, trzymając najmłodsze z dzieci na rękach.

— Matsia z jarmarku przynieśli, była odpowiedź.

— Jaka ci galanta, wołały dzieci.

Trzymany chłopiec na rękach Naści wyciągał ręce do czapki, Jaś zdjął ją z głowy i podał malcowi. Nastka obejrzawszy ją dokumentnie, włożyła na głowę brata, z czego było dużo uciechy.

— To twoja matsia już wrócili, a naszéj ani widu, a tak się nam jeść chce, mówiła Naścia.

— Nie zostawiła-to wam ziemniaków, spytał Jaś.

— Ziemniaków, a dyć u nas przednowek. Jest tam może tego drobiazgu jeszcze ze trzy ćwierci, to je chowają dla wieprzka.

Jaś został stanowczo przekonany argumentem Naści i zamyślił się.

— A jadłybyście żur? rzucił pytanie.

— Dyćby my glinę gryzły, kiej i gliny nie ma, zawołała żałośliwie Naścia.

Wyrażenie to dziewczynki nie było oryginalne, Naścia je wzięła od matki, i w tém tylko jéj zasługa, że je odpowiednio zastosowała.

Jaś się namyślał, dzieci niespokojnie wpatrywały się w jego oczy czekając wyroku.

— Chodźcie, rzekł z pewną dumą i stanowczością.

Na to hasło dwoje dzieci ująwszy się za ręce pobiegło naprzód, młodsze schwyciło się rączką spódniczki Naści, i tak razem pomaszerowano na żur, do chaty Przybłędy. Jaś szedł tuż obok Naści i ciąż wywijał wicią, często dawał baczenie, na czerwoną czapkę umieszczoną na głowie najmłodszego Płonczynki.

— Wiesz co Jasiu, że nasza łysa potargała dziś rano postronek, tak się jéj chciało na błonie, przemówiła Naścia.

— A co nie miała potargać, pewno był z pakuł i już, zdecydował Jaś.

— Ale! z pakuł ci tam z pakuł, postronek był jak się patrzy. Matsia mówi, że to wróży urodę na bydło.

Stanęli przed chatą na błoniu. Dzieci zaczęły zaglądać do okna.

— Siądźcie se, zawołał Jaś, i pobiegł do izby. Za chwilę wyniósł miskę żuru, w którym na wierzchu pływały kluski, a na dnie spoczywały czekając swego losu omaszczone ziemniaki.

Miskę wstawiono w środek gromadki, chłopiec rozdał łyżki w milczeniu i w milczeniu zaczęto wyławiać kluski, a potém z dna wydobywać kartofle. Jaś kucnął obok jedzącéj dziatwy i z pewném zadowolnieniem wpatrywał się w ich rozjaśnione twarze.

Matka wracała z ośmiu zagonów, na których rozkoszowała się widokiem wschodzących ziemniaków i krzewiącego się żyta.

— Jasiu, zawołała i zamilkła. Chciała dodać: a cóż my będziemy jedli na wieczerzę, jak rozdasz wszystko, lecz widząc małe Płonczynki, dokończyła w duchu: Pan Jezus mi za to biedajstwo powróci. A raczéj tak tylko tłómaczyła się przed sobą, gdyż główny powód milczenia był ten, że wobec syna nie śmiała protestować. Wstydziła się jakoś...

Na głos matki Jaś się zerwał i pobiegł do niéj.

— Płonczynki okrutnie jedzą żur, szepnął. Wlałem resztę zacierki i wsypałem ziemniaków. Chwalą se bardzo.

— Nas-ta za to Pan Jezus pocieszy, rzekła matka odgarniając włosy z czoła syna... A gdzież Biedrawa z Krasem, zapytała nagle, oglądając się na wszystkie strony.

— Chłopaki ją pognali z drugiemi na Nowe Zajmy, odparł Jaś.

— A biegnijże po nie! Słonko się już chyla, a bydło pewno popędzą bez czysty ług do wsi. Leć-że leć, moje dziecko.

Chłopiec w milczeniu podniósł wić, przysunął się nieśmiało do małego Płonczynki i zdjął mu czerwoną czapkę z głowy. Mały Płonka zaczął krzyczeć; lecz Naścia uspokoiła go, pakując mu pełną łyżkę ziemniaków w buzię. Jaś zdobywszy czapkę, uderzył dla dodania sobie rozpędu dwa razy wicią w murawę błonia i pogalopował w stronę piaszczystego wzgórka i cichych, smutnych sosenek. Matka patrzała, jak biała jego koszula na niebieskiém tle spływała się z zielenią błonia, a czerwona czapka odbijała od purpury zachodzącego słońca. Patrzała, lecz nie widziała téj gry kolorów, patrzała na syna, a myślała o Biedrawie i Krasem.

Naścia odniosła do izby próżną miskę i pocałowała gospodynią w rękę, a kobiecina uśmiechała się troszkę z dumy, troszkę z zadowolnienia, że ją stać nakarmić cudze dzieci, tylko za dobre słowo.

## II.

Na Nowych Zajmach chłopcy rozłożywszy się obozem na piasku, grali w kamyki, bydło się pasło, gdzie samo chciało.

Jaś chcąc zrobić wrażenie czerwoną czapką, stanął przy nich, bijąc dla zwrócenia na siebie uwagi wicią o ziemię.

Chłopcy grali zawzięcie, szło o zdobycie dwóch centów. Nie zwracali uwagi na Jasia i nie widzieli jego czerwonéj czapki. Kuba Zawiślak nie grał, bo się nie mógł zgodzić, i dlatego pierwszy ją spostrzegł. Obszedł po cichu chłopca, zaczaił się, podsunął i zdarł z jego głowy czapkę. W téj chwili Wojtek wszystkie kamyki podrzucił w górę i wszystkie złapał. Zakotłowało się w małéj gromadce, wszyscy rzucili się na leżące dwa centy na ziemi, zrobił się wał z ciał ludzkich, który raz przewinąwszy się koło siebie, rozleciał się. Z zapasów tych wyszedł Wojtek zwycięzcą, trzymając w zaciśniętéj dłoni dwa centy.

W téj chwili Kuba Zawiślak, podniósł czerwoną rogatywkę w górę.

— Chłopcy, patrzajcie ino, jaka ci to smyśna czapka.

— To moja, krzyknął przerażony Jaś.

— Twoja, ja ci tu dam, zawołał z szyderstwem Kuba, grożąc Jasiowi pięścią.

— A czyjażby była? spytał Wojtek. Przyleciałaby tu sama z jarmarku?

— A czyjażby, poświadczyli chłopcy.

— Oddaj mi czapkę, mówił na pół z płaczem Jaś.

— Pokażno, pokaż, wołali chłopcy goniąc Kubę.

Kuba Zawiślak z czapką na głowie uciekał. Chłopcy za nim puścili się w pogoń, a wśród nich Jaś z oczami pełnemi łez.

Zawiślak był najwyższy i najsilniejszy ze wszystkich, przesadził rów pełen wody i stanął na wale za przekopą, urągając goniącym.

— Ej, Kuba, oddaj czapkę, perswadował Wojtek, bo wkiedy gospodyni pójdą na skargę do wójta, to będzie źle.

— I co mi zrobi, odparł biorąc się pod boki Kuba.

— A pamiętasz łońskiego roku gołębie dworskie, jak ci za nie od wójtowéj ręki popękała skóra, przypomniał Wojtek.

— Co dwór, to nie przybłęda, rzekł obrażony.

— Ale wójtowa ręka jedna, odezwał się Staszek.

Uwaga ta rozśmieszyła gromadę na piękne.

— Kuba, wójtowa ręka ciężka, co? wołali chłopcy skacząc koło rowu.

Kuba był zły, chciał coś mówić, lecz go zagłuszyli naśladując jego głos.

— Oj, oj, wójtowa ręka ciężka...

Staszek, poeta gromady, zaśpiewał:

„Ciężka ręka wójtowa,
Twarda skóra Kubowa.“

Entuzyazm dobrego humoru objawiający się w wykrzyknikach, doszedł do zenitu.

„Ciężka ręka wójtowa,
Twarda skóra Kubowa.
Oj, oj, ciężka ręka wójtowa...“

Śpiewali na skoczną nutę.

Staszek poeta, ale i zawołany tancerz, pochwycił Wojtka w pół, puszczając się z nim w galopadę. Za Staszkiem i Wojtkiem poszli drudzy. Potworzyły się pary galopujące zawzięcie w takt utworzonéj piosenki i nuty.

Zostali naprzeciw siebie, Jaś śledzący czerwoną czapkę i na wale przekopy o twardéj skórze Kuba, pałający gniewem.

W tak niezdecydowanéj pozycyi stali chwil parę, gdy wtém Kuba ściągnął raptownie z głowy rogatywkę i rzucił ją do wody.

— Czapka! krzyknął przerażony Jaś i pobiegł za płynącą, aby ją wicią przyciągnąć na swoję stronę.

Wtedy Kuba podniósł kamień i uderzył tak silnie w środek czapki, że wraz z kamieniem poszła na dno.

Jaś jęknął boleśnie, Kuba w téj chwili przeskoczył rów, pchnął Jasia, że aż biedak usiadł na ziemi i pochwyciwszy za bat, poszedł daléj; lunął dwa razy napotkawszy po drodze Biedrawę, że aż odskoczyła wytrzeszczając oczy.

Na głośną rozpacz Jasia taniec ustał, zbiegli się chłopcy, obserwując czapkę przybitą kamieniem do dna wody. Z początku próbowali ją wydobyć wicią i biczyskami, lecz napróżno!

— To i Kubowa ręka ciężka, pochwycił Staszek.

I ta uwaga dowcipnisia wywołała powszechny śmiech, krający serce Jasia. Woda była głęboka, prawie na chłopa; nie można więc było marzyć o wydobyciu czapki rękami.

— Dasz dwa centy, to ci ją dostanę, zagadnął z miną bohatéra Wojtek.

— A kiejbyś ją dostał, kiej, odparł zrozpaczony Jaś.

— Dasz dwa centy? powtórzył Wojtek.

— A mam-ci je? szepnął Jaś.

— Matsia nie mają-to?

— Może i mają, odparł chłopiec.

— A to weź u matsi, boś ty u niéj ino jeden.

— A no, to wezmę.

— A wkiedy przyniesiesz?

— Jutro.

— Żebyś ino nie zabaczył, bo ci czapkę sfantuję.

To mówiąc Wojtek zaczął się rozbierać. W gromadce zapanowała zwykła cisza, w oczekiwaniu nadzwyczajnego wypadku.

— Staszek podaj mi bat, rzekł rozkazująco Wojtek jak mąż, który jest pewien, że obejmuje władzę.

Staszek pobiegł po bat. Po wypróbowaniu jego mocy, Wojtek biczem okręcił sobie rękę, a biczysko kazał trzymać Staszkowi.

— Jak czapkę podejmę, ciągnij za biczysko, dał rozkaz bohatér chwili, i skoczył do wody.

Chłopcy pokładli się na murawie tuż przy wodzie, obserwując nurkującego Wojtka i czapkę, tylko Staszek stał trzymając dumnie biczysko.

— Już ją namacał, szeptali, już ją bierze...

— Już ją ma, krzyknął Jaś!

Na to hasło, Staszek pociągnął biczysko i za chwilkę pokazał się Wojtek trzymający w ręku zatopioną czapkę.

Wielkie hura przywitało Wojtka bohatéra. I gdyby teraz zjawił się Kuba, napadł na Wojtka i zbił go na kwaśne jabłko, objąłby stanowczo panowanie nad gromadą. Kuba pędząc swe bydło do domu, nie skorzystał z chwili, i moralna dyktatura została przy Wojtku, który zwyczajem wszystkich bohatérów nie umiał jéj wyzyskać.

Czapka, po wyżęciu jéj z wody, osadzona została przez Staszka na głowie Jasia.

— Bóg zapłać, zawołał uradowany chłopiec podejmując wić.

— A pamiętaj o dwóch centach, przypominał Wojtek dzwoniąc zębami od zimna.

— Przecie nie zabaczy, dodał z godnością Staszek.

— A cóż-to zabaczyłbym, szepnął z pewnym wyrzutem Jaś, i pobiegł do Krasego i Biedrawy, która po dwóch razach wymierzonych jéj przez Kubę, straciła apetyt do jadła i ze spuszczoną głową szła smutna i zawstydzona do domu. Zaledwo gdy coś nadzwyczajnie smacznego wpadło jéj w oczy przygryzła, aby sobie nie mieć nic do wyrzucenia.

— Biedrawa, to ty sama już idziesz do domu, przemówił Jaś, dobiegając do swéj przyjaciółki i powiernicy.

Biedrawa stanęła i obejrzała się na swego faworyta.

— A któż cię tak zdzielił dwa razy batem? Takie okrutne dwie pręgi!...

Biedrawa ryknęła żałośnie wyciągając szyję. Jaś podbiegł i zaczął drapać Biedrawę pod szczękę. Biedrawa lekko wargami chwytała go za koszulę na znak swéj łaski i sympatyi. Widocznie zazdrosne o pieszczoty Krase przygalopowało; popatrzało na Jasia, podskoczyło i, podniósłszy w górę ogon, pobiegło naprzód, Biedrawa za nim, a Jaś za Biedrawą.

Słońce już kładło się do snu, rozrzucając na pożegnanie purpurę po chmurach mknących chyżo na wschód. Z chmur świetlane blaski spływały na ziemię, zlewając się z cieniami nocy i błękitem nieba, w dziwną, chwytającą za serce całość.

Biedrawa, Krase i Jaś, kąpiąc się w złoconych barwach, zajęci byli każde zosobna troskami dnia. Biedrawa kłopotała się, rozważając, dlaczego tak mało dostaje ziela i chwastów przy doju, Krase tęskniło za mlekiem, a Jaś myślał troszkę o Biedrawie, a dużo o czerwonéj czapce i Kubie, którego coraz więcéj zaczynał się bać i nienawidzieć. Często zdejmował z głowy czerwoną, patrząc czy

podeschła?... Przysiągł ją nazajutrz wysuszyć na słonku i schować do niedzieli w komorze.

Z okien chaty przy błoniu buchnęło światło. Biedrawa przyśpieszyła kroku, cielę kopnęło się galopem i przystanęło, czekając na matkę. I tak we troje dobili szczęśliwie do zagrody.

— A cóż Biedrawa? zagadnęła matka.

— Ej, matusiu, wyżarta ci tak, że się ledwie przepchała przez wierzeje obórki, odparł Jaś.

— To Nowe Zajmy dla bydła dosyć smyśne, zrobiła uwagę gospodyni.

Chłopiec nic nie odpowiedział; jak przypuszczamy, z wrodzonéj delikatności, aby matki nie martwić, lub może więcéj ze wstydu, nie chciał opowiadać ani o Kubie, ani o dwóch *haniebskich* pręgach na bokach Biedrawy.

Gospodyni pobiegła do obórki wydoić krowę, a Jaś przy ogniu suszył czerwoną.

Na wieczerzę było dziś gotowane mleko ze świeżą zacierką, po zjedzeniu któréj matka głośno odmówiła pacierz, syn za nią powtarzał.

— Jaś, a gdzie ty dziś będziesz spał, zapytała patrząc pieszczotliwie na jedynaka.

— A w komorze, szepnął chłopak.

— Jakoś ty mi dziś markotny. Kupiłam ci czapkę, a ty markocisz i markocisz. Może cię żal zbiera za Karczówką.

— O nie! zawołał chłopiec. Nie cnie mi się za Karczówką.

— A może ci markotno, że butów nie masz.

Jaś drgnął całém ciałem, zarumienił się i dodał cichutko z wielkiego wzruszenia:

— Z czerwoném obszyciem...

— A no, to z czerwoném, rzekła głośno matka, tylo jak mi ziemniaki dobrze powschodzą, jak się wykłosi żytko, i młodemi pokrzywami podpasę prosiaka, laczegobym ci nie miała kupić?...

— I co niedziela będę chodził do kościoła, zapytał.

— I co niedziela i w każdziutkie święto.

Jaś przysunął się do matki i objął ją za kolana.

— No, to spij już pod pierzyną, spij, mówiła kobiéta głaszcząc jedynaka.

Na to wezwanie chłopiec wskoczył do łóżka, przytulił się do poduszki i marząc o kościele i butach z czerwoném obszyciem; zasnął.

Matka położyła się przy synu i ufna w przyszłość i rodzajną siłę ośmiu zagonów, również niedługo na sen czekała.

Przez małe szybki okien wsunęły się cicho srebrne promienie księżyca, a padając na twarz młodéj jeszcze kobiety, idealizowały jéj rysy swém łagodném światłem. Odchyliła usta świeże, różowe, z po za których ukazywał się szereg zębów białych i równych.

Nozdrza jéj rozwierały się w takt falowania pełnéj i białéj piersi, zaznaczając siłę i zdrowie spokojnym i równym oddechem. Uśmiechnęła się przez sen. Pewno zobaczyła wielką moc ziemniaków pod krzakiem, lub może jedynaka w nowych butach w kościele.

## III.

Księżyc nie wszystkie swe promienie uwięził w oknach chaty przytulonéj do błonia. Z równąż szczodrotą oświecał drogę wijącą się wśród obielonych chat. Ze wszystkich prawie okien buchały czerwone światła wesołych ogni rozłożonych na kominach,—bo téż jakoś wesoło i raźno było w powietrzu i sercach ludzkich, zwyczajnie na wiosnę...

— Biedni ludziska radzi się cieszyć byle czém, byle kruszyną nadziei i jednodniowém słonkiem, mawiała matka wójtowa.

Bo i jakże się tu markocić? Przednówka na wsi nie było,— a do któréj chaty przez szybę zajrzéć, to tylko łyżki latały, od misek do ust,—łyżki duże, okrągłe, drewniane, trzymane silnemi dłońmi parobków i dziewuch.

Fujarki zagrały jakoś teskliwie a skocznie, był-to znak wyjazdu chłopców z końmi na paszę.

Pierwszy wyruszył Wojtek i pognał naprzód, za nim zbierał się Staszek rychtując dla siebie fujarkę. Włożył ją do kubła z wodą— spróbował, podkręcił i daléj wskoczywszy na Łysą, a Kasztana prowadząc za uzdę, wio, truchcikiem przez wieś, aby późniéj na pastwisku wypuścić co koń wyskoczy. Taki-to już zwyczaj chłopców i młodych parobków. Gospodarze o tém wiedzą, lecz cóż poradzić na fantazyą i młodość?

Zaledwo Staszek minął czwartą chatę skręcając drożyną w opłotki, gdy coś go chwyciło za nogę, i ani się zdołał obejrzeć, a już leżał na ziemi.

— A to ty będziesz na mnie ramoty układał—szeptał Kuba, okładając pięścią powalonego chłopca. Widzisz, że i moja ręka ciężka...

— Puścisz—wołał Staszek—wijąc się jak wąż pod Kubą i jego razami....

Szczęściem że nadjeżdżał Jędrek parobek radnego Golika. Kuba skoczył za opłotki i znikł, Staszek się zerwał i poszedł do koni. Ledwo się wdrapał na Łysą, tak był potłuczony. I dlatego na błoniu nie galopował, z czego były rade spracowane koniki, ani przygrywał na fujarze, co mogło im być przykro, bo swe małe łebki zwiesiły ku ziemi.

Chłopcy na pastwisku rozłożyli ogień, rozpędzając nim mgły wiosenne. Gwarno było przy ognisku, jak to bywa zwykle po robocie i kolacyi.

Staszek spętał konie, zdjął uzdę, okręcił się lejcami, a podszedłszy cicho do gromadki, odprowadził na bok Wojtka.

O ważnych rzeczach musieli rozprawiać. Widać to było z żywéj gestykulacyi i przytłumionych, a namiętnych wykrzykników. Staszek podnosił w górę zaciśniętą pięść, a Wojtek brał się pod boki, kopiąc z fantazyą nogą kretowisko.

Gdy już wszystko uradzili, co mieli uradzić, wrócili do ogniska. Poeta i grajek wioskowy narychtował fujarkę, parobcy przynieśli gałęzi i pokładli się przy ogniu. Staszek wyciągnął raz, ale tak długo, że aż mu daleko gdzieś od dzwonnicy echo odpowiedziało,— i potém zaczął wygrywać różne różności, podsłuchane w karczmie, na jarmarku, a zawsze przerobione w takt krakowiaka. Ognisko przygasło, kogut zapiał, cisza wokoło zaległa, przerywana parskaniem koni i chrapaniem parobków. Staszek bezwiednie pochylił się na ziemię i usnął, trzymając w dłoni fujarkę.

Nazajutrz rano gdy zaledwo słonko rosę zbierać zaczęło, a matka Jasia doiła Biedrawę, Staszek pędząc bydło na Nowe Zajmy, przybiegł do okna chatki przytulonéj do błonia, zastukał i zajrzał, a zobaczywszy głowę Jasia wyglądającą z pierzyny, wpadł do izby, obudził chłopca i szeptał mu do ucha:

— Wstawaj raźno; Kuba wczoraj wieczór napadł mnie w opłotkach, ściągnął z Łyséj i zbił na kwaśne jabłko, wstawaj raźno—zabieraj dla Wojtka dwa centy i pędź Biedrawę z Krasem za nami. Usadowimy się w krzakach, ja lecę za bydłem.

Staszek wybiegł, a Jaś uczuł się dumnym, że go potrzebują i wzywają. Zerwał się na równe nogi, przepasał koszulinę rzemykiem, wyniósł z komory sukmankę, wdział ją, bo było jeszcze zimno, odmówił pacierz i zabrał się do rozpalenia ognia, aby matusi pomódz uwarzyć śniadanie.

— A to ci się okrutnie jeść chce, moje dziecko—mówiła matka wesoło, przynosząc mleko do izby.

Jaś nic nie odpowiedział, dmuchając na rozpalony ogień, ile mu sił starczyło.

— A cóżbyś ty zjadł?—zapytała matka.

— Ej, co ta dacie—odparł filuternie chłopczyna.

Kobieta nabrała mleka w garnuszek i ukrajała kawałek razowego chleba kozikiem.

Jaś przestał dmuchać a zabrał się do śniadania.

— Matsiu—szeptał nieśmiało po wypiciu mleka, przestępując z nogi na nogę—Matsiu, żebyście mi dali dwa centy!...

— A nacóż ci?—spytała matka zdziwiona.

— Chłopcy mnie potrzebują—odparł z dumą Jaś.

Był tu Staszek i wołał, abym duchem biegł na Nowe Zajmy i przyniósł dwa centy.

Dumę syna podzielała matka, rada wżyć się w stosunki wioski wyjęła dwa centy ze skrzynki i, dając je chłopcu, rzekła poważnie:

— Ino żadnych zbytków, moje dziecko.

Chłopiec pocałował matkę w rękę, włożył kapelusz słomiany na głowę, pochwycił wić, wygnał Biedrawę z Krasem i daléjże na Nowe Zajmy.

Tam czekała go gromadka młodych pasterzy.

Jaś z pewnym rodzajem radości wręczył Wojtkowi dwa centy, przez co wyrobił sobie zaufanie.

Pietrek, wysłany na zwiady, dał znać o zbliżającym się nieprzyjacielu.

W istocie Kuba Zawiślak pędził czworo bydła poganiając je dzielnym batem.

Wojtek zakomenderował odwrót w krzaki. Chłopcy przyczaili się do ziemi w milczeniu.

Kuba śmigając batem pogwizdywał sobie, gdy wtém z za choin wybiegła ku niemu gromada małych zuchów. Jaś z ambicyi i pragnienia zemsty szedł z drugimi w pierwszéj linii.

Kuba odskoczył, a stojąc w obronnéj pozycyi okrutnie wymachiwał batem. Wojtek nie zląkł się Kubowego bata, oczy ręką zasłonił, rozpędził się i chwycił w pół zapaśnika. Lecz Kuba nie był z tych, których od jednego razu można było powalić o ziemię. Atak Wojtka odparł dzielnie i sam w téj chwili zaatakował go z taką siłą, że Wojtek zachwiał się na nogach. Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Kuby. Chłopcy potracili głowy, dwóch z nich zaczęło już uciekać, gdy Staszek dbały o honor gromady i własną przyszłość, dopadł do Kuby podrywając mu znienacka nogi.

Legł Kuba na ziemię—wielkie hura ogłosiło Nowym Zajmom zwycięstwo. Wtedy już wszyscy rzucili się na powalonego. Jedni go

schwycili za ręce, drudzy za nogi. Wojtek przysiadł mu plecy,— a Staszek podniósłszy wić Jasiową, porządnie nią wychłostał napastnika.

Kuba krzyczał, że aż echo z choinek roznosiło głos jego po wsi, lecz Staszek nie ustąpił, póki mu nie wyliczył uchwalonéj poprzednio liczby razów. Poczém związano mu własnym jego batem nogi i daléj w krzaki.

Kubowa ambicya więcéj cierpiała aniżeli jego twarda skóra; zerwał się, lecz zaraz upadł z powodu skrępowanych nóg.

Miotając przekleństwa, rozplątywał sznurek zawiązany mu u kolan na trzy węzły. Tymczasem chłopcy, chcąc się odsunąć od pokonanego a zawsze groźnego nieprzyjaciela, pognali bydło na błonie.

Biedrawa z Krasem biegła naprzód, za nią stado zwolna kroczyło. Wojtek otoczony gromadką swych zwolenników szedł rozpromieniony—mając po bokach Staszka poetę i Jasia Przybłędę szczęśliwych z wywartéj zemsty na nieprzyjacielu. Rozmowa zwyczajem zwycięzców rozbierała szczegóły stoczonéj walki, nie zajmując się jéj następstwami.

O następstwach myślał Kuba. Zobaczywszy porzuconą przez Staszka wić, w któréj poznał wczorajszą własność Jasia, podniósł ją, z gniewu i oburzenia połamał i poszedł w krzaki, a położywszy się, układał plany na przyszłość, póki nie usnął.

## IV.

Już dobrze się miało ku zachodowi, gdy na drodze wioski ukazał się skrzypek, za nim basista dźwigając basy na plecach, a za basistą brakowało klarnecisty. Ale klarnecista jak zwykle klarnecista „upił się, legł i ostał, i tylo Bóg ma w swéj opiece klarynet“. Muzykanty wracali z wesela—i widać to było po ich oczach zaspanych i niepokaźnych minach. Ale że muzykanty to już taki dziwny naród, że ta mogą wciąż pić, oka nie zmrużyć i wciąż grać, zagrali więc dochodząc do karczmy.

— Muzyka tu! – zawołał przez otwarte okno Franek—w wojskowéj furażerce na głowię w niebieskich pantalonach, z czerwonym, okrutnie szerokim lampasem, a w białéj płótniance.

Na wezwanie muzykanci z rezygnacyą filozofów i ich męstwem skręcili do karczmy.

Przed karczmą, w artystycznym nieładzie stało parę wózków chłopskich z Pojawia. Przyprzężone do nich koniki wybierały z ko-

białek obrok, a w półkoszkach usadowione kumoszki, jedząc chleb z serem, rozmawiały głośno, gdy ich mężowie zabawiali się w karczmie.

— A to na skaranie boskie ta muzyka! moja kumo, zawołała Szymonowa zjadając prędko resztki sera.

— Patrzajcie, moiściewy, odparła Sobkowa. Mój, to już taki na tę muzykę łakomy, że niech ino zagra, to go z karczmy nie wyścigasz.

— A bo to mój lepszy, a jeszcze ta mają za pazuchą parę papierków.

— A i u mego pazucha nie próżna.

Nie czekając dłużéj, zlazły kumy z woza i, jak się patrzy na dwie gospodynie, uśmiechnięte i szczęśliwe, weszły do przybytku, w którym panował Josek, a przewodził Franek.

W karczmie nie było tłoku, ale też i pusto nie było. Gospodarze z biczami w rękach stali w środku. Franek z miną tryumfatora obchodził izbę, darząc uśmiechem damy, wyzywająco patrząc na kawalerów.

Kumy weszły, podbiegły do swoich i ciągnąc ich za poły:

— Jedźwa, jedźwa—wołały, ale jakoś nie bardzo natarczywie.

Na tak łagodne wezwanie Szymon pochwycił w pół Sobkową, a Sobek Szymkową. Damy stawiły lekki opór, jak przystoi dobrym gospodyniom, aby się stało zadość skromności i opozycyi dla opozycyi.

Muzykanci siedzieli na stole. Hanka czarnooka, smagława dziewczyna, z długiemi koloru hebanu warkoczami, nalewała im z kwaterki w małe kieliszki wódki. Muzykanci pili z obojętnością wielkich panów, lub ludzi wracających z wesela.

Przegrywka krakowiaka spowodowała formowanie się par a zmniejszenie opozycyi pochwyconych do tańca pojawskich gospodyń.

Jeden tylko Franek, ująwszy się pod boki, stał w środku, spoglądając znacząco na muzykantów, z pewnością siebie—na Hankę. Dumę jego usprawiedliwiamy tém, że był synem gospodarskim i w wojsku frejtrem przez całe dwa miesiące... Hanka również spoglądała na Franka jakoś dziwnie miękko, czule, a gorąco.

I znowu skrzypek pociągnął kwintę, basy mu odpowiedziały, grajkowie spojrzeli na siebie, gdy wtém Hanka zaczęła cienko, dlatego że służyła we dworze, a wysoko, że była panną, śpiewać na skoczną nutę polki, podcieniowaną krakowiakiem. Muzykanci wnet się zmiarkowali, a pochwyciwszy w lot śpiewaną piosnkę, wygrywali ją tak, że aż serce skakało.

Hanka była dumna na swój głos, a ludzie mówili, że śpiewa naucznie.

W ogródeczku na dębie (1)
Siedziały se — samojawie — waksum cumber iksum zawer — gołębie.
Jak-eś na nie wołała
Jak-eś im jeść waksum cumber iksum zawer dawała.
Zawołałam dzieńku
Przyjedź, przyjedź—samojawie—waksum cumber iksum zawer Jasieńku.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— Zbytki! zbytki! szeptały z początku prowadzone przez Szymona i Sobka Pojawianki, lecz gdy przyszło do „waksum cumber, iksum zawer“—zaczęły przytupywać nóżkami — a już przy — „jak-eś im jeść dawała“ — ujęły za ramiona swych tancerzy, rzucając się z namiętnością w wir tańca.

Zdaje się, że i Franek został pokonany „waksum cumber—iksum zawer“ przeciąganém przez gardziołko Hanusi, bo poprawił se furażerkę na bakier, — kupił krótkiego za dwa centy, zapalił, — zarzucił na lewą rękę płótniankę dobył szóstkę, — rzucił ją muzyce — stanął przed Hanką, wyciągając prawą rękę. A wtedy Hanusia? Cóż jéj zostawało niebodze, jak tylko wpaść w jego objęcia, — wpadła. Ustał śpiew, muzyka już sama dalej wygrywała z zacięciem — „waksum cumber — iksum zawer — gołębie“. Franek wyprostowany jak świéca, trzymając w ustach cygaro tańczył drobniutko i raźno; a ponieważ i Hanusia drobiła, tańczyli w takt i było im z tém ładnie.

Dwie niewiasty Płachcina i jéj siostra Kubowa zwana sroką, siedziały przy piecu, zabawiając się rozmową.

— Patrzcie ino, jak to ten Franek galanto drobi z Hanusią, mówiła Kubowa.

— Ej cóż ta z tego, kiej zmarnował dziewuchę i już, zdecydowała Płachcina.

— O tak, tak, poświadczała siostra, zniszczył jéj cały dobytek i znowu poleci do drugiej.

— A Hanka co zarobi, to wszyćko idzie na stroje.

— A bo i to dziewka latawiec! Patrzcie, co to ma na szyi korali, haftowany kołnierz u koszuli i gorset w kwiaty.

— A coby nie, poświadczała siostra zwana sroką....

---

(1) Piosenkę, któréj zwrotkę przytaczam, śpiewa lud w okolicy między Bochnią, Rabą a Wisłą. Zdaje się, iż do utworzenia jéj przyczynili się cyganie mieszkający we wsiach Bożęcinie i Szczurowéj.

Szymonowi i Sobkowi i ich gospodyniom widocznie uprzykrzyła się już melodya z „waksum cumber iksum zawer—gołębie“, bo stanęli przed muzyką, a Sobek zagwizdał rzetelnego krakowiaka. Franek zaś uznał ten czyn za despet dla siebie; a że nie dał nikomu nastąpić se na honor i najlepiéj było mu i Hanusi drobić przy ,,waksum cumber“, postanowił protegować tę, a nie inną melodyą, i dlatego odgrodził sobą muzykantów od gospodarzy, trzymając w pół Hanusię.

— Moje pieniądze, Hancyna wódka, zawołał. Grajcie tego samego, jażeli wam miłe całe kości.

Na to Sobek odsuwając Franka, również groźnie przemówił, rzucając muzykantom dwie szóstki — Za tę głupią szóstkę macie dwie, a grajcie rzetelnego krakowiaka, bo my tam nie cygany.

— Tak, tak, my ta nie cygany, przyświadczały gospodynie.

— A ja cygan?! krzyknął oburzony Franek.

— Może ta i nie cygan, łagodził naprężenie stosunków Szymon.

— Goni światami i cygani na wszystkie strony gorzéj cygana, odparł Sobek.

W tém miejscu Franek uczuł nastąpienie na honor zbyt silne, aby nie miał się bronić. Odsunął Hankę i w mgnieniu oka przyskoczył do Sobka, uniósł go w powietrzu i rzucił z taką gwałtownością, że aż pojawski gospodarz uderzył plecami o drzwi karczmy, wysadził je i padł w gnojowisko, malując na szaro białą swą kapotę.

Nastała cisza jak po wielkim wypadku, cisza korząca się przed siłą, i trwałaby długo, gdyby nie wybuch płaczu Sobkowéj.

Płacz jéj był hasłem do opozycyi. W karczmie szczęściem było kilku Pojawiaków, i ci w pokrzywdzeniu Sobka uczuli również nastąpnięcie na honor.

— A bodajbyś z piekła nie wylazł, ty zbereźniku, zawodziła Sobkowa podnosząc swego.

Zagrzany wymową Sobkowéj Szymon, posunął się naprzód z garstką swoich, lecz Szymonowa uchwyciła go w pół, zastępując mu drogę, a Hanka również użyła tego samego fortelu względem Franka. Inne niewiasty pojawskie pochwytały Pojawiaków, i stało się wielkie zamieszanie pełne lamentu, pisku, udanego płaczu, któremu wtórowały silne, basowe tony mężczyzn, pełne groźb i przekleństw.

Muzykanci z obojętnością wielkich artystów, którzy po za sztuką nie widzą nic, stroili instrumenta.

Wrócił Sobek, a Josek chwilę tę jako dyplomata uznał za stosowną do rozpoczęcia czynnéj interwencyi. Pochwycił skrzypce od muzykanta i oddał je Joskowéj, ktora z niemi zniknęła w komorze. Sam zaś wpadł śmiało między dwa gotujące się do walki obozy.

— No, no, gospodarze, na co to takie głupstwa?... przemawiał.

Sobek jednak okazał się nieczułym na wymowę Joska, a z nim Pojawiaki, i chociaż mieli silny balast przy swych bokach, ścisnęli Franka i Joska, że się wydobyć nie mogli. Lecz Josek był i dobrym strategikiem, kierował zwycięskim pochodem Pojawiaków tak, żeby Franek mógł się znaléść jak najbliżéj drzwi komory...

— Ziandary, przybiegając z zewnątrz do okna karczmy, krzyknęła Joskowa. Ziandary, bójcie się Boga, skręcają do wsi!...

Wyraz ziandary jak iskra elektryczna przeszedł po szeregach, przyspieszając bicia serca i budząc pewne niepokoje. Korzysta z tego Josek, chwyta Franka za bary i wypycha przez drzwi, do komory, szepcząc mu:

— Ty Franek nie bądź głupi, oni cię nie kochają, ty to wiesz, uciekaj po-za stodoły; jak się ściemni, wrócisz.

I stało się, jak tego Josek dyplomata chciał.

Franek ustąpił z placu boju i znikł za stodołami. Za nim również znikła Hanka. Skrzypce wróciły do muzykantów, Sobek zaśpiewał rzetelnego krakowiaka, pary się uformowały i taniec szedł raźnie i posuwisto, że aż miło było patrzéć.

Odchodziła i anyżówka, a choć pita maleńkiemi kieliszkami, znikała migiem z półkwaterek. Gospodynie także piły, lecz dobry ton kazał im przy piciu zasłaniać dłonią usta, upijać często, a potroszku, i delikatnie spluwać. Co téż robiły z elegancyą a zarazem swobodą.

Franek będąc pewny, że żandarmi rozgościli się w karczmie, poszedł ścieżkami ku błoniu. Hanusia ciekawa, co się stało z ukochanym, pobiegła za nim, lecz widząc, że idzie szparko wywijając rękami, a zatém widocznie ma jakiś cel, zazdrosna postanowiła go śledzić. Kryjąc się po-za stodoły szła w pewném oddaleniu za nim... I widziała, jak Franek na zakręcie przeszedł na szeroką drogę wsi, jak dotarł do błonia, zaglądał do ostatniéj chaty, jak patrzał na wszystkie strony, i jak zobaczywszy matkę Jasia na zagonach sadzącą groch, poszedł do niéj.

Wszystko to Hanka widziała na własne oczy i cierpła z bolu, gniewu i oburzenia. Zaciskała pięści, oczy jéj ciskały płomienie, a wargi drżały, szeptając jakieś złowrogie zaklęcia. Chciała biedz do nich, aby ulżyć swemu rozżalonemu sercu, lecz się pomiarkowała i zawróciła na drogę, idąc prosto ku karczmie.

Płachcina i siostra jéj Kubowa siedziały na tém samém miejscu pod piecem. Hanka nawet nie weszła, lecz przez okno skinęła na powiernice, które téż zaraz do niéj wybiegły.

— Nie wiecie, co się stało, mówiła dziewczyna, a głos jéj drżał.

— A zkąd-by my wiedziały, siedziwa w karczmie od poobiedzia, odparła starsza siostra.

— Oj ten Franek, zawołała i zalała się łzami, lecz nie chcąc być pośmiewiskiem ludzkiém, odeszła zpod karczmy, kumoszki za nią.

— Oj ten Franek, zawodziła za stodołą Joskową płacząc.

— Taki to już ultaj, szepnęła Płachcina.

— Parlamentarz, poświadczyła siostra.

— Tyrał ci mnie bez dwa roki... i styrał. A jam ci się dla niego obdłużyła; już ani krowy, ani cielęcia, ani kwaterki mleka, grunta w zastawie.

— Ultaj-ci ultaj, wtórowały kumy.

— Oj ja nieszczęśliwa sierota, gdzie ja się teraz podzieję!...

— A cóż ci to moja Hanusiu? co? zainterpelowała Płachcina obcierając zapaską łzy dziewczynie.

— A cóżby? odparła łkając Hanka. Jak ci go Josek uprowadził z karczmy, bo-by mu Pojawiaki ziobra połamali, wybiegam tu, na to miejsce, a on ani ci się obeźrał za mną. Leciał ino wywijając rękami, jak opętany.

— A wołałaś za nim? spytała kuma.

— Co miałam wołać, niech leci kiej chce na złamanie karku...

— I gdzież zaleciał?

— A gdzieżby? na błonie.

— Do Przybłędy? zawołały obie kumy.

Hanusia nowym strumieniem łez poświadczyła prawdę przypuszczenia.

— Urzekła go, zdecydowała Płachcina.

— Coby go nie miała urzec? pochwyciła siostra sroką zwana.

— A bo to nie widziałam na jarmarku w Rozwadowie?... ciągnęła daléj Płachcina.

— Coście widzieli? spytała prędko Hanka, obcierając fartuchem oczy.

— A co nie miałam widzieć! Franek zwyczajnie jak chłop zaprosił ją na wódkę.

— Za moje pieniądze, a niedoczekanie twoje, szepnęła Hanka.

— Ale ona nie chciała pić, ino tak ci zajrzała na chłopa...

— Tak, tak, zajrzała mu do samego wnątrza, dodała Kubowa.

— Że chłop aż spłótniał (1) i zatrząsł się cały, ciągnęła daléj Płachcina. Urzeczony, szepnęłam do siostry.

---

(1) Spłótnieć (od płótna) — zblednąć.

— A coby nie! odpowiedziała szybko Kubowa. Coby nie! Nie widziałam to, jak pił wódkę, a ręce mu się trzęsły... Nie pij, bo wódka urzeknięta, chciałam zawołać, alem się bała...

— To to ona umie urzekać! mówiła żałośnie Hanka łamiąc ręce.

— Nie umiałaby ta?! Kiejś z końca świata przyleciała, pieniędzy ma huk; pewno ze złym trzyma.

— A jakie ci to ma żyto, a len na tych ośmiu zagonach piasku... Jagodzina nie miała na nich nic!

— Będzie mieć i ziemniaki, dodała siostra.

— A powiedzcież jéj, że Franek to taki łajdak, wyśmiennik, parlamentarz, mówiła zrozpaczona dziewczyna.

— Gany tu nic nie pomogą, zawyrokowała starsza kuma.

— A cóż mam nieszczęśliwa sierota robić?

— Odczynić!

— Nic, ino odczynić!

— A no, to bójcie się Boga odczyniajcie prędko! szepnęła Hanka i daléjże zawodzić. Będę ja cię opierać, będę ja cię obszywać, zobaczysz ty...

— Ej co tam chłop, jak chłop, jeżeli urzeknięty, to cóż on winien.

— A bodajbyś ty z piekła nie wyszła, zawołała Hanka, grożąc w stronę błonia. A cóż ja ci zawiniłam, biedna sierota!

— Kiej odczyniać to odczyniać, przerwała Płachcina deklamacye rozpaczy, zarzucając chustkę na głowę. Chodźwa!

W Hankę widocznie wstąpiła nadzieja, bo z rezygnacyą, a już na piękne obtarłszy oczy, również zarzuciła chusteczkę i nie mówiąc słowa postępowała za kumami, które w uroczystym nastroju ducha szły naprzód do małéj lepianki umieszczonéj w środku rozstajnych dróg, mieszkania sióstr i wdów gospodarujących na pół morgu ojcowizny, przy tém trudniących się zarobkiem, a przedewszystkiém odczynianiem. Płachcina była mistrzem w odczynianiu, w które ślepo wierzyła jéj siostra, zwana sroką.

— Maryś, dała rozkaz Płachcina siostrze, rozpal ogień.

Kubowa migiem nałożyła drewka na komin, podpalając je słomą. Buchnął płomień, drzewo zaczęło syczéć, pękać i iskry wyrzucać.

Hanka zadumana, blada, patrzała nieruchomie w ogień, siedząc na ławie.

— Coś piszczy i pryska, szepnęła młodsza siostra.

— Piszczy, bo się gniewa, on-ta wié, co go czeka, zdecydowała starsza.

Kubowa wybiegła po wodę.

— Nie bój się, nie, damy jéj radę, pocieszała kuma smutną, zadumaną dziewczynę.

Przyniesioną wodę w kwarcie postawiono na kominie; dziewięć żarzących się węgli wyciągnęła własnemi palcami Płachcina z ogniska i rzuciła je do wody. Zakipiało, buchnęła para, którą lekko okadziła Hankę, a potém obydwie siostry rzuciły się do kwarty, patrząc na rezultaty. Z dziewięciu węgli tylko dwa pływało po wierzchu, siedem zaś poszło na dno!...

— Zajrzany, zawołały siostry, i jak jeszcze, i jak, dodawały zcicha kiwając głowami.

Hanka naprawdę spłótniała, zrywając się na równe nogi.

— Czekajże, a to dziewucha w ukropie kąpana.

— Upijaj po troszku, dała rozkaz starsza siostra.

Hanka upiła z kwarty trzy razy. Wtedy Płachcina żegnając lewą ręką wodę w kwarcie, odczyniała. Mrucząc zaklęte wyrazy, nabierała w usta wody i nią obryzgiwała twarz dziewczyny...

Operacya z węglami, odczynianiem i obryzgiwaniem twarzy Hanki powtarzała się trzy razy. Hanka dostała trochę wody do flaszeczki, aby ją wlała do wódki, albo araku i dała się napić Frankowi, tylko tak, aby upijał trzy razy.

— Weźcie se zato czubatą z podwórka, jednę ino mam...

Dziewczynie zaświeciły łzy w oczach.

— My tam i za dobre słowo, zaczęła dyplomatycznie Płachcina.

— Oj nie, nie, przerwała prędko Hanka, jeżeli odczynianie ma być rzetelne, to wziąć musicie.

— Juści to prawda, co mówi Hanka, rzekła siostra. Odczynianie darmo, to lepiéj, żeby go nie było.

Dziewczyna wybiegła z chaty, chowając flaszeczkę w zanadrze.

— A to go zajrzała, zdecydowała z powagą Płachcina, zalewając ogień wodą.

— Do samego wnątrza, dodała siostra.

— Bo to i urodziwa i bogata.

— Smyśna ci bo smyśna, a pieniędzy musi mieć huk.

— A jak się ta ona nie boi sama z chłopakiem na błoniu w chałupie, co ją można kopnięciem nogi rozwalić?

— Ha! jeżeli ona umie zazierać do wnątrza, abo urzekać, to coby się miała bać...

Na podobną uwagę nie było odpowiedzi.

Kubowa pobiegła po czubatą kurę na podwórko Hanki, a starsza jéj siostra pogrążyła się w myślach.

Przypuszczam, że przyczyną głębokiéj zadumy była wewnętrzna walka, jaki los przeznaczyć czubatéj? Chować ją, lub téż zjeść odrazu, albowiem gosposia kiedy-niekiedy oblizywała się i mrugała oczami. I gdy siostra wróciła, postanowienie już nastąpiło, skazujące czubatą na zagładę, na co również i młodsza siostra przystała, zagłuszając sumienie pozorami, że nie było czém czubatéj paść i gdzie chować. Szło tylko o rodzaj przyprawy. Po krótkich naradach postanowiono ją zjeść w rosole, bo jeszcze było w komorze trochę krup przyniesionych przez Chołocinę.

Sam fakt morderstwa czubatéj, oskubanie jéj, nastawienie wody i rozpalenie ognia, nie trwał godziny. Już poćwiartowana dobrze wrzała w garnku, gdy Kubowa przypomniała sobie, że nie ma w domu ani kruszyny soli.

— A biegnijże do Żyda, cóż-to nie zborguje za dwa centy soli?... dała rozkaz siostra.

— A co nie ma zborgować? Musi! dodała z mocą, musi dać darmo bryłkę soli. A mało my mu świadczymy...

To powiedziawszy Maryś pochwyciła chustkę i wybiegła do karczmy.

Płachcina została sama z poćwiartowaną czubatą w garnku i łyżką w ręku.

— My mu świadczywa dużo, mówiła, a Żyd nam co? Da kieliszek wódki i na tém koniec. Ha! Żyd jak Żyd i nie byłby Żydem... Ale niechnoby kto inny siedział w karczmie, a nie Żyd, nie wykręciłby się od dziesięciu papiérków bez rok.

Sentencya Płachciny stanowczo i dzielnie wyjaśniała stanowisko Żydów wpośród naszego ludu i ich u nas powodzenia. Płachcina kosztując rosół z czubatéj, pewno wypowiedziałaby kilka jeszcze również głębokich uwag, gdyby nie jéj siostra, która wpadła prawie zdyszana i rzucając bryłkę soli na stół, nie zawołała:

— Franek tylo co wrócił od Przybłędy. Coś mu źle patrzy z oczu, jakiś markotny. Chce, abyście tam zaraz do niego w dyrdy lecieli.

— Jeszcze czego, w dyrdy do tego filistyna!... odparła wyrocznia.

— Tak, tak, jeszcze czego, poświadczała Kubowa za siostrą, w dyrdy dla takiego filistyna.

— A czegóż on chce? spytała.

— A powiedział mi to?

— Cóż ci przecie mówił?

— Nic, tylo, żeby mi tu zaraz przyszła ta stara czarownica.

— Do takiego kołtuna! zawołała wyrocznia grożąc łyżką. Dam ja ci czarownicę, ty stęporze, potępieńcze.

— Taki to już drab.

— I nic mu nie odpowiedziałaś?

— Gdzie ta nic? Chciałam mu powiedzieć, alem się bała. A niechżeby jeszcze gdzie zamalował człowieka...

— Nie doczekanie twoje, żebyś mnie dziś zobaczył, zawołała Płachcina.

Tymczasem rosół z poćwiartowaną czubatą i krupami przeniósł się z garnka do miski, którą Płachcina pociągnęła ku sobie, siadając na ławie. Siostra przy niéj stanęła i stojący jadła, a to ze względu, że czubatą zapracowała Płachcina, i ze względu szacunku, a nawet pokory, jaką miała młodsza względem starszéj siostry.

Po wyjedzeniu rosołu i krup nastąpił rozdział czubatéj. Kubowa zaledwo ośmieliła się na zjedzenie skrzydła i nogi, resztę zostawiając siostrze, która, zwyczajem zamawiaczek, cieszyła się dobrym apetytem.

Rosół był mocno słony, czubata tłusta, a w izbie pusto i nudno. Ogień na kominie zgasł, a zachodzące słońce i ciepło wiosenne wywabiały z izby. Siostry nie mówiąc nic do siebie wyszły jedna za drugą, popatrzały na lepiankę, i jakoś mimowoli znalazły się na drodze i również mimowoli, wzdychając z cicha, skierowały się ku karczmie. Cóż robić! smutno samym sierotom...

Ani Pojawiaków, ani muzykantów już w karczmie nie było.

Gdyby Płachcina mogła patrzéć w przestrzeń oczami ducha, zobaczyłaby na twardéj drodze ku Pojawiowi galopujące dwie pary mizernych koników zaprzęgniętych do dwóch wózków w półkoszkach. Na jednym siedzieli Szymon z Sobkiem, a na drugim dwie ich gospodynie, a zarazem kumy, powożąc się same. W głębi drugiego wozu widać było skrzypka i basistę, kiwających się w półśnie nad jedną sterczącą w górze basetlą.

Wódeczka rozgrzewała wnątrza kumoszek, pobudzając ochotę do czynu manifestującą się przez częste używanie bicza. Konięta w pędzie dobywały ostatnich sił, przez co wiatr chłodził rozpalone twarze niewiast i przez co działo się zadość pojawskiemu animuszowi.

Karczma brzezińska osierociała, Josek poszedł do swych wierzycieli, a Joskowa jako czuła matka oddała się cała rodzinie. Oprócz Franka nie było nikogo.

Drogą szła Płachcina nie oglądając się wcale, jak przystało osobie czującéj swą godność. Za nią z miną zafrasowaną postępowała Kubowa zwana sroką. Płachcina czuła Franka w karczmie, lecz chciała go upokorzyć i zaimponować mu, i dlatego szła wciąż drogą, póki miękki głos Franka:

— Matusie, matusie, a gdzie Pan Bóg prowadzi?—nie przerwał pochodu.

Młodzieniec wychylił się z okna karczmy z kieliszkiem w ręku i podnosząc go nieco w górę:

— Do was kumeczki, dodał, o ile mógł, słodko.

— Pijcie zdrowi, odpowiedziała Kubowa.

Płachcina spojrzała na siostrę groźnie, lecz aby mogła spojrzéć, musiała stanąć i stanęła.

— Moje matusie, nie wstąpicie na chwilę? prosił Franek.

— A do kogóż to mamy chodzić? co? spytała udobruchana nieco starsza kuma, do takiego filistyna jak ty?

— Moje matusie, bo nie wiécie, co się stało, anibyście zgadły, jakie ramoty...

— A cóż tam takiego? zawołała Kubowa.

— Mam ci je na całą wieś wykrzykiwać?...

Ostatni argument pokonał Płachcinę, bo siostra jéj już dawno była pokonaną.

Kumy weszły. Franek zawołał Joskową, polecając jéj dać kwaterkę okowity, szklankę wody i dwa kieliszki. Siostry zasiadły za stołem nalewając do kieliszka okowitę zaprawioną kminem i roztwarzając ją wodą tak, że coraz więcéj przybywało do kieliszków okowity, a coraz mniéj wody.

Franek bez mała opierając się o stół pochylił się ku kumoszkom.

— Moje matki, prawda, że ta Tereska z pod błonia to smyśna jeszcze kobiecina? zaczął pocichu.

— A tobie co do Tereski? Ty masz Hankę na sumieniu, to se ją patrz, rozumiesz, zdecydowała groźnie Płachcina.

— Hankę masz, jéj se patrz, dodała Kubowa, zwana sroką.

Lecz Franek nie zważał na mowę sroki, cały zajęty Płachciną.

— Hanka! a co ja jéj krzyw? tłómaczył się.

— Wyzułeś dziewuchę z ojcowizny, a teraz chcesz ją zmarnić? Chłop-eś, to pracuj na nią!

— A cóż to! krzyknął oburzony Franek. Pracuj a na czémże? na tym stole?

— Miałbyś gospodarstwo Hancyne, gdybyś go nie styrał.

— Dwie morgi, i cóż mi ta z dwóch morgów?

— Ej nie grzesz, zbereźniku, nie, bo cię Pan Bóg ciężko skarze.

— A co-by nie miał skarać? dodała popijając wódkę młodsza siostra.

— Jeżeli chcecie se co zarobić, to mi nie wspominajcie Hanki, rozumiecie?

— A cóż to gębę mi zamurujesz?

— Gęby nie zamurujesz, nie, dodała Kubowa zwana sroką.

— Gęby wam nie zamknę, ale se pójdę szukać innéj pomocnicy.

— A do czegóż ci to pomocy potrzeba? pochwyciła ciekawie Płachcina.

— A potrzeba mi i bardzo.

— No, to gadaj.

Siostry przysunęły się skwapliwie ku sobie. Franek pochylił się jeszcze bliżéj i zaczął cicho.

— Tereska choć nie ma dwóch morgów, ale ma krowę, cielę, parę wieprzków, porządną przyodziwę, dwie pierzyny, i mówią pieniędzy...

— Jak lodu, dodała cicho młodsza siostra.

— Cichobyście byli, ofuknęła Płachcina siostrę.

— Bo pewno, że jak lodu, pochwycił Franek, i jednego ino chłopaka. Nikłe-to i głupie chłopczysko.

— Bo prawda, poświadczyła młodsza kuma.

Zdaje się, że i Płachcina została pokonana wymową Franka, bo za całą odpowiedź przytknęła kieliszek do ust, wypiła z niego wódkę do dna, chuchnęła lekko i zamyśliła się.

— Otóżto widzicie moje kumy, mówił daléj Franek, trzeba zmówić Tereskę.

— Ona cię już urzekła, przerwała Kubowa.

— A no, może i urzekła, dodał z uśmiechem były freiter, który zaczynał wątpić w urzeczenia. Ale cóż kiej mnie nie chce?

— Nie chce cię! powtórzyły obie siostry.

— Możeby i chciała, ale się droży i wyrzeka i przysięga, że już nigdy za żadnego chłopa nie pójdzie, choćby miał dziesięć morgów pszenicznéj ziemi.

— Nie poszłaby-ta, nie!? zawołała Kubowa.

— Abo-by to ją rzetelny gospodarz chcieli?

— A cóż to tak brzyćkiego Tereska? rzekł Franek.

— Spytaj się Joska, odrzekła Płachcina.

— Tak, tak Joska się spytaj, przyświadczała młodsza siostra.

— Abo wy to nie wiecie?

— Cobyśwa nie wiedziały!

— I nie powiecie mi?

— Przybłędzina była se smyśna dziewucha, a miała rodzica bogacza, ale okrutnie skąpego. Udał jéj się tęgi parobek, ojciec nie chciał zezwolić, ale potém musiał. Ano zezwolił i przyszedł chłopak na świat, ale tatuś nic dać nie chcieli, ona płakiwała, a chłop pił i pomstował. Mówią, że przyjdzie pijany do dom i zbije babę aż

miło. Potém zaczął się odgrażać, no i spalił starego. Za chałupą tatusia poszła cała wieś. Chłopa wzięli, a że i Josek wtedy siedział, to przecie widział i jego babę, skoro mu przynosiła co targ do więzienia chleba, sperki i okrutnie płakała. Chłopu było markotno bez wódki, i zwyczajnie.. obwiesił się. A teraz Josek w téj babie poznał Tereskę Kłębkową.

— A czegóż ona tu przyszła?

— Musieli ją ludzie pomstować, wyklinać chłopaka, ojciec pomarł, sprzedała ojcowiznę i tu się aż zawlekła przed pomstą ludzką.

— I jeszcze mnie nie chce! krzyknął Franek uderzając pięścią w stół. Patrzajcie, jaka mi herna. Człowiek radby ją osłonić przed poniewieraniem ludzkiém...

— Ona-ta twojéj osłony nie potrzebuje... taka bogaczka! dokończyła Płachcina.

— Że bogaczka, to pewna, powtórzyła Kubowa.

Bogactwo Przybłędziny rozpalało namiętność i gniew byłego freitra, a gospodarskiego syna; lecz umiał panować nad sobą, gdy chciał, oczy mu tylko świeciły jak u wilka w nocy.

— Musicie mi pomódz, zaczął znów szeptać, a jak mi pomożecie, żebym mógł prędko przeseliny (1) zrobić, to was piątka nie minie. Tatuś chorzy, może zemrą dziś — jutro, grunt zabierą siostry, a ja bez półtora sta nie odejdę.

— A bo ci to dadzą półtora sta, coś już wszystko wybrał.

— Muszą, szepnął Franek, bo inaczéj będziewa się prawować.... Sprowadzicie przeseliny, czy nie?

— Spróbujewa, zdecydowała poważnie Płachcina.

— A cobyśmy nie spróbowały?

— Ale dawaj papierka na zadatek. Na błonie daleko, a jakoś mnie okrutnie po kościach drze i stępory bolą.

— A coby nie miały boléć, cały dzień haruj i haruj, świadczyła siostra sroką zwana.

— Kiej nie mam, tłómaczył się Franek, lecz gdy we drzwiach zobaczył Hankę, szepnął prędko — Jutro przyniesę, i odszedł od bab gwiżdżąc sobie piosenkę—„samojawie, waksum—cumber—gołębie"

Hanka znacząco spojrzała na kumy. Te mruganiem i kiwnięciem głów zachęcały ją do wykonania ułożonego projektu.

---

(1) Przeseliny, zaręczyny.

— Franusiu, nie przywitasz to się ze mną, zagadnęła słodko dziewczyna byłego freitra. Lecz były freiter włożył ręce w kieszenie i chodził po izbie gwiżdżąc.

— A nie napiłbyś się haraczku, mówiła dalej dziewczyna nie zrażając się.

— Czego się to pytać, masz dać, to daj! odparł Franek.

Hanka miała łzy w oczach.

— A ty za co na nią tak fukasz?.. przyszła w pomoc Hanusi Joskowa.

— Dawaj krótkiego, zawołał Franek chcąc zagłuszyć Joskową.

Hanusi polały się łzy, obtarła je prędko zapaską i milczała. Franek zapalał krótkiego, a Joskowa nalewając arak mówiła dalej.

— Wuna dla ciebie ostatnią krowę sprzedała, rozumiesz?

— A tobie co do tego, żydówko, krzyknął obrażony młodzieniec.

— No, no, Franek, nie bądź ty taki grubijan, bo z tobą może być źle. Ja ci to mówię.

— I co mi zrobicie? zaczął łagodniej były freiter.

— Tylko delikatnie Franek, bo będzie źle. Pogroziła mu i poszła do dzieci.

— Głupia, szepnął Franek, i paląc krótkiego chodził z fantazyą po izbie, gdy siostry siedziały jak trusie popijając kminkówkę.

Hanka nalała kieliszek i postawiła go w rogu na szynkwasie. Franek go zobaczył, wypił duszkiem, powiedział zcicha: Bóg zapłać, i znów zaczął paląc wciąż krótkiego, chodzić po izbie chmurny.

Hanka była zrozpaczoną, serce jej kołatało, a ręce drżały. Drugi raz napełniła araku do połowy, wyjęła ukradkiem flaszeczkę, odkorkowała ją prędko i gdy nalewała odczynionej wody, Franek się odwrócił i zobaczył.

— To ty mnie chcesz uśmiercić? ty czarownico, zawołał, przyskoczył, chwycił za kieliszek i wylał z niego arak z zaczynioną wodą, za okno.

— A niedoczekanie twoje, abyś ty się zalicał do Przybłędziny, z końca świata. Ty psie jeden, coś mnie styrał, że ino mam tyle co na sobie. Ja ci się teraz tak uwieszę, jak pijawka, i zginę a nie puszczę cię. A nie, to zgińwa razem.

— Słuchajno Hanka, rzekł napozór spokojnie Franek a wargi mu drżały. Jak się nie odczepisz odemnie, to ci tak strzelę w gębę, że na sąd boski nie staniesz.

Potok słów jak wezbrana kaskada wylał się na Franka, płynąc z pod serca Hanusi. Były tam skargi, przekleństwa, rachunki, wybuchy, żale — nareszcie rozpacz!

Na ten krzyk pękającego z bólu serca, wypadła z komory Joskowa, a że lubiła Hankę, zaczęła lżyć Franka i naprawdę mu grozić.

Franek z początku stawiał się hardo, a nawet szyderstwem przeszywał serce dziewczyny, lecz skutkiem interwencyi Joskowéj zaczął się cofać, nareszcie zaklął głośno i wybiegł z karczmy.

Hanusia po zużyciu sił gniewem zaczęła płakać, cicho wylewając łzy, jak zwykle po gwałtownéj burzy, dla uspokojenia żywiołów, drobny i cichy deszczyk zaczyna padać. Joskowa ją pocieszała, a dwie siostry siedzące dotąd jak trusie, gdy się okazało dno w kwaterce z kminkówką puste, a pobity moralnie Franek cofnął się z karczmy, powstały i powolutku jedna za drugą zbliżyły się do Hanki.

— Nic-eście mu nie powiedziały, odezwała się łkając Hanka, trzeba było aż żydówki, dodała cicho, żeby się za mną ujena.

— Hale, hale, moja dziewucho, ujmuj się przy takim drabie, mówiła Płachcina ocierając oczy Hance zapaską.

— Przy takim drabie piśnij słówko, dodała siostra sroką zwana.

Do karczmy wszedł Siemieniec w bronzowéj połatanéj sukmanie. Gwarzył swym zwyczajem sam do siebie, gdy na drgających jego ustach gościł niezapomniany nigdy szyderski uśmiech.

— Cóż to Hanusia płacze? przemówił, pewno na Franka. Nie płacz, Hanusiu, nie płacz, mojéj Kasi się zmarło...

— To Siemieńcowa już zawarła oczy... zawołały kumoszki. Hanka przestała płakać.

— A no zmarło się. Pójdziewa i my za nią. I twoje ładne ślepie, Hanusiu, zasypią żółtym piachem. Tu Siemieniec splunął, a że miał rzadkie zęby, robił to kunsztownie i oryginalnie.

— Taka jeszcze młoda kobieta, patrzcie-no ludzie, mówiła Kubowa.

— Ha! miała patrzéć, jak wszystko idzie na marne i krwawić se serce, to i lepiéj, że zamknęła oczy, zawyrokowała Płachcina.

— Moja matko, jedno życie i jedna śmierć, dodał spluwając przez zęby Siemieniec, niedawno pan na dziesięciu morgach, dziś nędzarz.

Hanusia powtórnie zalała się łzami.

— Masz téż za kim płakać, cieszyła dziewczynę Płachcina.

— Nie płacz, dodał Siemieniec, po pogrzebie pójdziemy do jegomości, no i jak wola twoja, dam na zapowiedzie.

— Nie bluźnilibyście, przerwała Płachcina, jeszcze nieboszka nie stężała.

— Bo prawda, jeszcze jéj oczu nie zawarto, dodała siostra sroka.

Siemieniec się uśmiechnął. A dziwnie się śmiał, usta niby mu drgały smutkiem, a z po-za smutku, wyzierały okrutne drwiny. Tak mówili ludzie.

— A za cóż wy ją pochowacie? rzuciła pytanie Kubowa, jak na srokę arcy-oryginalne.

— A cóż to? odparł Siemieniec z dumą, mało to ja ludziom świadczyłem? Dziedzic nie miał desek na trumnę, ale dał papierka.

Ukazała się Joskowa, Siemieniec zbliżył się do szynkwasu i, rzucając guldena, wymówił jedno magiczne słowo:

— Kantówkę!

— Jaką? spytała Joskowa.

— Jak na strapienie, piołunową...

Ukazała się kanciasta flaszka napełniona zielonawym jak szmaragd płynem. Siemieniec schował ją w zanadrze, uśmiechnął się, splunął kunsztownie i poszedł.

Hanusię pocieszały kumy i Joskowa, a widać, że dosyć skutecznie, bo Hanusia jakoś raźniejsza, choć mocno strapiona, wracała do chaty.

*Sewer.*

(*C. d. n.*)

---

# WALKA Z CENTRALIZMEM

## W GALICYI.

### III.

---

**Ministerstwo Belcrediego. Sejm z r. 1866. Uchwała z 2 marca 1869.**

I.

Po skończonéj austryacko-pruskiéj wojnie zwołane zostały sejmy wszystkich krajów monarchii na dzień 19 listopada r. 1866, aby kończyły przerwane na wiosnę prace.

Jeszcze 13 października r. 1866 wydał cesarz odręczne pismo do ministra stanu Belcrediego, w którém mu polecił wyrazić sejmom, jako reprezentacyom ludów, swe uznanie za dowody wierności i poświęcenia podczas ostatnich wypadków i zapewnić je, że zadaniem jest rządu „użyć wszelkich możliwych środków do zagojenia ran, które wojna zadała“.

Rzeczywiście monarchia potrzebowała wówczas więcéj niż kiedykolwiek skonsolidowania się nawewnątrz i podniesienia instytucyami, któreby zapewniały jak najswobodniejszy rozwój moralnych i ekonomicznych sił ludności.

Galicyjska reprezentacya kraju rozpoczęła to zadanie z wielką energią podczas sesyi, o któréj mówiliśmy w poprzednim artykule (1). Sesya jesienna roku 1866 była właściwie tylko dalszym ciągiem wiosennych obrad, przerwanych zagranicznemi sprawami monarchii. Co do ważności obrad stała ona z tamtą na równi; na niéj bowiem uchwalono ustawę o radzie szkolnéj krajowéj, o téj najwyższéj magistraturze dla szkół ludowych i średnich w Galicyi.

Dziewiętnastego listopada stanął już hr. Gołuchowski jako namiestnik przed reprezentacyą kraju i w przemowie hucznemi przery-

---

(1) Zob. *Ateneum* 1880, zeszyt sierpniowy.

wanéj oklaskami wyraził swe przekonanie, że w skutek cierpkich i długoletnich doświadczeń rozbudziło się we wszystkich warstwach społeczeństwa galicyjskiego poczucie, że jedynie w ścisłém złączeniu się z losami Austryi przyszłość i powodzenie ludności galicyjskiéj zabezpieczone być mogą i że wzajemne zaufanie pomiędzy monarchią a ludem coraz bardziéj się potęguje. W tém powiedzeniu niewiele było przesady, gdyż ludność w Galicyi skołatana dziewięćdziesięcioletniém biurokratyczném prześladowaniem zwróciła się rzeczywiście z zaufaniem i wdzięcznością ku tronowi, zkąd jakie-takie dochodziły do niéj nadzieje.

Czy sejm miał potwierdzić to przekonanie namiestnika, czy miał trwały dać wyraz temu może tylko chwilowemu uczuciu ludności — oto było pierwsze pytanie, które musiało zająć posłów na poufnych zebraniach.

Położenie od ostatniego sejmu o tyle się zmieniło, że wszedł baron Beust do ministerstwa i że nikt jeszcze nie wiedział, co ta zmiana na przyszłość będzie znaczyła. Na niepokojących pogłoskach wszakże nie brakło, złe przeczucia, potwierdzane zachowaniem się niemieckiéj ludności wywoływały zastanowienie. Byli więc bardzo poważni posłowie, którzy sądzili, że na cesarskie pismo odręczne nie trzeba odpowiadać, nie chcąc się niém wiązać wobec możliwego innego kierunku w ministerstwie. Względy zaś szacunku dla monarchy nie nakładały obowiązku téj odpowiedzi, gdyż i tak niespełna przed rokiem podziękował sejm monarsze za utrzymanie działalności szmerlingowskiéj konstytucyi.

Po kilku dniach sejmowych obrad stał się jednak nowy adres prawie koniecznością, gdyż wszystkie sejmy monarchii odpowiedziały adresami na odręczne pismo cesarskie, a te adresy nabierały znaczenia wotów krajów poszczególnych co do formy, jaka ma być nadana przyszłemu ustrojowi monarchii. Nie objawić więc swego zdania, nie przeważyć szali za tym lub owym zwrotem polityki wewnętrznéj, byłoby już błędem nie-do-darowania.

Uchwalone adresy sejmów innych prowincyj miały wielkie znaczenie, wyraźnie cechowały dwa wybitne prądy w monarchii. Na przeciwległych krańcach stały: adres sejmu niższo-austryackiego i adres sejmu czeskiego. Pierwszy z nich był wybitnie niemiecki i centralistyczny, żałował zerwania stosunków z Rzeszą Niemiecką, dokonanego w skutek ostatniéj wojny, a co więcéj: przypisywał zawieszeniu konstytucyi lutowéj winę smutnego téj wojny wyniku, gdyż to zawieszenie miało za sobą pociągnąć rozprężenie i osłabienie monarchii. Adres téż zmierzał bez ogródki do przywrócenia napowrót szmerlingowskiéj konstytucyi i nadania państwu cechy niemieckiéj

którą chwilowo utraciło. Myśli téj wtórował w mniéj lub więcéj dorażny sposób cały chór adresów innych, zupełnie niemieckich lub tych prowincyj, w których Niemcy mają przewagę. Wyjątek stanowił adres styryjski, który o tyle był autonomistyczny, że rad był, aby Węgrom przyznać ich prawa, a z krajami z téj strony Litawy i Karpat ułatwić się po centralistycznemu.

W sejmie morawskim wystąpiły dwa stronnictwa: narodowe i niemieckie, z dwoma wręcz sobie przeciwnemi projektami do adresów, z których jeden przewidywał najzgubniejsze dla monarchii skutki, gdyby odstąpiono od zasad centralistycznych, wypowiedzianych w dyplomie październikowym, drugi zaś przeciwnie nazywał politykę przeciwną konstytucyi szmerlingowskiéj najzgubniejszym krokiem dla rozwoju monarchii. Ponieważ stronnictwa stojące po-za temi adresami liczebnie się z sobą równoważyły, przeto nie podały żadnego adresu, ale sejm ograniczył się tylko na złożeniu hołdu cesarzowi.

W sejmie czeskim, podobnie jak w morawskim pojawiły się dwa projekty adresów; ale tutaj projekt większości był adresem federalistów i zawierał bardzo jasno nakreślony program. Czesi uznawali w nim, że jedność i potęga Austryi jest warunkiem bytu i powodzenia królestwa czeskiego, ale zarazem uważali jako rzecz pewną, że samorząd i narodowo-polityczny rozwój królestwa może tylko wzmocnić państwo austryackie. Dlatego też oświadczyli, że na drodze wskazanéj manifestem wrześniowym (cofającym konstytucyą szmerlingowską) stać będą wiernie przy tronie i mają ufność, że cesarz dotrzyma to słowo, którém zapewnił wszystkim swoim ludom równy wpływ na przyszłe ukonstytuowanie się państwa. Nie przepominał téż adres i o tém, że cesarz kilkakrotnie oświadczył swój zamiar koronowania się w Pradze na króla czeskiego.

Wobec tych otwarcie i stanowczo wypowiedzianych zdań ludów Austryi o przyszłym ustroju monarchii, musiał i adres sejmu galicyjskiego wyjść po-za zakres chwilowych potrzeb i uczuć, a zawrzéć w sobie polityczny program, przy którymby kraj mógł z całém przekonaniem stać na przyszłość. Chwila ta była nader ważna, a sejm galicyjski miał rzeczywiście wielkie przed sobą zadanie. Adres nie powinien był także być wyrazem jakiegokolwiek stronnictwa, ale odbiciem myśli całego narodu.

Tym warunkom odpowiedział adres sejmu galicyjskiego i stał się najważniejszym może i najpiękniejszym aktem reprezentacyi kraju.

Przedewszystkiém należało umotywować szczerze i jasno, jakie stanowisko zamierza naród zająć wobec państwa austryackiego, i dla-

czego takie, a nie inne ma być to stanowisko. Motywa te były zawarte w następujących słowach:

„We własném a głębokiém przekonaniu, mówił adres, czerpiemy tę podnoszącą serca wiarę, że w moc opatrznościowego przeznaczenia i wiedziona dziejów koniecznością, Austrya, aby być i silniéj niż kiedykolwiek zakwitnąć, będzie w wewnętrznym swym ustroju najmocniejszym wyrazem poszanowanéj wolności, tarczą cywilizacyi praw narodowości, ludzkości i sprawiedliwości.

Bez obawy więc odstępstwa od naszéj myśli z wiarą w posłannictwo Austryi i z ufnością w stanowczość zmian, które twoje monarsze słowo jako niezmienny zamiar wyrzekło, z głębi serc naszych oświadczamy, że przy tobie, najjaśniejszy Panie! stoimy i stać chcemy".

Usunąwszy w ten sposób wszelką wątpliwość co do szczerości postępowania ludności polskiéj w Galicyi wobec Austryi, należało stanąć przed tronem z radą co do przyszłego ukonstytuowania się państwa, z którą wszystkie spieszyły sejmy, należało zresztą powiedzieć, *jaka* Austrya może liczyć na najzupełniejsze oddanie się ludności. Stało się to w następującym ustępie adresu: „Zaledwie ucichł szczęk broni, raczyłeś NPanie nanowo otworzyć wytkniętą najwyższym manifestem z dnia 20 września roku zeszłego drogę, na któréj, za współudziałem ludów twoich, założone być mają podwaliny do nowéj budowy konstytucyjnéj.

„Skoro nadejdzie pora, przystąpimy do tego zadania z ufnością i otuchą, bo przekonani jesteśmy, że gdy uznane najwyższym twym dyplomem z dnia 20 paźdź. 1860 prawa i dziejowe tradycye krajów w skład państwa wchodzących dojdą do zupełnego znaczenia, a orzeczenie ludów twoich NPanie, wolnym przez legalnych ich reprezentantów wypowiedziane głosem, skutek otrzyma, *niepodobnym stanie się już system centralizacyi, która paraliżując siły żywotne ludów, podkopywała i wątliła to, co stanowi całą państwa potęgę. W owym to zgubnym systemie leży przyczyna mnogich cierpień naszych i klęsk państwa*" i t. d.

Adres też nie wątpi, że monarcha do tego samego przyszedł przekonania i „z niezachwianą nadzieją oczekuje spełnienia tych wielkomyślnych zamiarów".

„W téj nadziei, mówi adres daléj, utwierdza nas sankcya, najłaskawiéj udzielona wielu pracom organizacyjnym sejmu naszego, utwierdza nas wybór męża wzrosłego wśród nas i znającego nasze stosunki i potrzeby, na pierwszy w kraju urząd twojego, NPanie, na-

miestnika, utwierdza nas zaufanie w szczerość zamiarów obecnych doradców korony".

Rozprawa, która się wywiązała w sejmie przed uchwaleniem adresu, była jedną z najważniejszych i najbardziéj znaczących, jakie się kiedykolwiek obiły o mury galicyjskiéj sali sejmowéj. Mówcy w znakomity sposób wyjaśnili adres, podnieśli całe jego znaczenie, nacechowali ów pakt polityczny, który już nie na podstawie europejskich traktatów, ale na zasadzie dobrowolnego oświadczenia ludności polskiéj w Galicyi ma być zawarty z państwem austryackiém. Najznakomitszą według nas i najbardziéj znaczącą była mowa Ludwika hr. Wodzickiego; rozwijała ona najtrafniéj myśli wypowiedziane w adresie. „Oddajemy się Austryi, mówił on, ale się nie zaprzedajemy; oddajemy się jéj, bo wierzymy, że po ciężkich próbach, przebytych i doznanych klęskach pojmuje ona swoję właściwą misyą, że w spełnieniu téj misyi nam połączyć się z nią godzi i należy. Od rządu zależéć będzie, czy myśl ta w całéj pełni zakwitnie i owoce przyniesie. Forma ustroju konstytucyjnego dozwala zachować wierność dla korony, pomimo chwilowéj opozycyi przeciw jéj doradcom. Jako nieszczęście poczytałbym, gdyby przyszło do tego, abyśmy znowu do opozycyi przerzucić się mieli".

Kiedyby to zaś nastąpić musiało, powiedział hr. Wodzicki w dalszym ciągu swéj mowy, utrzymuję, że „żadne względy uboczne ani nadzieja lepszéj przyszłości nie doprowadziłaby sejmu po raz wtóry do udziału w fikcyi konstytucyjnéj zapoznającéj prawa narodowości". Wiedząc, że ministerstwo nosiło się z myślą zrobienia układu z Polakami, aby tém łatwiéj módz zapanować nad Czechami i innemi słowiańskiemi narodami w Austryi, podnosi mówca, że sprawa wolności jest solidarną, że wolność nadana pewnym tylko krajom, z pokrzywdzeniem innych, nie może być trwałą, że „bez nadziei i otuchy przyjęlibyśmy taki ustrój, któryby ubezpieczał prawa nasze, podczas gdy słuszne domagania się innych byłyby pominięte". Krzywdy innych nie pragniemy, powtarzał mówca, ale zwracając się do Węgrów spodziewał się po nich, że w warunkach swoich nie będą stawiać niczego, coby pokrzywdzać mogło prawa i słuszne żądania innych krajów koronnych.

Mowy posłów hr. Adama Potockiego, Zygmunta Rodakowskiego i Kornela Krzeczunowicza dopełniały pełny akord adresowéj debaty. P. Z. Rodakowski, wielkich zdolności adwokat lwowski, wszedł do sejmu przy uzupełniających wyborach, w październiku r. 1866, z miasta Tarnopola. Objął on położenie polityczne Austryi w swéj mowie; wykazał, w nader jasnych słowach, że polityka wyłącznie niemiecka

nie odpowiada powołaniu monarchii od czasu, jak się w Europie rozwinęła idea narodowości, gdyż Austrya nie składa się z samych niemieckich ludów; że monarchowie Austryi zrzekając się godności cesarzów niemieckich sami się zrzekli dawnego swego dziejowego posłannictwa i że państwo do takowego wracać się nie powinno, gdyż to posłannictwo nazawsze się skończyło. Natomiast mając w swych granicach większość narodów słowiańskich, powinna oprzéć się na nich, niosąc im ideę cywilizacyjną Zachodu. Utrata wpływu w Niemczech nie jest bynajmniéj dla Austryi nieszczęściem, owszem w każdéj śmierci jest nowe życie, a Austrya po klęskach pod Sadową może powstać jako nowe państwo.—Wszystkie te klęski, przez jakie państwo przechodziło w ostatnich latach, przypisywali austryaccy Niemcy zawieszeniu konstytucyi szmerlingowskiéj, jak gdyby skutki miały tak szybko następować po przyczynach. Przeciw tym zarzutom wystąpił hr. Adam Potocki, dowodząc, że w administracyi austryackiéj jeszcze się nic nie zmieniło od czasu niemieckich rządów, gdyż dawni urzędnicy nie zostali dotąd usunięci, a system centralistyczny panował, rzec można, do dni ostatnich. Również wykazał hr. Potocki, że zarzuty centralistów, jakoby ich przeciwnicy byli przeciwnikami wolności, są zupełnie fałszywe, gdyż są oni tylko nieprzyjaciołmi téj konstytucyi, która się posługuje formami konstytucyjnemi, aby pod jéj zasłoną krzewić przemoc jednego szczepu nad drugim.

Wreszcie dał poseł Krzeczunowicz bardzo dokładną odprawę towarzyszom ks. Litwinowicza, którzy wystąpili z innym adresem, żądającym przywrócenia szmerlingowskiéj konstytucyi. Wniosek ten, co do uchwalenia drugiego adresu, przedłożył tym razem izbie ksiądz Dobrzański, a poparł go w długiéj przemowie ks. Naumowicz, utrzymując, że obecnie (pod namiestnikostwem hr. Gołuchowskiego) panuje samowola, a jedynie za Szmerlinga istniało prawo! Zbijając szczegółowo zarzuty o ucisku Rusinów w Galicyi, podniósł poseł Krzeczunowicz polityczną niekonsekwencyą towarzyszy ks. Litwinowicza, którzy wotując w zeszłym roku za adresem stali przy manifeście z d. 20 września r. 1865, dzisiaj zaś idą drogą wprost przeciwną. A przecież cesarz wydał ów manifest, nauczony kilkoletniém doświadczeniem, że ustawa lutowa i szmerlingowska Rada państwa nie mogą doprowadzić państwa do zamierzonego celu. W imieniu Rusinów nie należących do partyi Što-Jurskiéj zaprotestował przeciw temu adresowi poseł Szemelowski, oświadczając w swoim i innych kilku posłów imieniu, że ks. Dobrzański i Naumowicz nie mają prawa występować jako reprezentanci Rusinów w Galicyi, ale co najwięcéj w imieniu małéj swéj frakcyi, bo on przecież, tudzież posłowie Zyblikiewicz, Sawczyń-

ski, Czerkaski i t. d. są także Rusinami, a bynajmniéj nie podzielają improwizowanego przez ks. Dobrzańskiego centralistycznego adresu.

Przy głosowaniu upadł ten adres najzupełniéj, a adres wydziału krajowego przeszedł 84 głosami przeciw 40. Poseł Aleksander hr. Borkowski głosował przeciw adresowi, naturalnie z innych powodów aniżeli Sto-Jurcy.

Deputacya złożona z marszałka, z hr. Potockiego, Ludwika Skrzyńskiego, dra Dietla, Grocholskiego i Kraińskiego, tudzież dwóch włościan zaniosła adres cesarzowi. Ks. arcybiskup lwowski Wierzchlejski nie chciał należéć do deputacyi, obawiając się, aby się w wagonie nie przeziębił....

Odpowiadając na adres, przyjął cesarz do wiadomości zapewnienie wierności reprezentantów Galicyi, z tém większém zadowolnieniem, iż był przekonany, że to zapewnienie jest prawdziwym wyrazem sposobu myślenia narodu, który w trwałym związku z monarchią upatrywał *oddawna* ubezpieczenie swoich interesów. Odpowiedź więc była przychylną, ale nic nie obiecywała, nie wyjawiała bynajmniéj dalszych zamiarów korony albo ministerstwa.

W kraju zrobił adres jak najlepsze wrażenie. Byli wprawdzie tacy, dla których był zamało dobitnym i patryotycznym, ale cała rozsądna większość ludności przyjęła go jako rzetelny wyraz powszechnéj politycznéj myśli.

Rozprawa adresowa dużo zajęła sejmowi czasu, mimo to reprezentacya kraju mogła się z téj sesyi poszczycić nader praktycznym swéj pracy owocem — statutem Rady szkolnéj krajowéj.

Mówiąc o sesyi sejmowéj z roku 1865 na 1866 wspomnieliśmy, że sejm wybrał komisyą edukacyjną, któréj wnioski nie mogły wówczas przyjść pod obrady Izby. Sprawozdawca komisyi dr. Dietl wypracował znakomite sprawozdanie o stosunkach szkół galicyjskich i kierunkach, jakiemi ma postępować reforma. Praca ta, nie czytana w Izbie poprzedniéj sesyi, stanowiła obecnie bardzo pożądaną podstawę do dalszych wniosków.

Komisya musiała sobie przedewszystkiém zdać sprawę ze stanu szkół, jaki pozostawił system centralistyczny po sobie w spuściźnie. Szkół ludowych na papiérze było dosyć dużo, bo 2.547 według obliczenia z roku 1863, mniéj wprawdzie aniżeli np. w Czechach, gdzie pomimo daleko mniejszéj przestrzeni kraju istniało 3.865 szkół ludowych; ale była to zawsze nader poważna liczba. Szkoły były jednak jak najgorzéj urządzone, wykształcenie nauczycieli zaniedbane w najwyższym stopniu, dotacye tak niskie, że niektórzy nauczyciele szkół wiejskich pobierali zaledwie 80 złr. Nauczyciel ludowy byłby musiał najczęściéj zginąć z głodu, gdyby nie był przyjmował na siebie

innych obowiązków, a mianowicie zajęć organisty, śpiewaka, diaka, kapelmistrza, a nawet zakrystyana i dzwonnika. Niedbale wykształcony, często wprost z wojska wzięty do szkoły, źle uposażony, zajęty uboczną pracą, nie mógł naturalnie taki nauczyciel świetnych po sobie pozostawić w szkole owoców. Nadto nie było nigdzie, nawet po miastach szkół „powtarzania,“ w skutek czego szczupły zasób nauk, które chłopak ze szkół wynosił, znikał po kilku latach zupełnie. Ztąd stan intelektualny wiejskiéj ludności i niższych rzemieślników był nadzwyczaj smutny, na prowincyi $^1/_{10}$ rzemieślników nie umiała czytać, $^1/_8$ nie umiała pisać, a tylko 2 na 100 umiało rysować.

Należało więc przedewszystkiém postarać się w drodze ustawodawczéj o wykształcenie dobrych nauczycieli ludowych, a tém samém o założenie seminaryów nauczycielskich, o zabezpieczenie nauczycielom odpowiedniéj dotacyi, o ulepszenie planu szkolnego, a w dalszym ciągu o pomnożenie szkół ludowych i szkół *powtarzania*, czyli, jak je późniéj właściwiéj nazwano, *szkól dalszego kształcenia.*

Nie lepiéj jak ze szkołami ludowemi działo się ze szkołami średniemi. Gimnazyów było 17, a między niemi 12 zupełnych o ośmiu klasach, i 5 czteroklasowych. Do wszystkich 17 chodziło w roku 1863 około 6.000 uczniów, podczas gdy w Czechach przy równéj liczbie ludności uczęszczało 9.000 uczniów do 24 gimnazyów.

Największą klęską szkół było udzielanie nauk w języku niemieckim, któremu poświęcono najwyższe i najdroższe cele nauki. Krzewienie niemczyzny stało się główném szkół zadaniem, szerzenie oświaty i nauki było rzeczą podrzędną. „Jakie są skutki despotyzmu językowego,“ mówił dr. Dietl w swém sprawozdaniu, „obecny stan kraju w najjaśniejszém wykazuje świetle. Galicya, pod wpływem przymusowéj germanizacyi, zniedołężniała i zubożała. Nie przyjął się w ludności galicyjskiéj żywioł obcy, a rodzimy wstrzymany został w swoim rozwoju. Szkół było mało, a i te, które istniały, źle były urządzone, a w źle urządzonych wykładano w języku obcym, albo wcale, albo niedość zrozumiałym. Wychowanie młodego pokolenia, osnute na zdrożnych zasadach, nie mogło rozwinąć moralnych i materyalnych sił kraju. Galicya bogata w różne dary przyrody ubożała wśród swych niezmiernych bogactw, bo nie było ich komu wydobywać w sposób umiejętny. Nauki realne, techniczne, rolnicze, górnicze, przyrodnicze w zupełném były zaniedbaniu, a tę trochę, co uczono, uczono w języku obcym, a zatém z małym dla uczących się pożytkiem. Tak więc młodzież nasza skrzywdzona i upośledzona na duchu, nie mogła spełnić swego powołania; marniały najlepsze siły kraju; kraj w coraz większe popadał ubóstwo.“

Komisya wyciągała ztąd wniosek, iż ze względu na zasady pedagogiczne i na dobro kraju powinny być języki krajowe wykładowemi w miejsce języka niemieckiego, a w wykonaniu tego wniosku przedkładała projekt do ustawy o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich Galicyi.

Plagą szkół średnich stały się książki wykładowe; rozwój systemu edukacyjnego nie był możliwy bez ich polepszenia; kwestya ta jednak zależała przedewszystkiém od ustawy o języku wykładowym, przeto na dalszym planie pozostać musiała.

Daleko niżéj aniżeli gimnazya stały szkoły realne. Było ich w Galicyi tylko cztery, a mianowicie jedna wyższa we Lwowie i trzy niższe: w Tarnopolu, w Brodach i w Śniatynie. Prócz tego wegetowało 12 szkół niższych realnych, połączonych z ludowemi, ale te w zupełności mijały się ze swém przeznaczeniem. Do samoistnych szkół realnych uczęszczało około 600, do niższych około 1.000 uczniów. Sprawozdawca komisyi położył wielki nacisk na reformę szkół realnych, jako będących w związku z materyalném podniesieniem kraju i z powszechnemi potrzebami naszego wieku, wnosił téż, aby zwołać komisye fachowe, któreby się zajęły projektem urządzenia szkół realnych stosownie do potrzeb kraju.

Ze szkołami realnemi wiązały się zakłady naukowe techniczne, jeden we Lwowie, drugi w Krakowie. Do każdego z nich uczęszczało rocznie około 200 uczniów, gdy przeciwnie do dwóch uniwersytetów przeszło 1.000 uczniów było zapisanych. Liczba przeto kandydatów sposobiących się do zawodów produkcyi materyalnéj, o wiele była mniejsza od cyfry kandydatów sposobiących się do zawodów „produkcyi idealnéj“ (jak się wyraził sprawozdawca). A dodać także należy, że obydwie akademie techniczne były urządzone w sposób zupełnie nieodpowiedni wymaganiom postępu.

Uniwersytety: lwowski i krakowski chromały także pod wielu względami; w pierwszym był język; niemiecki w zupełności, w drugim częściowo, językiem wykładowym.

Reformy stały się zatém potrzebne na całéj linii, a wnioski sprawozdania d-ra Dietla szły pod tym względem daleko, żądając, aby ustawodawstwo w sprawach wychowania publicznego przyznane było sejmowi; aby fundusz uiszczany ze skarbu publicznego na wychowanie oddany był pod zarząd sejmu; aby były powołane komisye fachowe w celu dokonania rewizyi planu naukowego wszystkich szkół krajowych; aby była ustanowiona władza edukacyjna krajowa i aby języki krajowe były zaprowadzone jako wykładowe we wszystkich szkołach i zakładach naukowych kraju.

Jak-eśmy powiedzieli, wnioski te nie przyszły pod obrady na ostatnim sejmie, trzeba zatém było nawiązać do nich ponowne wnioski, któreby się obecnie stały podstawą do dalszych obrad. Wydział krajowy podjął się tego zadania. Nie cały system edukacyjny rozwinięty w sprawozdaniu z roku 1865 dał się wszakże odrazu wykonać, trzeba było nadto szukać praktycznych sposobów, jakiemi do zrealizowania zawartych w nim myśli najrychléj dojśćby się dało.

W rzeczach prawodawstwa szkolnego trzeba się było przedewszystkiém oprzéć na zdaniu ludzi fachowych, a do rozwiązania takich kwestyj, jak zastosowanie liczby szkół ludowych do potrzeb kraju, ich urządzenie, reorganizacya szkół „powtarzania,“ zmiany planów naukowych, wykształcenie i wynagrodzenie nauczycieli, szkoły dziewcząt, szkoły pedagogiczne, seminarya nauczycieli, zaprowadzenie gimnazyów realnych, założenie szkół rzemieślniczych i przemysłowych, trzeba było dużo wiadomości i czasu. Wydział krajowy był téż tego zdania, że do przeprowadzenia tak mnogich reform nie wystarczą tylko same obrady parlamentarne, témbardziéj, że sejm nie ma zazwyczaj ani dość czasu, ani dość materyałów, aby spełnić gruntownie tak ważne zadanie. Dlatego téż sądził, że zanim sejm przystąpi do reform szkolnych, powinien stworzyć takie ciało, które czy-to z własnéj inicyatywy, czy téż z obowiązku nałożonego nań przez ustawę, czy téż z polecenia sejmu powinno przedłożyć wnioski tyczące się edukacyi. Przedewszystkiém więc należało stworzyć ciało złożone z ludzi fachowych, *Radę szkolną krajową*, któraby była powołana do stawiania wniosków do sejmu, w sprawach wychowania publicznego. Wynikiem téj myśli był projekt ustawy o radzie szkolnéj krajowéj, magistratury, która dotąd zarządza szkołami ludowemi i średniemi w Galicyi. Jéj statut opiéra się na następujących zasadach:

Rada szkolna krajowa, pod przewodnictwem namiestnika jest w sprawach szkół ludowych i średnich najwyższą władzą naukową i wykonawczą w kraju.

Do jéj czynności należą: Zarząd administracyjny i umiejętny zakładów naukowych, w zakresie przyznanym dotychczas naczelnym władzom politycznym kraju i w obrębie ustaw obowiązujących. Przedstawianie do nominacyi przez N. Pana inspektorów szkolnych. Mianowanie i wszelkie stosunki służbowe dyrektorów i nauczycieli szkół średnich i ludowych, z zastrzeżeniem szczegółowych praw gminom, korporacyom i członkom prywatnym służących. Wygotowywanie ogólnych projektów naukowych (systemów), tudzież częściowych projektów co do szkół średnich i ludowych, które mają wejść w wykonanie jako uchwały sejmowe. Wskazywanie wzorowych

tekstów książek naukowych dla szkół ludowych i zatwierdzanie dla szkół średnich książek wykladowych. Układanie rocznego budżetu dla szkół ludowych i średnich, utrzymywanych lub zasilanych ze skarbu publicznego. Ogłaszanie corocznego sprawozdania w przedmiocie wychowania publicznego.

Jak widzimy, zakres działania rady szkolnéj oparty został na szerokich podstawach, a magistratura, w takie uposażona atrybucye, mogła zdziałać wiele dobrego pod względem publicznego wychowania. W jéj składzie zastrzeżony był wprawdzie odpowiedni wpływ rządowi, ale weszło tam dużo takich żywiołów, które ten wpływ skutecznie łagodzić mogły. Rada szkolna bowiem składa się: z namiestnika lub jego zastępcy, z każdoczesnego referendarza namiestnictwa dla spraw szkolnych, z dwóch duchownych, powołanych przez cesarza, z członka wydziału krajowego wydelegowanego przez wydział, z dwóch delegatów wybranych przez rady miejskie miast Lwowa i Krakowa, tudzież z dwóch osób zaszczytnie znanych w zawodzie naukowym, przedstawionych przez wydział krajowy, a mianowanych przez cesarza. Dziesięciu zatém członków, pod przewodnictwem namiestnika wchodzi w skład rady, z których tylko trzej są ściśle rządowemi osobistościami, podczas gdy inne są ludźmi zupełnie niezależnymi.

Przy dyskusyi nad projektem do ustawy o radzie szkolnéj podnoszono, że ciało administracyjne, złożone z tylu członków zbyt będzie ciężkiém. Zarzut ten, zdaniem naszém, był po części słuszny, co będziemy mieli jeszcze sposobność podnieść, mówiąc o działaniu téj magistratury. Jest wszakże nieuniknioną prawie niekorzyścią władz autonomicznych, że są zbyt mało ruchliwemi machinami, osobliwie wtedy gdy chodzi o bieżącą administracyą, a nie o wypracowanie projektów lub o zasadnicze kwestye. Wiele innych korzyści, jakie kraj osiąga przez zaprowadzenie instytucyj autonomicznych, dzielnie przeważa owe braki wypływające z powolności ich działania, które zresztą w znacznéj części można zmniejszyć zaprowadzając dobry regulamin czynności. Przedewszystkiém jak najmniéj kwestyj powinno być traktowanych na posiedzeniach, a w sprawach bieżących powinny być ustanowione tylko ogólne zasady, którychby się referenci trzymać mieli.

Zarzuty podnoszone przeciw ustawie, jak się tego zresztą spodziewać było można, miały na celu tylko jéj ulepszenie, i tylko od świętojurców wyszedł wniosek przejścia nad nią do porządku dziennego, gdyż według nich sejm nie miał władzy uchwalania tak daleko pod względem wychowania idących ustaw, ponieważ zresztą taka władza prowadziłaby do hegemonii narodu polskiego w Galicyi.

Tym razem prześcignęli znów świętojurcy komisarza rządowego w pieczołowitości o dobro rady państwa, komisarz bowiem nic nie miał przeciwko temu, aby sejm uchwalał ustawy o radzie szkolnéj, oni zaś troszczyli się o to, że sejm przekracza swoję kompetencyą. Znakomicie im wszakże odpowiedzieli posłowie: Ziemiałkowski, Majer i Dietl, jak wogóle w dłuższéj rozprawie podnieśli całe znaczenie nowéj instytucyi. Wniosek przejścia do porządku dziennego upadł naturalnie przy głosowaniu, a ustawa przeszła większością głosów.

Chodziło tylko o to, żeby projektowana magistratura jak najprędzéj mogła być zaprowadzona i aby ominąć możliwe zarzuty, któreby jakaś późniejsza rada państwa mogła wnieść przeciw projektowi, gdyby tenże przyszedł kiedyś pod jéj obrady. Aby ten szkopuł ominąć, uchwalił sejm prośbę do cesarza, by w myśl sejmowego projektu kazał bezzwłocznie zaprowadzić radę szkolną krajową. Była-to praktyczna myśl poddana przez hr. Gołuchowskiego, która, jak się późniéj przekonamy, doprowadziła do pożądanego rezultatu.

Drugą wielkiéj wagi ustawą, która nie potrzebowała czekać na specyalne komisye pedagogiczne a całemu szkolnictwu miała stały nadać kierunek, była ustawa o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich. Komisya sejmowa wychodziła co do szkół ludowych ze słusznéj zasady, że w szkole ludowéj łożąca na jéj utrzymanie gmina winna wybierać język wykładowy, chyba że prywatna fundacya inaczéj pod tym względem postanowi. Szkoła ludowa jest instytucyą gminną, i jako taka winna się stósować do jéj potrzeb i woli. W reprezentacyach zresztą gminnych zasiadają rodzice tych dzieci, które mają uczęszczać do szkoły ludowéj, a rodzicom służy już z natury prawo kierowania wychowaniem dzieci. Wpływ gminy może być jednak ograniczony przyjęciem prywatnéj fundacyi, albo stałego zasiłku dla szkoły, jeżeli fundator, albo ten, kto udziela gminie zasiłku na utrzymanie szkoły, postawił pewne warunki co do urządzenia szkoły, a mianowicie co do języka wykładowego. Wykluczenie wpływu możliwych dobroczyńców szkoły mogłoby zadać dotkliwy cios wychowaniu ludowemu, tamując ich szlachetny zapał. Zasady te mogły naturalnie mieć praktyczną doniosłość tylko w gminach, w których ludność nie do jednego należy szczepu. Zważywszy jednak, że dwa szczepy żyją obok siebie i nawzajem rozumieć się muszą, nie można było gminie pozostawić wolności zupełnego wykluczania nauki drugiego języka krajowego ze szkoły ludowéj, trzeba było zatém postanowić, że, jeżeli gmina przyjmuje jeden język, np. ruski za język wykładowy, to drugi język krajowy, polski, ma być przedmiotem obowiązkowym nauki.

Więcéj trudności w uregulowaniu stosunków językowych przedstawiały szkoły średnie utrzymywane z funduszów publicznych, a mianowicie w miejscowościach z mieszaną ludnością. Według pojęć życia konstytucyjnego i autonomicznego sama ludność o języku wykładowym orzekać powinna. Ponieważ zaś rady powiatowe są najbliższemi téj ludności reprezentantami, więc im-by w téj mierze przyznać należało najważniejsze zdanie. Rady powiatowe jednak nie mają władzy ustawodawczéj, która tylko do sejmu należy; komisya więc była tego zdania, że ostatecznie rzeczą sejmu być powinno uchwalać o języku wykładowym w szkołach średnich, po wysłuchaniu wszakże zdania rad powiatowych.

Taka zasada mogła być dyrektywą na przyszłość; na razie jednak trzeba już było wskazać, czy obydwa języki krajowe są dość wykształcone, aby w nich nauka z pożytkiem w szkołach średnich wykładaną być mogła. Komisya wychodziła z téj pedagogicznéj zasady, że ten język tylko może być wykładowym, który uczniom tak jest dostępny, że udzielona w nim nauka celu swego dopnie, a prócz tego, który wszelkie ma po temu własności, aby zapewnić wyższe wykształcenie uczniów. Komisya przyjęła jako pewnik, że język polski obydwu tym odpowiada warunkom; co do takiéj kwalifikacyi używanego w Galicyi języka ruskiego nie czuła się komisya upoważnioną ostatecznie orzekać, w skutek czego uznała za stosowne oprzéć się na instniejących faktach i zostawić temu językowi w zawodzie szkolnym to pole, które zajął w ciągu czasu, nie przesądzając w niczém przyszłości. Jeżeli wzrośnie potrzeba dalszego rozszerzenia języka ruskiego, język sam sobie drogę utoruje zapomocą konstytucyjnych organów. Projekt ustawy miał mu tylko wskazać drogi, któremi mógł zdążać do tego celu. Komisya uznawała potrzebę stworzenia areny językowi ruskiemu ludowemu, na któréjby się mógł daléj rozwijać, ale była temu przeciwną, aby nią miała być szkoła średnia. Inne pokrewne języki wzniosły się do swéj wysokości nie na ławach szkolnych, ale na polu ścisłéj nauki, za pośrednictwem wykładów uniwersyteckich i na polu niezawisłéj od szkół literatury. „I język ruskiego ludu w Galicyi, mówiła komisya, iść musi tą samą drogą, aby trafić do pożądanego celu. Szkoła jako taka musi miéć przygotowane dla siebie wszystkie warunki bytu: język, nauczycieli i książki wykładowe; tworząc lub kształcąc je dopiéro, puściłaby się na pole eksperymentów, szkodliwych w każdym przypadku sprawie oświaty i wychowania, a prócz tego zdolnych skrzywić naturalny rozwój języka, zmuszając go niejako do przedwstępnych wysileń. Z tém wszystkiém uznała komisya za słuszne umożliwić, aby na teraz prace na polu nauki i literatury, podejmowane w języku ruskim,

mogły się odźwierciedlić bezpośrednio w zakresie szkoły; sądziła, że taka sposobność będzie oraz bodźcem dla naszych ziomków ruskiéj narodowości do szlachetnych zapasów na polu naukowéj literatury.

Na podstawie tych motywów powstała obowiązująca dzisiaj ustawa o języku wykładowym, którą dla lepszego zrozumienia rzeczy i ze względu na jéj wielką wagę w rozwoju wewnętrznym Galicyi, w części przytoczymy. Główne jéj postanowienia są następujące:

Prawo stanowienia o języku wykładowym w szkołach ludowych służy tym, którzy szkołę utrzymują. Jeżeli szkoła ludowa pobiera zasiłek z funduszów publicznych, prawo stanowienia, który z języków, polski lub ruski, ma być wykładowym, wykonywa gmina wspólnie z władzą szkolną krajową w ten sposób, że orzeczenia gminy ulegają zatwierdzeniu władzy szkolnéj krajowéj. W każdéj szkole ludowéj, w któréj część uczącéj się młodzieży używa polskiego, część zaś ruskiego języka, ten język, który nie jest wykładowym, będzie obowiązkowym przedmiotem nauki w granicach szkole odpowiednich. Począwszy od trzeciéj klasy wszystkich wyższych szkół ludowych, język niemiecki jest obowiązkowym przedmiotem nauki. W szkołach średnich, utrzymywanych wyłącznie funduszem prywatnym, czy to gminy, czy osób pojedyńczych lub zbiorowych, językiem wykładowym będzie ten, za jakim się oświadczą ci, co dla szkoły funduszów dostarczają. W szkołach średnich utrzymywanych w części lub w całości z funduszów publicznych, językiem wykładowym jest język polski z następującemi zastrzeżeniami: *a*) język ruski pozostaje jako wykładowy dla nauki języka ruskiego, tudzież w czterech niższych klasach gimnazyum akademickiego we Lwowie; *b*) o czasowéj potrzebie i możności zaprowadzania obok wykładów ruskich w pojedyńczych przedmiotach nauki, orzeka w każdym danym wypadku władza szkolna krajowa, na żądanie rodziców przynajmniéj 25 uczniów; *c*) w klasach z językiem wykładowym ruskim nauka języka polskiego w szkołach średnich, z językiem wykładowym polskim nauka języka ruskiego jest obowiązkiem względnym, to jest zależnym od oświadczenia się w téj mierze rodziców; *d)* dopóki ustawa krajowa inaczéj nie orzecze, pozostaje język niemiecki językiem wykładowym w gimnazyum II we Lwowie i gimnazyum niższém realném w Brodach. O zmianach co do języka wykładowego w szkołach średnich z funduszu publicznego utrzymywanych wogóle, a w szczególności mających na celu stopniowe rozszerzanie wykładów w języku ruskim przez zaprowadzenie go stale, bądź w pojedyńczych klasach, bądź z czasem w całych gimnazych lub szkołach realnych, stanowić będzie na przyszłość sejm po wysłuchaniu rad

powiatowych. Uczącym się, względnie ich rodzicom lub opiekunom, zostawia się wolność w wyborze szkoły tak, że uczniowie bez względu na obrządek słuchać mogą polskich lub ruskich wykładów.

Szczytem dyskusyi nad tą ustawą była mowa posła Zygmunta Sawczyńskiego, pełna zapału, trafnych historycznych i politycznych poglądów. Skierowaną ona była naturalnie tylko przeciw stronnictwu świętojurskiemu, bo ustawa w izbie nie miała innych przeciwników. Przemawiał wprawdzie przeciw niéj poseł Aleksander hr. Borkowski, który nie widział powodu uczenia języka ludowego ruskiego w szkolach średnich, uważając język polski za język oświeconéj warstwy narodu, ale doprowadził swe argumenta *ad absurdum* wnosząc: aby w szkołach średnich i wyższych językami obowiązkowemi były albo wszystkie słowiańskie języki albo przynajmniéj główniejsze z nich. Téj opozycyi jednak przeciw ustawie nie można było brać naseryo. natomiast gwałtowne ataki wychodziły tylko od świętojurców. Żądali oni, jak zwykle, przejścia do porządku dziennego nad ustawą, opierając się na tém przypuszczeniu, że język ruski, którym mówi ludność wiejska w części Galicyi, jest dość wykształconym do wykładów szkolnych, że zatém częściowe tylko wprowadzenie go do szkól jest pogwałceniem naturalnych praw tego ludu.

Poseł Sawczyński, sam Rusin, był więcéj jak kto inny powołany odpowiedzieć na namiętne świętojurców zarzuty. Sprowadził on téż ich roszczenia do właściwéj miary. „Każdy język,“ mówił, „utrzymuje się swoją własną, nietylko przyrodzoną, lecz i w pracy dziejowéj zdobytą ciężkością, to jest tym ciężarem, jaki w nim złożył w ciągu wiekowych usiłowań duch narodu, czyli połączone prace plemion w skład narodu wchodzących i pod jednym pracujących sztandarem. Tą tylko ciężkością trzyma się język na dziejowéj widowni, nią zdobywa sobie miejsce i stanowisko w dziedzinie nauki i oświaty, nią szerzy się i zajmuje mniejsze lub większe obszary, w miarę jak daleko ciężkość ta zaważyć i wpływ wywrzéć zdoła. I dopóki język nie ma w sobie tego własnego ciężaru, dopóki nie wywiera téj grawitacyi dziejowéj; dopóty żadnemi, chociażby najenergiczniejszemi usiłowaniami, żadnemi sztucznemi środkami podtrzymać się nie da na wysokości czasu, dopóty zadaniu swemu, aby być narzędziem rozpowszechniania właściwéj wyższéj oświaty, nie podoła.“

Ciężkości téj, jaką sobie wyrobił ludowy język ruski w Galicyi, w zupełności, sumiennem przekonaniem posłów polskich, odpowiadała powyższa ustawa. Skutki jéj, jak to jeszcze się przekonamy, były bardzo zbawienne i praktyczne. Ustawa ta otrzymała dopiero

cesarską sankcyą 22 czerwca r. 1867 i jeszcze w ciągu roku 1867 weszła w wykonanie.

Powiedzieliśmy, że, przedkładając swe wnioski do ustawy o radzie szkolnéj krajowéj i ustawy o języku wykładowym, wychodził wydział krajowy z zasady, że dalsza reforma szkół dopiéro z fachowéj inicyatywy rady szkolnéj wychodzić może. Były jednak ważne części téj reformy, które już wtedy, bez szczegółowych badań zaprowadzić się dały. Chodziło więc o to, aby z rozwiniętego przez piérwszą komisyą edukacyjną (w roku 1865) planu wyjąć obecnie te ogniwa, które bez zerwania całości łańcucha szkolnéj reformy wydobyć się dały. Nikomu ta praca bardziéj nie przystała, jak d-rowi Dietlowi, który, jak wiemy, był dawniejszym sprawozdawcą komisyi edukacyjnéj.

Na jedném więc z pierwszych posiedzeń sejmu postawił dr. Dietl wnioski względem zaprowadzenia szkół „powtarzań,“ założenia seminaryów nauczycielskich, względem uregulowania płacy i emerytury nauczycieli szkół ludowych, następnie co do reorganizacyi instytutu technicznego w Krakowie, a wreszcie co do zaprowadzenia komisyi egzaminacyjnéj dla nauczycieli szkół średnich przy uniwersytecie krakowskim.

Ostatni wniosek był bardzo ważny, gdyż dotąd kandydaci na nauczycieli gimnazyalnych musieli jeździć do Wiednia celem składania profesorskich egzaminów. Utrudniało to uboższym ludziom możność starania się o posady nauczycieli, a nawzajem ułatwiało wiedeńczykom i kandydatom z innych austryackich uniwersytetów otrzymywać posady w Galicyi; mówiono bowiem zazwyczaj, że Galicya nie ma dostatecznéj liczby kandydatów na nauczycieli, *ergo* trzeba posyłać tam obcokrajowców. Zresztą przy zaprowadzeniu języka polskiego, jako wykładowego, stawała się komisya egzaminacyjna koniecznością, bo kandydatów w *tym* języku trzeba było egzaminować, w jakim wykładać mieli. Ponieważ jednak postanowienie co do komisyi egzaminacyjnéj usuwało się z pod kompetencyi sejmu, jako sprawa uniwersytecka, przeto sejm uchwalił tylko zanieść prośbę do cesarza, aby raczył polecić zaprowadzenie takiéj komisyi w Krakowie.

Również dwa inne wnioski, a mianowicie co do szkół „powtarzania“ i reorganizacyi instytutu technicznego w Krakowie nie kwalifikowały się właściwie do traktowania w sejmie; więc sejm mógł je tylko poruszyć. Co do piérwszych trzeba było tylko wykonać istniejące przepisy, co do instytutu technicznego, dla braku kompetencyi sejmu do postanawiania o wyższych zakładach technicznych, trzeba było tylko wezwać namiestnictwo, aby zechciało wy-

jednać stanowczą i potrzebom kraju odpowiednią reorganizacyą tego zakładu.

Tak się téż stało.

Po bliższém rozpatrzeniu się potrzebował i wniosek o zaprowadzeniu seminaryów nauczycielskich głębszego jeszcze zastanowienia, a przeto sejm uchwalił tylko polecić wydziałowi krajowemu, aby na najbliższéj sesyi sejmowéj przedłożył projekt urządzenia seminaryów dla nauczycieli szkół ludowych.

W ten sposób załatwione zostały kwestye edukacyjne na tym sejmie, a skutek pracy był znakomity, bo oprócz ustaw o radzie szkolnéj i języku wykładowym, które, jak wiemy, zostały sankcyonowane, prośba o zaprowadzenie komisyi egzaminacyjnéj także przychylnéj doznała odpowiedzi.

Najważniejszą pracą, jaką się mógł sejm poszczycić obok prac edukacyjnych, była zmiana sejmowéj ordynacyi wyborczéj celem powiększenia liczby posłów z miast. Ponieważ, jak nam wiadomo, statut krajowy i sejmowa ordynacya wyborcza były układane za centralistycznych czasów, więc starano się o to, aby element miejski jak najsłabiéj był w sejmie reprezentowany; element ten bowiem przedstawiał zawsze oświatę, a centralistom chodziło o to, aby miéć w sejmie jak najwięcéj niewykształconych wieśniaków i księży świętojurców. Sejm zatém uchwalił, aby w ten sposób zmienić ordynacyą wyborczą, aby z miast o 12 posłów więcéj aniżeli dotąd było wybieranych. Przeprowadzić zmianę ustawy wyborczéj w sejmie nie było łatwo, bo to wymagało większości $^2/_3$ głosów. Trudności jednak zostały pokonane, a przy imienném głosowaniu ustawa została uchwaloną, mimo przeciwnego głosowania świętojurców. Według nowéj ustawy miał sejm galicyjski liczyć zamiast dotychczasowych 151, na przyszłość 163 posłów, pomiędzy którymi miało być 35 posłów z miast. Odpowiadało to zresztą w zupełności rzeczywistym stosunkom. Wsie bowiem same, bez miast i miasteczek, tudzież bez obszarów dworskich płaciły w kraju 2.880.000 złr. podatku, miasta zaś 1.500.000 złr., a więc ostatnie płaciły więcéj jak połowę tego, co gminy wiejskie. Tymczasem posłów z gmin wiejskich było 74, a z miast tylko 23, podczas gdy sprawiedliwość wymagała, aby tych właśnie było przynajmniéj 38 do 40.

Wydział krajowy stanął przed tym sejmem po raz piérwszy z pozytywnemi rezultatami swych czynności, gdyż rząd oddał mu wreszcie większą część funduszów i zakładów krajowych, w dniu 1-go października r. 1866. Rozpoczęła się zatém nowa era w rozwoju téj magistratury; dotąd bowiem dopominała się ona tylko o swoje prawa, walczyła o swój zakres działania, obecnie zaś miała wy-

stąpić jako władza administracyjna, dzieląca się zarządem kraju z namiestnictwem i starostami.

Dwie władze administracyjne w kraju to pomysł niezupełnie szczęśliwy, pomysł, który się zrodził w głowach centralistów i dotąd ani w Austryi, ani po za jéj granicami nie był zastosowany. Zachodni konstytucyonalizm nie znał takiéj instytucyi, jak wydział krajowy, owszem, angielski system reprezentacyjny przyjął oddawna zasadę, że ciała prawodawcze nie powinny ani same, ani przez swe delegacye trudnić się administracyą, bo do tego potrzeba ludzi specyalnie wykształconych, którzyby byli wprost odpowiedzialnymi temu, kto ich mianuje. Ciała reprezentacyjne nie mają ani czasu ani sposobności wyszukiwać ludzi zdolnych do administracyi, a działając często pod chwilowym wpływem, zwykły się kierować innemi względami aniżeli ścisłą potrzebą służby przy ich wyborze. A cóż dopiéro powiedziéć o takim pomyśle urzędu, jakim miał być wydział krajowy, po części władzy administracyjnéj i wykonawczéj bez egzekutywy, która, aby coś przeprowadzić, musi się udawać do starostwa. Z drugiéj strony ta władza miała być ciałem kontrolującém rady powiatowe i gminne, a w części wreszcie komisyą przygotowującą wnioski prawodawcze do sejmu. Centraliści jednak wiedzieli, co robili, spodziewali się oni, że instytucya wydziałów krajowych odda im dobre usługi, w niemieckich bowiem prowincyach potrafi mniéj więcéj wszystkie ważniejsze krajowe agendy przejąć na siebie i przeciwważyć możliwym zamachom administracyi rządowéj, niezgodnym z życzeniami ludu; w prowincyach zaś słowiańskich chcieli jéj pozostawić tylko zakres działania iluzoryczny, zrobić z niéj bawidełko autonomiczne.

Oddając więc zarząd funduszów w ręce wydziału galicyjskiego, niemałą wybiło ministerstwo Belcrediego szczerbę w tych nadziejach centralistów. Chodziło więc teraz o to, aby ten wydział rzeczywiście chciał i umiał administrować to, co mu oddaném zostało, i aby miał poparcie w krajowym rządzie, w razie gdyby potrzebował egzekutywy. Co do piérwszego trzeba było przedewszystkiém wiele dobréj woli i pracowitości członków. Wyobraźmy sobie bowiem, że sejm wybiera dzisiaj kilku obywateli ze swego grona, którzy za małe wynagrodzenie mają stale zamieszkać we Lwowie, stać się urzędnikami, jeden z nich ma objąć referat szpitali, ma nadzorować lekarzy i przedsiębiorców, inny prowadzić budowy dróg i mostów, trzeci nadzorować majątki gmin i powiatów i td. Ludzie ci musieli się przedewszystkiém uczyć swego przyszłego zajęcia, musieli rozczytywać się w dziełach traktujących o przedmiotach ich administracyi, często robić podróże za granicę, aby się obznajmić z urządzeniem

szpitalów, zakładów dla obłąkanych i td. Przyznać jednak trzeba, że rozwój wydziału krajowego głównie temu zawdzięczyć należy, że się znaleźli ludzie, którzy w zupełności umieli odpowiedzieć powyższym warunkom, a gdybyśmy przeszli wykaz tych członków, którzy dotąd zasiadali w radzie wydziału, małoby się okazało takich, którzy nie przyczynili się do jego rozwoju, większość zaś rzetelnie pracowała nad dobrem kraju.

Równie ważną rzeczą dla rozwoju wydziału krajowego, jak wybór osobistości, było poparcie ze strony władz administracyjnych. Pod tym względem wszakże zrobił hr. Gołuchowski nadzwyczaj dobry początek. Powtarzał on przy każdéj sposobności starostom, że naczelnika powiatu będzie sądził według tego, czy żyje w harmonii z radą powiatową; starosta, któryby reprezentacyi powiatowéj nie przyszedł w pomoc, gdy chodziło o egzekucyą przy robotach dróg powiatowych lub przy innych okolicznościach, najgorzéj był zapisany. Nacisk taki z góry był z początku koniecznie potrzebny i pożyteczny, obecnie stosunek utarł się najzupełniéj, a nieporozumienia pomiędzy starostą a wydziałem powiatowym należą już i z tego powodu do bardzo rzadkich wyjątków, że obecnych urzędników galicyjskich tak dobrze obchodzi dobro kraju, jak i radę powiatową.

Wydział krajowy odbierał administracyą zakładów krajowych od rządu, w prawdziwie opłakanym stanie. Szpitale w najzupełniejszém były zaniedbaniu, nawet szpital lwowski nie należał do wyjątków, a prócz lekarza naczelnego nie było przy nim doktorów medycyny, tylko sami chirurdzy. Na prowincyi jeszcze się działo gorzéj. W Złoczowie wypuścił rząd szpital w dzierżawę Żydówce, która za dzienną opłatę od chorego miała obowiązek utrzymywania lekarza i dostarczania lekarstw, żywności, bielizny i td. Naturalnie nie opłacała drogo lekarza, ale przyjęła za tanie pieniądze jakiegoś żydka z Węgier za eskulapa, szpital zaś umieściła w wilgotnéj, walącéj się chałupie, a bielizny i pościeli brakowało. Prawie wszystkie prowincyonalne szpitale mieściły się w wynajętych domach.

Dzisiaj po latach kilkunastu krajowéj administracyi we wszystkich szpitalach są medycy, we Lwowie i Krakowie powiększono szpitalne gmachy, które obecnie w niczém nie ustępują najznakomitszym zagranicznym szpitalom; wybudowano ogromny zakład dla obłąkanych w Kulparkowie, pode Lwowem, urządzono filie dla nieuleczalnych umysłowo chorych w Przemyślu i w Żółkwi i wybudowano wiele szpitalów na prowincyi.

W równie smutnym stanie jak szpitale odebrał wydział krajowy od rządu drogi krajowe i powiatowe, a było ich bardzo mało. Wydział zorganizował służbę drogową, posprowadzał wielu inży-

nierów Polaków, którzy mieszkali za granicą, podokończał najprzód drogi w różnych czasach przez rząd zaczęte, a niepokończone. Rząd dbał tylko o gościńce, o drogi wojskowe, te bywały w bardzo dobrym utrzymywane stanie, niewiele mu jednak chodziło o drogi krajowe służące li tylko interesom kraju, gdy tymczasem wydział krajowy całą swą uwagę zwrócił na komunikacye ważne pod względem ekonomicznym i rzeczywiście bardzo wiele pod tym względem zdziałał. Za przykładem wydziału krajowego poszły wydziały powiatowe, a w kilkunastu ostatnich latach powstało w Galicyi mnóstwo dobrych dróg powiatowych i gminnych.

Galicya posiada dużo funduszów stypendyjnych dla młodzieży szkolnéj i uniwersyteckiéj. Stypendya te rozdawał rząd w sposób dogodny referentom biur szkolnych; protekcya zwykle zwyciężała nad prawdziwą zasługą. Od czasu jak stypendya są w administracyi wydziału krajowego, wielka w ich rozdawaniu panuje sprawiedliwość, a główną w téj mierze zasługę trzeba przypisać referendarzowi p. Oktawowi Pietruskiemu.

Na tém miejscu przychodzi nam tylko o tém mówić, co wydział krajowy od rządu odebrał i ulepszył, późniéj podniesiemy niejedno, co nanowo zaprowadził, a sumiennie powiedzieć możemy, że ta magistratura chociaż teoretycznie, jak powiedzieliśmy, na fałszywych spoczywająca podstawach, bardzo wiele zrobiła dla kraju dobrego. Są wprawdzie i obecnie w Galicyi deklamatorowie, którzy wiecznie narzekają na autonomią i wiecznie mają coś do krytykowania; ale tym panom radziłbym lepiéj rzeczy poznać i lepiéj porównywać przeszłość z teraźniejszością. Zresztą postęp tak dalece jest widoczny, że i tych deklamacyj coraz mniéj każdego roku.

Otóż wracając do sesyi sejmowéj z roku 1866, wydział krajowy po raz piérwszy mógł stanąć z pewnemi zwycięstwami przed reprezentacyą kraju; jego sprawozdanie też jak najlepiéj było przyjęte. Budżet krajowy nie był jeszcze i na rok 1867 dziełem wydziału krajowego, gdyż nie miano jeszcze czasu sporządzić go na zupełnie nowych podstawach, ale uzupełniono tylko i poprawiono to, co w wypracowanym przez rząd projekcie narazie do poprawienia się znalazło. Fundusz krajowy nie posiadał znaczniejszego własnego majątku, gdyż dobra z czasów Rzeczypospolitéj polskiéj nie zostały mu zwrócone, ale dawno w większéj części poprzedawane; więc wszystkich prawie środków na pokrycie wydatków krajowych dostarczać musieli opodatkowani. Funduszów krajowych, w ściślejszém tego słowa znaczeniu, oprócz funduszów szpitalnych, stypendyjnych i innych specyalnych, odebrał wydział krajowy od rządu (3o września 1866) zaledwie cośkolwiek więcéj nad 2oo.ooo złr. Rządy więc cen-

tralistyczne nie mogły się poszczycić hojną spuścizną, przemarnowały ogromne dobra krajowe i zaledwie nic-nie-znaczące pozostawiły okruchy.

Wydatki krajowe na rok 1867 były ogółem preliminowane na 1.074.995 złr. na pokrycie których miał wydział z własnych źródeł dochodowych tylko 171.000 złr. Pozostawał niedobór w kwocie 903.904 złr. który musiał być pokryty dodatkami do podatków stałych, i to znacznemi dodatkami, bo wynoszącemi po 15 centów od każdego guldena. Największym jednak ciężarem był dodatek indemnizacyjny na spłatę kapitału wykupu powinności włościańskich, który wynosił ni mniéj ni więcéj tylko 51 centów od każdego guldena stałych podatków. Wielkie te podatki niszczą dotąd Galicyą, pożerają pracę ludności i tamują materyalny jéj rozwój. Przybyły do tego podatki powiatowe, gminne, szarwarki na drogi, konkurencye do budowy i utrzymywania szkół i kościołów, tak, iż galicyjska gmina wiejska zaledwie je znieść może.

Otóż ciężar podatków zaważył zaraz w piérwszym budżecie krajowym całym swym ogromem; rady jednak nie było, trzeba było podstawić barki i pocieszać się przynajmniéj tém, że dobre lata dla rolnictwa w części przynajmniéj ulżą tego ciężaru. Nadzieje wszakże były błahe, bo w ostatnich latach piętnastu lat dziesięć było niepomyślnych, a kilka nawet nieurodzajnych, tak że kraj musiał zaciągać pożyczki, aby ratować ludność niektórych, zwłaszcza górskich okolic, od głodowéj śmierci.

Na dniu 31 grudnia 1866 został sejm zamknięty, sześcioletnia kadencya upłynęła, posłowie mogli składać mandaty z przekonaniem, że bądź-co-bądź praca ich nie była marną i że położyli fundament do lepszéj przyszłości, a jeżeli kraju nie można było odrazu otrząść z biedy, w którą go wtrąciły centralistycze rządy, to przynajmniéj mógł się rozwijać nieco swobodniéj i mógł wytworzyć w sobie siły do skuteczniejszéj niż dotąd pracy ekonomicznéj.

*Ignotus.*

*(C. d. n.)*

———————

# Najnowszy a jednak stary zwrot w filozofii naszéj.

O wiedzy ludzkiéj. Napisał Ignacy Skrochowski, doktor filozofii. Kraków 1880, str. 263.

---

Zabierając się do czytania jakiéj książki, lubię wejść w bliższą idealną znajomość z jéj autorem, poznać jego sposób jeżeli nie czucia, to myślenia przynajmniéj i to nie tylko w tych sprawach, które szczegółowo w danym razie obrabia, ale także w ogóle — w zastosowaniu do spraw innych. Znaczy to, że pragnę poznać nie specyalistę jedynie, ale i myśliciela także, a jeżeli się da — to i człowieka.

Ciekawość ta, zarówno naturalna jak i naukowe znaczenie mająca, wzmaga się oczywiście jeszcze bardziéj wtedy, gdy mamy przed sobą umysł, któryjak młody orzeł zaprawiający się do lotu probuje sił swoich w kierunkach rozmaitych, zanim jeden jakiś obrawszy, ustali pojęcia swoje, zanim wykreśli sobie drogę dalszego polotu. W tym wypadku cechy pewne i właściwości pisarza, jego upodobania i wstręty uwydatniają się często — bardzo wyraźnie, niekiedy — bardzo jaskrawo. Umysł, nie nabywszy jeszcze subtelności, a może nie przejąwszy się jeszcze zwątpieniem, wypowiada się odrazu i poprostu, a nie umiejąc lub nie chcąc zakrywać swoich szczególnych skłonności, stoi dla spostrzegacza otworem.

Wziąwszy do ręki rzecz p. *Skrochowskiego* „o wiedzy ludzkiéj,“ odwołałem się do swéj pamięci z pytaniem, czém nazwisko autora tego w niéj się zaznaczyło. W odpowiedzi budzić się zaczęły wspomnienia. Nazwisko to wyczytałem najprzód w podpisie pod szeregiem artykułów, stanowiących całą książkę, p. n. „Studya do (!) historyi nowego cesarstwa w Niemczech“ (w „Przeglądzie Polskim“ 1873, potém z drobnemi zmianami w tytule i w treści w „Przeglądzie Miesięcznym“ r. 1874 i 1875, tudzież osobno). Następnie w trzy lata po-

tém, zauważyłem, że nazwisko p. Skrochowskiego figurowało na „Przeglądzie Polskim“ w charakterze redaktora odpowiedzialnego, spotkałem je nadto w podpisie pod „Wycieczką do obozu Don Karlosa“ (w „Przeglądzie Polskim“ r. 1875 i 1876). Były-to jednak wspomnienia zatarte i mętne; musiałem je odświeżyć i uporządkować odczytaniem tych artykułów nanowo.

Gdym pracy téj dokonał, autor przedstawił mi się z jednéj strony jako znawca stosunków politycznych najnowszych, jako opowiadacz-kompilator różnych faz, którym podlegało życie polityczne Niemiec od roku 1848 do 1866; z drugiéj zaś strony jako chłodny ale zawzięty wielbiciel „rycerza średniowiecznego“, występującego do walki z hydrą liberalizmu buszującą w państwie i społeczeństwie nowoczesném. Jeżeli w „Studyach do (!) historyi nowego cesarstwa w Niemczech,“ ciężko zniemiecka zatytułowanych, był przedewszystkiém sprawozdawcą badań cudzych, rzadko kiedy dając wolne ujście swym przekonaniom i upodobaniom; — to już w „Wycieczce do obozu Don Karlosa,“ któréj starał się nadać lekkość francuską, poszedł dobrowolnie „pod pantofel chwilowych wrażeń“ (słowo p. Skrochowskiego, nie moje, patrz: „Przegląd polski“ 1875, tom IV, str. 399) i nie krępując się, wypowiedział swój wstręt do porządku panującego w dzisiejszym świecie ucywilizowanym, gdzie (według niego) „sekta rewolucyjna doszła do bezwzględnego steru;“ a natomiast wyraził niedwuznaczne sympatye swoje dla idei wieków średnich, których powrotu z utęsknieniem oczekiwał. Wstrętów tych i sympatyj nie dopatruję się bynajmniéj w samym fakcie wizyty złożonéj Don Karlosowi. Gdyby to była zwykła wycieczka, ciekawością publicysty wywołana, nie miałaby w sobie nic znamiennego, nie zwracałaby na siebie baczniejszéj uwagi. Takich wycieczek robiono już dużo i robić będą jeszcze więcéj. Ale wycieczka owa do obozu Don Karlosa miała w sobie coś z charakteru pielgrzymki... W obozie hiszpańskiego legitymisty, podnoszącego chorągiew wojny krzyżowéj, miały się znaléść ideały, które „zbydlęconą“ Europę powinnyby były odrodzić... Tu Don Karlos przedstawił się naszemu *interviewerowi* jako mąż nie tylko dużéj ręki, ale i świetnego umysłu, a jego sposób postępowania wydał mu się wzorem do naśladowania danym zmateryalizowanéj i bezbożnym liberalizmem zarażonéj cywilizacyi. „Śmieszna“ — w oczach Don Karlosa — „komedya nowożytnego parlamentaryzmu,“ śmieszną jest i w oczach p. Skrochowskiego. Plan zaś restauracyi rządów legitymistycznych przedsięwzięty przez Don Karlosa wydał mu się tak znakomitym, tak wielkim, tak wspaniałym, że zdaniem jego „nie tylko saméj Hiszpanii zrujnowanéj rewolucyą mógłby się przydać“ („Przegl. Pol.“ 1876, I,

415). Nie będę się tu rozpisywał nad nieziszczonemi proroctwami co do zwycięstwa „wojny religijnéj,“ podjętéj przez Don Karlosa, ale niepodobna mi nie zanotować, że autor wszedłszy w fazę wywnętrzania się, naprowadzony imieniem Loyoli na uwielbienie Hiszpanii, gdzie nawet „brudy mają swój blask i przezroczystość,“ nie wahał się złożyć swego „śmiałego“ wyznania, że „zalew reformacyi zgubniejszym był od zalewu islamizmu.“ (*Tamże*, str. 416).

Wobec takiego objawu, wobec takiego umysłu, co obeznany z prądami myśli i dążności spółczesnych jest bezwarunkowym wielbicielem ideałów średniowiecznych a warunkowym czcicielem potęgi islamu, budzi się wielce usprawiedliwiona ciekawość, jak téż przezeń pojęta będzie sprawa tak niesłychanie ważna zawsze a szczególnie dzisiaj, jaką jest kwestya „wiedzy ludzkiéj.“

## I.

Do roztrząsania téj kwestyi bierze się autor bardzo zręcznie, z istnie publicystycznym talentem. Zyskuje sobie przedewszystkiém spółczesnego czytelnika przyznaniem, że jedynie metoda doświadczalna, z takim pożytkiem w naukach przyrodniczych stosowana, może doprowadzić i w filozofii do zadawalniających wyników. Następnie trzema szerokiemi zamachami pióra burzy wspaniałe gmachy wiedzy filozoficznéj wzniesione przez trzy przodujące w oświacie narody: Anglików, Francuzów i Niemców, a burzy je używając ulubionych obecnie narzędzi, któremi postępowcy szturmują zazwyczaj do twierdz zachowawczych. Zarzuca on mianowicie badaczom obcym, iż metody doświadczalnéj nie stosowali do badań swoich „dość ściśle, dość szczerze, dość całkowicie,“ ba! co gorsza, używali jéj „najczęściéj po dyletancku“ (str. 13). Tym sposobem daje nieznacznie a skromnie do poznania, że dopiéro w jego dziele metoda doświadczalna zastosowana zostanie ściśle, szczerze, całkowicie a co najważniejsza gruntownie... Równocześnie z tém ryczałtowém potępieniem dyletantyzmu uczonych zagranicznych, schlebia się dumie narodowéj, że oto wśród nas posiadamy męża, co Anglików, Francuzów i Niemców może nauczyć rozumu... Serce nam rośnie, gdy słyszymy te obietnice, gdy czujemy pośród siebie obecność jeżeli nie gieniuszu, to w każdym razie talentu pierwszorzędnego, który sam wprawdzie metody doświadczalnéj nie wynalazł, ale potrafi ją samodzielnie, ściśle, szczerze, całkowicie a co więcéj nie podyletancku stosować...

Kiedy już nas p. Skrochowski rozkołysał i zapalił do swojéj *najeksperymentalniejszéj* metody, zaczyna nas dopiéro przysposabiać do pewnego zwrotu niespodziewanego, któryby, wypowiedziany wprost, może zraził od siebie. W tém właśnie widzimy wielką finezyą ze strony autora. Powiedziéć odrazu, że nie ma poco łamać sobie głowy nad zagadnieniami psychologicznemi, bo już oddawna scholastycy najwyborniéj je rozwiązali, znaczyłoby to tyle, co odstręczyć sobie znaczną liczbę czytelników, mających nader niekorzystne pojęcie o scholastyce. Ale natrącić toż samo po wyśpiewaniu dytyrambu na cześć metody eksperymentalnéj, po ostréj wymówce zrobionéj uczonym angielskim, francuskim i niemieckim, że metodę tę po dyletancku uprawiając, dyskredytują najdzielniejszy środek udoskonalenia wiedzy; to już całkiem inaczéj na czytelnika oddziaływa, każe mu bowiem spodziewać się jakiéjś kombinacyi gienialnéj, jakiegoś odkrycia niespodziewanego.

Czy nadzieję taką ziści, o to publicysta nie dba; chodzi mu bowiem głównie o wywołanie pewnego nastroju w duszy czytelnika, nie zaś o przekonanie go za pomocą naukowych dowodów. To téż dobrze obmyślanym manewrem p. Skrochowski zabezpiecza sobie odwrót przy końcu wstępu. Dawszy napis książce swojéj: „O wiedzy ludzkiéj,“ ogranicza ją tutaj do znaczenia „prolegomenów *co najwięcéj* do przyszłéj może kiedyś większéj książki o tym przedmiocie“ (str. 22). Znaczy to: nie wymagajcie od autora zbyt dużo, nie spodziewajcie się posłyszéć tego wszystkiego, co mi o *poznawaniu* wiadomo, nie spodziewajcie się mianowicie, żebym nie po dyletancku zajmował się kwestyą wiedzy ludzkiéj; bo ta książka to tylko „co najwięcéj“ prolegomena; ale bądź-co-bądź nabierzcie nadziei, że może kiedyś usprawiedliwię wasze nadzieje... Tymczasem zadowolnijcie się tém, co daję.

Zadowolnijmy się i zobaczmy najprzód, jaki jest stosunek naszego autora do anatomów, fizyo- i psychologów spółczesnych. Licznemi cytatami w tekście i przypiskach daje p. Skrochowski poznać, że nie obce mu są dzieła Müllera, Köllikera, Schenka, Quain-Hoffmanna, Dondersa, Wundta, Klaudyusza Bernarda, Littrégo; a daléj: Milla, Lewesa, Baina, Spencera, Taine'a (1) i innych. Pod względem zewnę-

---

(1) P. Skrochowski zna dzieło Taine'a: *de l'intelligence*, ale widocznie nie wié, że je posiadamy w przekładzie polskim S. Tomaszewskiego (Warsz. 1873), gdyż cytaty podaje francuskie. Robimy dobrowolnie krzywdę własnéj literaturze, nie użytkując z niéj i nie rozpowszechniając o niéj wiadomości. Uczmy się szanować własne piśmiennictwo za przykładem cudzoziemców, którzy utwory na język swój tłómaczone w tém właśnie tłómaczeniu przytaczać zwykli.

trznym tedy erudycya autora naszego przedstawia się nader pokaźnie. Czy tak samo jest pod względem wewnętrznym? Na to pytanie trudno odpowiedzieć stanowczo, jeżeli się nie chce popuścić zanadto cugli domyślnéj wyobraźni. Wprawdzie p. Skrochowski patrzy zawsze z góry na tych autorów, wprawdzie robi kiedy-niekiedy łaskawe wzmianki, że ten a ten autor *zbliża się* do stanowiska przezeń zajmowanego; ale jeśli gołosłownym frazesom zaufać nie zechcemy, to trudno będzie nie dostrzedz, że autor nasz pozostawał jeszcze całkowicie „pod pantoflem“ świeżych wrażeń, jakich doznawał po przeczytaniu dzieł autorów owych... Chcąc się o tém przekonać, należy odczytać rozdział p. n. „Co nazywać poznaniem i w jakich warunkach iści się (!) w nas wiedza?“ Autor stara się tu przedstawić ścisły związek, zachodzący pomiędzy organizmem fizycznym a objawami umysłowemi. Rzecz nakreślona w głównych zarysach całkiem trafnie, ale trafność tę zawdzięcza autor téj głównie okoliczności, że o samoistne przedstawienie stosunku ciała do ducha nie kusząc się bynajmniéj, narysował go dosłownemi cytatami, które, jako wzięte z dzieł *specyalnych*, niezawsze odpowiadają warunkom względnéj popularności, o którą w innych częściach rozprawy swojéj autor się ubiegał. Z tego względu rozdział ten podobnie jak i następny („Klasyfikacya i analiza poznawania przez zmysły“) nie nadają się do rozbioru, nie przynoszą bowiem nic nowego nawet w zakresie naszego własnego piśmiennictwa; rzecz zwłaszcza o zmysłach znajduje się u nas w dziele Taine'a *o intelligencyi*, tłómaczoném na nasz język, nieporównanie dokładniéj i gruntowniéj wyłożona. Nie rozbierając tedy po szczególe twierdzeń przez autora przytaczanych i sumowanych, to tylko zaznaczyć winienem, że p. Skrochowski okazał się najhojniejszym ze wszystkich naszych psychologów w przyznaniu człowiekowi zmysłów; gdyż do pięciu, zazwyczaj przyjmowanych, dodał jeszcze dwa inne. Jeden z nich, tak zwany *zmysł mięśniowy*, znany był już dawniéj w naszéj literaturze psychologicznéj, ale drugi p. Skrochowski dopiéro do niéj wprowadza. Nazwać go jednak nie mogę, bo choć hołduję zdaniu: *naturalia non sunt turpia*, nie mam przecież odwagi wymieniać zmysłu tego w piśmie czasowém choćby miesięczném. Co uchodzi w książce, mniéj stosowném wydałoby się w artykule; pozostawić więc muszę ten nabytek fizyologiczno-psychologiczny domyślności czytelnika.

Z rozbioru czynności zmysłów wyniknąć musi wniosek dotyczący kwestyi poznania świata zewnętrznego. Pod tym względem p. Skrochowski bardzo wyraźnie stanowisko swoje oznacza, ale raczéj zręcznie niż gruntownie zbywa wszystkie nasuwające się tu trudności. Autor wierzy niezachwianie, że ten świat zewnętrzny, który po-

znajemy zmysłami, istnieje rzeczywiście i jest mniéj więcéj takim, jakim go też zmysły nam przedstawiają. Wypowiadając ten aksyomat, którego dowodzenie jest bardzo pobieżne, p. Skrochowski wspomina tylko o niedorzeczności subjektywnego t. j. podmiotowego *idealizmu*, utrzymującego, że świat zewnętrzny to nic innego jak nasze osobiste złudzenie. W tym względzie ma niewątpliwą słuszność; ale inaczéj rzeczby się miała, gdyby autor zechciał był zająć się nie teoryą podmiotowego idealizmu, która już dawno z posad swoich zruszoną została, lecz teoryą dzisiejszych psychologów angielskich, francuskich i niemieckich, którzy utrzymują i nader silnemi dowodami zdanie swoje popierają, iż *nic więcéj ostatecznie poznać nie możemy nad stany naszego umysłu*.. Tutaj nie posłużyłby już autorowi fakt, iż wrażenia nasze są zawsze w stałym stosunku do treści zewnątrz nas będącéj, gdyż i poznanie tego stosunku właśnie jest jedynie wynikiem stanu umysłu naszego. Że materya nie jest *złudzeniem* podmiotowém, na to w powyższym dowodzie znaléść można dosyć siły dowodowéj, ale czy materya jest czémś więcéj nad ustawiczną możność dostarczania nam wrażeń, które zewnętrznemi nazywamy, tego dowód ten rozstrzygnąć nie może, a p. Skrochowski postąpił zręcznie, że kwestyi téj nawet nie wszczynał. Zręczność atoli nie jest gruntownością. Ominięcie trudności może u zwykłych czytelników pozyskać wiarę dla twierdzeń p. Skrochowskiego, ale u czytelników, obeznanych jako-tako z obecnym stanem zagadnień psychologicznych, musi uchodzić albo za niepojmowanie doniosłości kwestyi naszego poznania albo téż za rodzaj publicystycznego fortelu, który usuwa na bok to, co dla autora jest niemiłém i kłopotliwém. Odwołując się do zdrowego chłopskiego rozsądku, łatwo oczywiście odnieść zwycięstwo w mniemaniu ogółu, łatwo nawet na śmieszność wystawić tego, ktoby się ośmielił zaprzeczyć gruntowności wywodom autora, boć człowiek, który mówi: „jeżeli dotykam stołu, to dotykam stołu,“ łatwiéj będzie zrozumianym, aniżeli ten, coby prawił o jakiéjś tam „możliwości wrażeń,“ któregoby może z „nogami stołowemi“ porównano;—ale takie zwycięstwo niekoniecznie laurem skronie swoje wieńczy. Ci, co choćby tylko Taine'a w przekładzie polskim odczytali, nie dadzą się zatrwożyć nawet groźbą „nóg stołowych“ i utrzymywać będą, że p. Skrochowski pisząc książkę „o wiedzy ludzkiéj“ najważniejszą kwestyą wiedzy téj dotyczącą musnął tylko powierzchu... zapewne ze względu na końcowe frazesy wstępu, iż książka ta—to „co najwięcéj“ *prolegomena* do przyszłéj jakiéjś księgi...

## II.

Przyjrzyjmy się teraz drugiéj twarzy tego filozoficznego Janusa. Patrzy ona, jak wiemy, w stronę wieków średnich, podnosząc wzrok pełny uwielbienia ku św. Tomaszowi z Akwinu. Z tego już faktu wnieść możemy, że będziemy mieli do czynienia z feudalizmem w krainie umysłu, z temi podziałami na władze, z temi nieskończonemi „dystynkcyami,“ któremi młodzieńczy duch wieków średnich dopomagał sobie w wędrówce po labiryncie myśli ludzkiéj. Nie zawiedziemy się: dystynkcyj będzie dużo...

Dopókiśmy byli wśród nowożytnych przewodników autora, to słyszeliśmy między innemi takie zdania: „Bez żywych nerwów nie masz w nas czucia ani wrażeń, nie masz *żadnego poznania* (str. 71)... Pamięć i wyobraźnia nie uobecniają nam *nic nowego*, tylko reprodukują dawne wrażenia siedmiu zmysłów i są tylko ostateczném, konieczném dopełnieniem naszych zmysłowych stanów poznawczych... Pamiętamy zmysłowo i wyobrażamy sobie tylko te formy i wyrazy przedmiotów i faktów zewnętrznego świata i *wewnętrznego życia*, które nabywamy za pomocą siedmiu zmysłów, bo i *najbardziéj twórcza wyobraźnia* — wprawdzie dowolnie i samodzielnie — ale *tylko niemi* może operować. Może ona je dowolnie składać i kombinować w *dzieła fantazyi i sztuki*, lecz i w tém nie może wyjść całkiem po-za empiryczną sferę naszéj ludzkiéj zmysłowości, nie może przemówić do nas innym językiem, *jak wyrazami siedmiu naszych zmysłów*, tonami do słuchu, farbami do wzroku ..“ (str. 85). Pan Skrochowski, bawiąc w gronie fizyo- i psychologów, ani się spostrzegł, jak się stał sensualistą. Poszedł on nawet tak daleko, że *pamięć* i *wyobraźnię* uznał za *jeden i tenże sam* stan poznawczy „bo wyobraźnia — powiadał — jest niczém inném jak *żywą pamięcią* wyrazów zmysłowych iszczących (!) się w nas pośród wrażeń“ (str. 85). Ba! gdyby tylko szło o pamięć i wyobraźnię! Alež tu nawet *świadomość siebie*, ta świątynia idealizmu, na szwank narażona została przez autora. Mówi on tu wprawdzie o „zmysłowéj“ świadomości siebie, ale zawsze o świadomości, o téj zatém zalecie, jaką myślące istoty odróżniają się od niemyślących... Otóż o téj świadomości powiada p. Skrochowski, iż „nie poczyna się w nas *osobno*, *sama przez się*, przez to samo tylko, że istniejemy, bo możemy żyć także bezświadomie, lecz iści (!) się w nas dopiéro wśród świadomych aktów zmysłowego poznania“ (str. 87), to znaczy poprostu, że gdybym nie widział, nie słyszał i td. to nie tylko nicbym nie wiedział o rzeczach zewnętrznych, ale także nic a nicbym nie wiedział o samym sobie. Tak właśnie utrzymują

sensualiści i materyaliści. I p. Skrochowski tak utrzymuje, dopóki lekceważonych przez siebie mędrców zachodu ma pod ręką.

Ale jak tylko dostał się autor pośród swoich przyjaciół średniowiecznych, zaraz pojawiły się „dystynkcye". Najważniejszą „dystynkcyą", na którą sam autor niejednokrotnie zwraca uwagę łaskawego czytelnika, tą Ameryką, którą p. Skrochowski odkrył na oceanie złudzeń psychologicznych, jest stanowcze rozdzielenie *umysłu* od *zmysłu*, poznania *umysłowego* od poznania *zmysłowego*. Kto zna cokolwiek filozofią wieków średnich, ten odgadnie odrazu, na jakim okręcie p. Skrochowski zrobił to nadzwyczajne odkrycie, którém się chlubi. Okrętem tym były naturalnie *wyrazy*. Ponieważ wyrazy oznaczają pojęcia ogólne, więc musi być w duszy ludzkiéj władza, co te pojęcia wytwarza, bo jakżeby inaczéj powstać mogła?.. Logika ta przypomina co prawda logikę Molierowskiego lekarza, który zapytany, dlaczego opium usypia, odpowiedział: dlatego, że ma władzę usypiania; ale zrażać się usterkiem tym nie należy, boć i pod niepozorną łupiną może się ukrywać owoc pożywny.

O co idzie autorowi? Zrobiwszy sensualistom wielkie ustępstwa w dziedzinie zmysłów, p. Skrochowski postanowił się ufortyfikować w twierdzy pojęć i zająwszy tam silne a obronne stanowisko, razić dotkliwemi strzały dotychczasowych towarzyszów. Zaprosił więc do swego średniowiecznego zamku Maksa Müllera wraz z jego *wykładami o umiejętności języka* i tak umocniony na duchu rozwinął najprzód zasób pocisków lingwistycznych. Miały one ranić w samo serce tych, co *pojęcia ogólne* z *wyobrażeń* wyprowadzają, gdyż wedle najwiarogodniejszych świadectw z czasów przeddziejowych, które ma widocznie p. Skrochowski, pierwsi ludzie jak tylko mówić zaczęli, mówili samemi abstrakcyjnemi pojęciami... bo... bo wyrazy oznaczają pojęcia ogólne. Drzewo np. nie wyobraża wcale drzewa, które w téj chwili widzę przed sobą, ale symbolizuje drzewo wogóle; — a zatém (wnioskuje p. Skrochowski) ci, co utworzyli wyraz „drzewo", musieli mieć *osobną władzę* do wytwarzania pojęć, różną zupełnie od władzy odbierania wrażeń.

Ten pocisk lingwistyczny może zranić jakiego marudera, źle albo wcale nie ubezpieczonego nawet przeciwko drzazgom, ale nie sprawią, jak się zdaje, najmniejszego zamieszania w wojsku regularném. Pomijając już bowiem tę okoliczność, że my obecnie znamy historyą wyrazów, rozpoczynającą się co najwyżéj od 4000 lat przed erą naszą, nie możemy zatém twierdzić napewno nic o rozmowie pierwszych ludzi;—to nawet przyznawszy, iż ludzie wtedy dopiéro zdobyli się na mowę, kiedy wyrobili w sobie pojęcia, którym wyrazy odpowiadają, jeszcze nierozstrzygniętą pozostanie kwestya rodowodu

tych pojęć. Pytanie zatém: czy pojęcia powstały z wyobrażeń, czy też są zupełnie oddzielnym aktem twórczym umysłowości ludzkiéj, nie przybliża się do rozwiązania, choćbyśmy wywodom lingwistycznym jeszcze więcéj poświęcili miejsca, aniżeli p. Skrochowski.

Czuł to zapewne autor i dlatego szukał dowodów innych. Zdawało mu się, że znalazł je w rozwoju mowy u dzieci. Przytacza przykłady przywiedzione przez Taine'a w dziele *o inteligencyi* i usiłuje wyprowadzić z nich inny wniosek niż sam Taine. Oto jeden z tych przykładów. Pewien jednoroczny chłopczyk odbył *kilkakrotnie* podróż koleją żelazną: maszyna wraz ze swym świstem i dymem tudzież hałas towarzyszący biegowi pociągu wywarły na nim wielkie wrażenie; pierwszym wymówionym przezeń wyrazem był *fafer* (*chemin de fer*). Od téj pory statek parowy, maszynka do kawy na spirytusie, wszystkie przedmioty świszczące, sprawiające hałas i dymiące, nazywał *fafer*. *Taine*, opierając się na tym i innych przykładach, powiada słusznie: „Mowa dzieci jest w ciągłym ruchu, w ciągłéj przemianie, jest różną od naszéj; nietylko wyrazy są tam przekręcone lub wymyślone, lecz i znaczenie wyrazów jest inne niż w naszéj mowie; dziecko wymawiając po raz pierwszy jakiś wyraz, nigdy go nie bierze w znaczeniu tak dokładném, jakie my do niego przywiązujemy; znaczenie to u niego jest szersze lub też ciaśniejsze *odpowiednio do sumy doświadczenia, jakie posiada*; rozszerza się ono lub ścieśnia *każdodziennie przez nowe doświadczenia* i bardzo powoli dochodzi do tych rozmiarów, jakie my mu nadajemy" (1).

P. Skrochowski uwagami temi się nie zadawalnia; według niego słowo *fafer* stało się odrazu dla owego chłopczyka nietylko nazwą pociągu kolejowego, lecz i wyrazem *ogólnego pojęcia*: czegoś syczącego, dymiącego, czegoś „co zastępowało mu mniéj-więcéj nasze dojrzałe pojęcie *maszyny w ruchu*, które-to pojęcie powszechne *odrazu* przy widzeniu *pierwszéj maszyny w ruchu w dziecku się obudziło*" (str. 177). To znaczy, że dziecko nawet bez widzenia kolei miało już gotowe ale widać uśpione pojęcie: *maszyny w ruchu*, a zobaczywszy jeden z egzemplarzy takiéj *maszyny w ruchu*, zaraz to pojęcie ogólne obudziło w sobie i zastosowało do kolei żelaznéj... Ach, gdyby to było prawdą! Jakżeby wdzięczni byli pedagodzy szanownemu autorowi prolegomenów do przyszłéj książki o wiedzy ludzkiéj, gdyby pod jego wpływem potrzeba było budzić tylko w dzieciach te pojęcia ogólne, które tam są uśpione!... Niestety, pedagodzy zadowolnić się muszą spostrzeżeniami psychologów angielskich, francuskich i nie-

(1) H. Taine. O Intelligencyi, w przekładzie polskim, str. 32.

mieckich, że umysł dziecięcy kieruje się tylko z początku możnością *upodobniania* swych wrażeń i dlatego tworzy mnóstwo ciekawych wprawdzie pod względem psychologicznym, ale niezbyt pożądanych pod względem pedagogicznym dziwolągów, pojęć wykoszlawionych, które z trudem prostować potrzeba, wyrabiając w dzieciach powoli, bardzo powoli zdolność *rozróżniania*.

Trzecim pociskiem wydobytym z arsenału średniowiecznego jest krytyka teoryi sensualistycznéj, co do powstawania pojęć. Użył tu p. Skrochowski tegoż samego dobrze wypróbowanego fortelu, który poprzednio zwrócił przeciwko podmiotowemu idealizmowi. Zamiast zwalczać teoryą dziś naukowo ustaloną, wyłamuje drzwi stojące otworem, zwalcza pogląd Jana Śniadeckiego z r. 1821. Śniadecki objaśniał powstawanie pojęć w sposób następny: „Widzę gromadę zebraną z Piotra, Pawła, Anglika, Chińczyka, Afrykanina, Amerykańczyka, różniących się wzrostem, kolorem, językiem, rysami twarzy i fizyonomią, ale co do postaci zewnętrznéj, co do władz duszy i ciała sobie podobnych, i z tych własności wspólnych robi się we mnie pojęcie, które znaczę nazwiskiem *człowiek*, służącém wszystkim téj saméj gromady jednostkom“. Śniadecki opisał tu, jak się dokonywa uogólnianie u osób, zastanawiających się nad swojemi wyobrażeniami, uogólnianie zatém świadome, od którego niewątpliwie różném jest uogólnianie bezwiedne, jakie widzieliśmy u owego dziecka, które wszystkie przedmioty syczące, dymiące i hałaśliwe *fafer* nazywało. Łatwo więc było p. Skrochowskiemu uwagi powyższe jeżeli nie skrytykować to wyśmiać, łatwo było postawić jako zasadę, że „odrywać się od czegoś może tylko to, co już przedtém razem z tém, od czego się ma oderwać, istniało“ (str. 118); ale dlaczego nie spróbował potęgi swéj druzgocącéj krytyki na teoryach Baina albo Taine'a, dlaczego prześliznąwszy się po wierzchu tych dowodów, jakie oni zebrali, oświadczył, że zrozumienie tych teoryj „przechodzi granice jego rozumu“ (str. 178)?...

Najrozkoszniejszym atoli wynikiem całéj téj walki na słowa jest oświadczenie p. Skrochowskiego, że „nie masz w nas pojęć bez *uprzednich* wrażeń, że jak przedmioty i zjawiska zewnętrzne są *podnietą* naszych wrażeń, tak wrażenia są *podnietą* naszych pojęć (str. 128)... Ależ to samo utrzymują ci wszyscy, przeciwko którym autor pociski swe wymierzył, ci wszyscy, co metodę doświadczalną „po dyletancku“ w Europie traktują... Prawda! jest maleńka różnica. Ci panowie lubią być konsekwentni.... a p. Skrochowski, który zapowiada, że metody doświadczalnéj po dyletancku stosować nie będzie, nie chce widocznie krępować swobody ruchów swoich konsekwencyą logiczną. Bo oto powtórzywszy raz jeszcze, że nie masz w nas pojęcia

bez wrażenia czy wyobrażenia jako swéj podniety, dodaje zaraz, że *idea* i *wrażenie* są-to wielkości bez wspólnego wymiaru, nie tak jak materyalna podnieta i wrażenie zmysłowe... A więc według p. Skrochowskiego nie masz „silniejszych albo słabszych pojęć dla silniejszych albo słabszych wrażeń, każda idea jest jednakowo silna“ (str. 129). Przetłómaczywszy to na język potoczny, znaczyłoby, że nie ma różnicy pomiędzy ideą cnoty u trzyletniego dziecka a tąż ideą u Tomasza z Akwinu... Można doprawdy powinszować autorowi wielkiéj bystrości w spostrzeganiu i niepospolitéj ścisłości w rozumowaniu...

Całéj téj ekwilibrystyki logicznéj dokonał p. Skrochowski w dobréj intencyi: chciał zadać cios stanowczy materyalizmowi. I my nie jesteśmy zwolennikami poglądów materyalistycznych; sądzimy jedynie, że nie można ich pokonać przyznaniem pojęć jakiéjś odrębnéj władzy, jakiemuś osobnemu aktowi kreacyi. Dzisiejsza psychologia poszła daléj od filozofów średniowiecznych; przekonała się, że trudność a nawet niemożność wyjaśnienia sobie czynności umysłowych za pomocą drgań cząsteczek nerwowych, nie w *pojęciu* ale we *wrażeniu* spoczywa. Przed dwunastu jeszcze laty uczony angielski Jan Tyndall w odczycie „o siłach fizycznych i o myśli“ wypowiedział następne niezapomniane słowa: „Niepodobna sobie wyobrazić przejścia z fizycznego stanu mózgu do odpowiednich zjawisk wrażenia. Dajmy na to, że pewna określona myśl odpowiada jednocześnie pewnemu oznaczonemu działaniu cząsteczek w mózgu. Otóż nie posiadamy intellektualnego organu, nie mamy nawet zaczątku tego organu, któryby nam pozwolił przejść, na drodze rozumowéj, od jednego zjawiska do drugiego. Tworzą się one razem, lecz nie wiemy, dlaczego. Przypuśćmy np., że uczucie miłości odpowiada ruchowi cząsteczek w prawéj stronie mózgu, a uczucie nienawiści takiemuż ruchowi w lewéj stronie. Wiedzielibyśmy natenczas, że gdy kochamy, to ruch dokonywa się w jednym kierunku, a gdy nienawidzimy, to w drugim; lecz pytanie: dlaczego pozostałoby i tu bez odpowiedzi“. Zdaje mi się, że takie rozumowanie, odnoszące się do wrażeń najprostszych, silniéj podcina korzenie materyalizmu w zakresie teoryi poznania, aniżeli wszystkie wywody p. Skrochowskiego o pochodzeniu pojęć od osobnéj władzy, bo powyższe rozumowanie Tyndalla nie da się zbić (jak na teraz) żadnemi naukowemi dowodami, gdy tymczasem twierdzenia p. Skrochowskiego spoczywają na podstawie glinianéj, którą dosyć trącić, ażeby się stłukła. Autor nasz zapuściwszy się w dziedzinę języka, znalazł tylko objaśnienia wyrazowe, ale nie wykrył żadnéj prawdy rzeczywistéj.

Wszystkie dalsze rozumowania, wysnute z fałszywego założenia, pomnażają wprawdzie słownik terminologiczny, ale nie wzbogacają naszéj wiedzy, nie objaśniają nam zjawisk umysłowych. Jeden przykład da miarę osiągniętych przez autora wyników. P. Skrochowski, kochający się w „dystynkcyach", wyróżnia aż 5 gatunków *świadomości.* Jest tedy najprzód: 1) *świadomość stanu zmysłowego* poznawania i zmysłowego pożądania; jest następnie 2) *zmysłowa świadomość siebie* czyli „bezpośrednie poczucie siebie w swéj mocy poznawania przez zmysły i w swéj mocy zmysłowego pożądania"; jest daléj 3) *świadomość* czyli „bezpośrednie poczucie własnych pojęć, sądów i t. d. jako téż własnych *rozumnych aktów* woli"; jest potém 4) *umysłowa świadomość siebie* czyli „własne konkretne pojęcie swego *ja* w stanie umysłowego poznawania i *ozumnego* chcenia;" jest nakoniec 5) *samowiedza* czyli „wiedza refleksyjna, która z naszych pierwotnych czynności poznawczych, wprost nam świadomych i wprost uobecniających nam to, co z natury swojéj koniecznie nam uobecniają, jako téż z świadomych nam pierwotnych tendencyj naszéj woli robi czynności dowolnie samowiednie przez nas pojmowane i osądzane" (str. 240—243). Szkoda, że p. Skrochowski okazał się tak skąpym w obdarzeniu nas różnorodnemi świadomościami; z wielkim przecież pożytkiem, jeżeli nie czego innego, to... wyrazów przynajmniéj, mógłby nas obdarzyć np. dopełnieniem świadomości pod numerem 3 i 4, dając nam „bezpośrednie poczucie własnych *nierozumnych* aktów woli" tudzież „własne konkretne pojęcie swego ja w stanie *nierozumnego* chcenia", bo i to wszakże zdarza się wśród ludzi... A gdyby hojność swoję chciał nam w całéj doskonałości okazać, to mógłby „stopnie i momenty naszego poznawania" powiększyć choćby do cyfry stutysięcy, nadając każdemu świadomie w nas „iszczącemu się" wrażeniu, wyobrażeniu i pojęciu nazwę osobnéj *świadomości wogóle* i *świadomości siebie.* Wobec tak świetnéj perspektywy jakże mizernie wygląda tych 5 gatunków świadomości, które autor nam, istotom z ciała i duszy złożonym, przyznał łaskawie! Nie uchodzi, doprawdy nie uchodzi....

III.

Poważny czytelnik gorszył się, być może, tonem, jaki w rozbiorze książki „o wiedzy ludzkiéj" zachowałem. Sam jestem zdania, że rzeczy poważne roztrząsać należy poważnie; ale co począć w takim wypadku, kiedy autor zachowując wprawdzie wszystkie pozory powagi, ogłasza jako poglądy nowe coś takiego, co już oddawna ma znaczenie archeologiczne? Po tysiącznych krytykach pisać jeszcze

raz nową krytykę naseryo znaczyłoby tyle co drwa nosić do lasu, co wody do morza dolewać... Najlepiéjby może nie mówić nic. Zapewne! o rzeczach, w których nie ma nic nowego, niewiele da się powiedziéć. Ale tu milczeniu stanęło na przeszkodzie domaganie się krytyki ze strony autora, który występując w roli proroka niemal objawiającego niesłyszane dotąd prawdy, mówi z pewném lekceważeniem zarówno o psychologach obcych jak i naszych. „Pisząc w języku (czytamy na str. 137), który tylko w naszym kraju może być czytanym, podnosząc kwestye, które u nas *od niepamiętnych czasów nie były roztrząsane*, na polu których w europejskim ruchu umysłowym dotąd *prawie* nie braliśmy udziału, chodzi mi przedewszystkiém o wyłożenie i uzasadnienie doktryny, zastrzegając sobie polemikę na tę chwilę, *jeśli kto u nas przeciw mnie wystąpi*.... W przekonaniu, że widzę rzeczy, jak są, a nie mogąc naprzód wiedziéć, *jak to u nas będzie przyjętém*, nic dziwnego, że bardziéj zależy mi na tém, aby wedle sił moich jak najdokładniéj wyłożyć i najlepiéj uzasadnić samę doktrynę, niż na polemice z jéj przeciwnikami w obcych krajach, *o których* (?) nie wiem jeszcze, *o ile i u nas odgłos znajdują*“. Zaiste, potrzeba miéć bardzo liche wyobrażenie o uprawie filozofii u nas, ażeby się odważyć na napisanie słów takich; potrzeba miéć niepospolite uroszczenia i wierzyć silnie w niezachwianą prawdę poglądów swoich, ażeby z tak gołosłownemi występować wyrokami. Wobec tych uroszczeń wypadało wskazać istotną wartość (według mego mniemania) książki napisanéj przez p. Skrochowskiego. Wydała mi się ona pracą publicysty raczéj aniżeli zamiłowanego i biegłego w przedmiocie swoim psychologa. To co w niéj jest dobrego (przedstawienie warunków fizycznych poznania naszego, wyróżnienie dziedziny nieświadomości od świadomości i wykazanie wielkiego znaczenia pierwszéj) nie jest bynajmniéj zdobyczą p. Skrochowskiego, ale jest spólnym nabytkiem psychologii dzisiejszéj. To zaś, coby autor za nowość chciał podać i do czego największą wagę przywiązuje, stanowi, jak sam to zaznacza, nabytek scholastyków, nabytek przez p. Skrochowskiego wielce ceniony, a dla większości psychologów mający znaczenie *wyrazowego* tylko a nie *rzeczowego* objaśniania zjawisk duchowych.

W przeciągu ostatnich dziesięciu lat trzeci-to już z kolei pisarz występuje u nas z zachętą do powrotu na łono filozofii scholastycznéj. Najpierwszym, który mimochodem zazwyczaj natrącał o głębokiéj mądrości scholastyków i radził mędrcom dzisiejszym pójść do nich na naukę, był profesor niegdyś Szkoły głównéj a obecnie zmartwychwstaniec ks. Stefan Pawlicki. Drugim był jezuita Maryan Morawski, w dziełku p. n. *Filozofia i jéj zadanie* (Lwów 1877). Obecnie z tą samą dążnością odzywa się człowiek świecki, zręcznie wyzyskujący wyniki

badań spółczesnych na rzecz uświetnienia filozofii średniowiecznéj. Jest-to tedy objaw, z którym liczyć się należy. Nie sądzimy, żeby był groźny dla rozwoju nauki u nas: ostatni jego rzecznik zwłaszcza, obok słabości w rozumowaniu, obok zawiłości i tautologii w stylu, przemawia tak wstrętnym językiem, że trudno, aby kogo pociągnął ku sobie. Oddawna już nie zdarzyło mi się czytać książki polskiéj, w któréjby zalew barbaryzmów takie spustoszenie zrobił w pięknéj, mowie naszéj. Język, którym p. Skrochowski napisał rzecz „o wiedzy ludzkiéj", jest-to dziki żargon złożony ze słów i wyrażeń polskich, łacińskich, francuskich, niemieckich, angielskich tak ze sobą zmieszanych, że powstaje jakiś szum niezrozumiały a niemiły. Wygląda to tak, jakby autor żadnéj książki filozoficznéj w języku polskim nie czytał, a więc nie wiedział, jak wyrazy i wyrażenia spotykane w dziełach cudzoziemskich przetłomaczyć. Brał je więc z języków obcych i nadawał zakończenie polskie; ztąd na każdéj stronie powstała taka łatanina, że trudno znaléść zdania, któreby całkowicie polskiém było. Pomijając już wyrazy obce, używane powszechnie dla braku odpowiednich polskich, spisałem sobie całą stronicę takich, które można bardzo łatwo oddać po polsku, jeśli tylko dba się o swój język naprawdę. Oto kilkanaście z takich okazów: „Wrażenie i wrażliwy" nie wystarcza autorowi, więc rozprawia o saméj *senzacyi* i o rzeczach *senzacyjnych* i *senzytywnych. Dążyć* ku czemu uważa widać za złe wyrażenie, więc je tłomaczy na *konspirować*; działanie *gromadne* jest pewnie niemiłe, więc autor wymyśla działanie *masalne. Umiejscowić* to chyba według niego dziwoląg, trzeba tedy powiedziéć: *lokalizować; płyn* to zbyt pospolicie, należy mówić *fluidum; pomieszanie pojęć* — to wyrażenie poziome, wypada napisać: *konfuzya; wymiar* — to wymysł chyba Śniadeckiego, lepiéj będzie: *dymenzya.* Za długoby jednak wypadło mi się rozpisać, gdybym chciał wyliczyć wszystkie *masywności*, *intenzywności*, *struktury*, *peryferye*, *intellekty*, *precedensa*, *predykamenty*, *lokomocye*, *rezystencye*, *wibracye*, *ondulacye*, *oscyllacye*, *dysregulacye*, *relacye*, *innerwacye*, *aktuacye*, *expressye*, *impressye*, *transmissye*, *kongiestye*; gdybym chciał wykazać wszystkie zalety rzeczy *apetytnych* i *nieapetytnych*, *impressyjnych* i *expressyjnych*, *reprezentatywnych*, *pasywnych*, *konstytuujących*, *substancyalnych*, *minimalnych* i *peryferyalnych*; gdybym wraz z autorem pragnął wszystko *wyrezonować*, *presuponować*, *reflektować*, *stabilizować*; gdybym o wszystkiém miał czas mówić *merytorycznie*, *dyskursywnie*, *a parte rei*, *a parte mentis*, *hic et nunc*, *in abstracto*, *intime*, *adaequate* i *inadaequate*, *implicite* i *explicite*, *aliquando-alicubi*, *in enigmate (!)*, *ins blaue hinein*....

Do téj klejonki językowéj dodajcie niepoliczoną ilość frazesów i całych cytat w tekście pomieszczonych po łacinie, po francusku,

po angielsku i po niemiecku; przypomnijcie sobie następnie, że autor pisze niekiedy strasznemi, z niemiecka zbudowanemi i zniemiecka długiemi okresami, ciągnącemi się czasem przez trzy czwarte stronicy; uprzytomnijcie sobie, że jedna i ta sama rzecz powtarza się tu nie raz i nie dwa, ale i sześć nawet razy: a będziecie mieli przybliżone pojęcie o przyjemności babilońskiéj, jaką sprawia czytanie książki ,,o wiedzy ludzkiéj". Gdyby mi nie żal było miejsca, przytoczyłbym próbki; w każdym razie ciekawych odsyłam do str. 62, gdzie znajdą okaz ślicznie po niemiecku zbudowanego okresu, do str. 216—229 gdzie zobaczą cudowne kręcenie się w kółko... do str. 196 i 197 gdzie zakosztują najsłodszego makaronizmu...

Wobec takiego szermierza, co nie szanuje języka, lecz uważając go za dziurawy łachman, łata go i sztukuje w sposób „masalny" „badalny"; myśl postępowa, która na chwilę może zasępiła się widokiem nawrotu do czasów scholastycznych, potrafi wesoło i swobodnie przejść do porządku dziennego, gdyż tego gatunku przeciwnik groźnym jéj być nie zdoła.

*P. R.*

# POMNIKI PIŚMIENNICTWA

## BABILOŃSKO-ASYRYJSKIEGO (1)

Starożytni mieszkańcy Mezopotamii, chcąc cokolwiek pismu powierzyć, zapisywali na twardym marmurze, bazalcie, lub stosownie sporządzanych z gliny cegiełkach. Téj okoliczności zawdzięczamy, że nietylko doszły do nas utwory, które zaliczyć-by należało do *literatury* ludowéj lub naukowéj, nietylko *napisy* pamiątkowe rozmaitéj treści, stanowiące właściwy materyał *epigrafiki*, lecz i to, co służyć miało do użytku podręcznego jako *rytuał* w świątyni, *elementarz* w szkole, *akt* i *przepis* w urzędzie, *dowód prawny* w rodzinie. Kwadratowe cegiełki oraz w różne kształty obrabiane bryły kamienia, pokryte znakami klinowemi, stanowiły ongi w licznych, po obszernéj téj krainie rozsianych, miastach archiwa publiczne i prywatne tudzież biblioteki zgromadzeń naukowych i religijnych.

Gdy następnie na gruzach kilku mniejszych chaldejskich państewek powstało jedno wielkie państwo asyryjskie, zdarzało się nawet, że któremuś z królów pozostawała od zaburzeń wewnętrznych i wypraw na sąsiadów chwilka czasu wolnego; wówczas myśl jego choć przelotnie wypoczywała po troskach wypływających z ujarzmienia, niezawsze chętnie a pokornie dających się ujarzmić chociażby bratnich ludów, wówczas i on zakładał biblioteki. A łatwiéj mu to przychodziło niż komukolwiek-bądź innemu.

Niejedno ze zdobytych miast posiadało archiwa i zbiory książek. Przeto, gdy wszelkie inne dobro mieszkańców tego miasta stawało się

---

(1) Badania, na których opiera się praca niniejsza, są świetną zdobyczą przenikliwości i wytrwałości umysłu ludzkiego z czasów ostatnich. Z gruzów dawno w przeszłość zapadłych wyrosła jaśniejąca świeżością gałąź wiedzy najnowszéj. Może to wyglądać na prostą grę słów, a jednak jest prawdą niewątpliwą. (Przyp. Red.)

całkowicie łupem rozwścieczonego zwycięstwem żołdactwa, zbiory naukowe, pod opieką czujnéj a nauce w taki sposób sprzyjanie swe uwydatniającéj władzy najwyższéj, wyprawiano do stolicy zwycięskiéj monarchii. Tak przeważnie z miastami zdobywano i biblioteki. Tak między innemi zdobył niechybnie swoję i król asyryjski *Asurbani-pal*. Biblioteka ta wszystkim pracującym nad asyryjszczyzną dobrze jest znana, a szerzéj aniżeli miecz i przekleństwa pognębionych ludów imię jego rozniosła, dłuższy zapewniła mu rozgłos niż czyny wojenne.

A gdy z kolei rzeczy ludzkich i na owe stolice nadszedł koniec burzonych na hasło z nich wychodzące miast rozmaitych; gdy naród zdobywczy uległ sam losowi, który jego monarchowie gotowali dotąd innym ludom: zbiory te królewskie, przywalone ścianami gmachów, zagrzebane w zwaliskach miast wspaniałych, wraz z niemi znikły dla oka ludzkiego. I dla nauki zostały stracone owoce doświadczeń kilkuset pokoleń; peryod pracy ludzkiéj, do dwóch tysięcy lat wynoszący, utonął w niepamięci. O lat przeto tyle i dzieje ludzkości zostały skrócone.

Skoro więc z pamięci narodów późniéj w Mezopotamii zamieszkałych wypadł obraz niczém już nie wskrzeszany żywota ich poprzedników; skoro z wiedzy wszystkich znikł sam fakt istnienia kilku ludów starożytnych: urojone dzieje zapełniły się postaciami w fantazyi tylko wylęgłemi. I postacie te, pod imionami *Ninusa*, *Semiramidy*, *Sardanapala*, *Baltazara*, jak cień przesuwały się po historyi powszechnéj.

Wznoszące się na ruinach dawnych miast asyryjskich i babilońskich wysokie wzgórza, pokryte krzakami i drzewami lub rażące dziką nagością, i rozsiane u stóp tych wzgórzy lub na ich pochyłościach wioski i świątynie, późniejszym bogom poświęcone, jak gdyby już nazawsze skryć miały nagromadzone przez wieki skarby, urągały się ciekawym oczom licznych pokoleń. I możeby długo jeszcze nie przestawały się urągać, gdyby nie wytrwałość i poświęcenie kilku ludzi. Byli-to przedstawiciele tych europejskich narodów, którym zapał rzeczywisty ku wszelkim celom wzniosłym i jako ogień pielęgnowana cześć dla nauki, uszlachetniając i wiodąc do coraz wyższych sfer wiedzy, zapewnia stałe przodownictwo w pochodzie dziejowym ludzkości, oraz sprawia, że dwa hasła jéj: *postęp* i *cywilizacya* nie stały się w ich mowie obelgą dla prawdy a na ustach ich nie brzmią jako urąganie się z wytwarzanéj przez siebie rzeczywistości.

Staraniem rządów i instytucyj prywatnych przedsiębrane wyprawy naukowe nad Tygrys i Eufrat nagromadziły w Londynie i Paryżu nieoceniony materyał naukowy. Rozbudzone w społeczeństwie

zainteresowanie się odkryciami naukowemi na tém polu podtrzymuje liczne i wspaniałe wydawnictwa tekstów klinowych, umożebnia przekłady tych tekstów oraz pojawianie się specyalnych rozpraw i dzieł, traktujących o historyi tych krajów i języku ich mieszkańców starożytnych.

Nim *statystyk* i *ekonomista*, znalazłszy ku temu stosowny materyał w rozmaitych aktach sprzedaży, najmu, pożyczek, wyśledzi podstawy bytu społecznego i warunki ekonomiczne kraju odgadnie; nim *prawnik* z kilku urywków kodeksu i licznych dokumentów urzędowych stan normalny społeczeństwa odtworzy; nim *mitolog* i *estetyk* coś o jego bogach i o świecie w wyobraźni stworzonym i przez nie istotami fantastycznemi zaludnionym opowiedzą; nakoniec, nim *historyk* wątek żywota tych ludów odkryje i dzieje ich na tle zmienném a ruchliwém wznoszenia się i upadku państw rozwinie:—zamiarem moim jest, wszystkie te zabytki w stosowne działy ugrupowawszy, podać jedne w streszczeniu, inne zaś w przekładzie z oryginału najbardziéj do oryginału zbliżonym, ażeby mogącym się tą kwestyą zainteresować poznanie tych zabytków ułatwić.

## I.

## Zabytki dwujęzyczne.

Poznanie języka asyryjskiego i pisma klinowego poprzedziło o lat kilka studya nad pomnikami piśmiennemi pochodzącemi z właściwéj Asyryi i Babilonii.

Dwie te wielkie monarchie, upadłszy jedna po drugiéj, weszły w skład państwa perskiego, założonego przez Cyrusa, uporządkowanego przez Daryusza, obu z dzielnego rodu Achemenów. Otóż ci sławni królowie, jak również i wszyscy ich następcy, czy-to gwoli uczczenia ludzkiéj godności swojéj w innych, czy też wskutek tego, że sami będąc obeznani z losami państw poprzednich, skuteczności a trwałości takich robót nie ufali, dość że nie narzucali języka swego ludom przez siebie podbitym. Świadczą o tém wyraźnie kroniki hebrajskie, gdzie jest mowa o podaniach do króla w języku syryjskim (*Ezdrasz*: IV, 7); o edyktach królewskich, wychodzących z kancelaryi nadwornéj, pisanych w języku narodowym téj ludności, któréj rozporządzenia w nich zawarte się tyczyły (*tamże*: VI, 6; VII, 12). Świadczą o tém jeszcze wyraźniéj *napisy pamiątkowe* Daryusza, Kserksesa, Artakserksesa I i II.

Napisy te, po całéj przestrzeni dawnego państwa perskiego rozsiane, już od końca przeszłego stulecia uczonym europejskim znane

dla znaków pisma będących kombinacyą *ćwieków* czy też *klinów*, *ćwiekowemi* lub *klinowemi* nazwane, w celu zaś odróżnienia od innych również klinowych *trójjęzycznemi* mianowane, są ułożone w *trzech* językach: perskim, medyjskim i *asyryjskim*.

Najpierwszy z nich, przełożony na języki europejskie, tekst perski stał się kluczem do odczytania, a następnie podstawą do przetłomaczenia tekstu asyryjskiego. Tak więc, poszanowanie w człowieku praw jego przyrodzonych wprowadziło i do historyi asyryologii imię Achemenów.

Studya nad pismem klinowém asyryjskiém wykazały: 1) że składa się ono z dwojakiego rodzaju znaków: *ideogramów* przedstawiających pojęcia, a więc wyrazy całe (*wyraźników*), i znaków głosowych, przedstawiających brzmienia *zgłoskowe*; 2) że jeden i ten sam znak klinowy może być użyty raz jako wyraz, to znowu jako zgłoska; 3) że w tym i owym przypadku miewa zwykle więcéj niż jedno znaczenie, to jest, jako *wyraźnik* oznaczać może więcéj nad jeden wyraz, jako znak głosowy — więcéj nad jednę zgłoskę.

Badanie języka, jak się przedstawiał on w tych napisach, oraz porównywanie go z innemi znanemi odkryło pochodzenie jego i język asyryjski stanowczo zaliczony został do rodziny języków *semickich* (1).

W miarę przeto jak poszukiwania w Mezopotamii coraz więcéj tekstów asyryjskich dostarczały; w miarę jak uporządkowanie *biblioteki króla Asur-bani-pala*, do Londynu sprowadzonéj, niespodziewane w niéj bogactwa odkrywało (2); nakoniec, w miarę jak porównywanie pisma klinowego asyryjskiego z napisów trójjęzycznych z pismem klinowém na pomnikach asyryjskich tożsamość obu stwierdzało: wyniki badania tekstu asyryjskiego w trójjęzycznych napisach królów perskich z rodu Achemenów coraz większego nabierały zna-

(1) Znaczenie języka asyryjskiego w historyi języków semickich oraz stosunek jego do innych pobratymczych przedstawiłem w rozprawie p. t. *Język asyryjski w rodzinie języków semickich*. Warszawa. 1880.

(2) O zawartości téj biblioteki i jéj losach podałem, dzieje rzeczywiste jéj założyciela skreśliłem w rozprawie p. t. *Król Asur-bani-pal i jego biblioteka, Warsz.* 1877 r.

Odnajdowane w niéj całości lub też z odszukiwanych odłamków składane utwory rozmaite są mieszczone w wydawnictwie p. t. *Cuneiform inscriptions of Western Asia*. Od roku 1860 wyszło tomów 4. Wydawnictwo to dla wielu powodów jest dostępném tylko dla bibliotek publicznych i kosztownie utrzymywanych prywatnych. Nie posiadając go, nie w niém przeto wskazywać będę w toku méj pracy teksty asyryjskie (lubo wszystkie, o których mówić mi wypadnie, w niém są wydane), lecz w innych, również dokładnych, a dostępniejszych dla mnie.

czenia. Nie mogło bowiem podledz wątpliwości, że klucz do skarbnicy naukowéj, tak niespodziewanie odnalezionéj, już został dla wiedzy zdobyty.

Oparłszy się zatém na osiągniętych już o języku i piśmie asyryjskiém wiadomościach; posiadając *słowniczek* asyryjski, ułożony z wyrazów (163), składających tekst w napisach trójjęzycznych, oraz *elementarz*, wyjaśniający brzmienia znaków klinowych napotykanych w tym tekście; mogąc czerpać z rozmaitych gramatyk i słowników innych języków semickich, jako pokrewnych asyryjskiemu, rozmaite wskazówki techniczne: można było. już śmieléj przystąpić do odczytywania i przekładu tekstów asyryjskich, nieopatrzonych przekładem na język perski.

Jakoż początkowe próby odczytywania i przekładów jednojęzycznych tekstów asyryjskich nie zawiodły oczekiwania. Jednakże dopiéro odkrycie w bibliotece króla Asur-bani-pala tablic, ułatwiających odczytywanie tekstu i zrozumienie języka, studyom tym rzeczywistego punktu oparcia dostarczyło; a nadto budząc nowe pytania tyczące się etnografii i historyi początków kultury i pisma klinowego asyryologią na nową drogę wprowadziło.

Tablice rzeczone przedstawiają trzy kolumny znaków klinowych. W środkowéj zawsze znajduje się tylko znak jeden; lewa podaje jego głosowe brzmienie; prawa zaś służy ku wskazaniu znaczenia jego jako ideogramu.

Taki układ tych tablic wskazywać dokładnie się zdawał ich przeznaczenie. Sadzono więc, że ułożyli je sami Asyryjczycy w celu ułatwienia sobie nauki własnego języka, i nazwano je *zgłoskownikami* (*Syllabaires*, *Syllabar*) (1).

Wkrótce atoli bliższe przypatrzenie się tym tablicom wykazało, że wartość głosową wskazaną w lewéj kolumnie stanowi częstokroć nie jedna zgłoska, lecz więcéj; że gdy w pierwszéj kolumnie wskazano kilka odrębnych brzmień znaku znajdującego się w środkowéj, wówczas i w trzeciéj każdemu z-sobna brzmieniu odpowiadał inny

---

(1) Mogę wskazać następujące wydania zgłoskowników: 1) *Delitzsch:* Assyrische Lesestücke, 2 wyd. 1878, str. 35—69;—2) *Lenormant:* Les syllabaires cunéiformes. Edition critique. 1877 r. Zarzuty, któremi krytyka niemiecka przyjęła pracę *Lenormant'a* skłoniły go do przedrukowania części I-széj tych zgłoskowników w dziele p. t. *Etudes Accadiennes*, 1879, tom 3-ci, zeszyt I-szy, st. 173—200. A nadto *Schrader* w cenném swém dziele p. t. Die Assyrisch-Babylonischen Keilinschriften, 1872, pomieścił je na str. 31—47. U *Lenormant'a* i *Schradera* *pierwsza* i *trzecia* kolumny są podane w transkrypcyi łacińskiéj. Również parę urywków znajduje się w *Choix de textes cunéiformes*, 1875, wydawaném przez Lenormant'a, zeszyt 3-ci, str. 177—188.

wyraz, co wyglądało jakby na tłomaczenie tego brzmienia na język asyryjski; gdy zaś w pierwszéj kolumnie podano tylko jedno brzmienie, to w trzeciéj, lubo się zdarzało kilka wyrazów odpowiadających temu jednemu brzmieniu, wyrazy te nie różniły się co do znaczenia bardziéj od synonimów każdego języka; co znowu mogło wypływać z tego, że jedno brzmienie z pierwszéj kolumny w języku z trzeciéj kolumny dało się kilku zbliżonemi do siebie przetłomaczyć wyrazami.

Wszystkie te szczegóły wskazały, że jeśli się nie pomylono co do celu tych tablic, to celem tym nie mogła być nauka czytania dla Asyryjczyków języka asyryjskiego, lecz już chyba jakiego obcego. Lecz jaki to mógł być język?

Powyżéj wskazany dwojaki charakter każdego znaku klinowego w piśmie asyryjskiém kazał przypuszczać, że powstało ono z *obrazowego*. Jeśli tak, więc należało szukać związku pomiędzy oznaczanym przez każdy znak wyrazem oznaczaną zgłoską. Jeśli bowiem dany znak w piśmie obrazowém oznaczający pewny przedmiot przybrał następnie znaczenie głosowe, to owego brzmienia mógł mu tylko dostarczyć oznaczony poprzednio wyraz. Naprzykład, w piśmie obrazowém egipskiém, przyrząd nazywany *Tet*, służący do mierzenia wodostanu Nilu, brzmiał jako wyraz również *Tet*, stawszy się zaś znakiem głosowym, oznaczać zaczął dźwięk *t*.

Otóż badacze szukając owego związku w piśmie asyryjskiém pomiędzy wyrazem, który oznaczał ideogram, i brzmieniem głosowém, oznaczaném przez ten sam ideogram, skoro tenże stawał się znakiem głosowym, stanęli wobec wielce trudnéj zagadki. Żadnego bowiem związku nie znaleźli.

I tak: znak oznaczający zgłoskę *at* lub *ad* jako ideogram oznacza pojęcie *ojciec* i czyta się po asyryjsku *abu* (hebr. ab); znak czytający się jako zgłoska *u* (*ud*, *par*) jako ideogram oznacza *słońce*, *dzień* i czyta się *samsu*, *iumu* (hebr. szemesz, iam). Samo więc przez się nasuwa się przypuszczenie, że Babilończycy i Asyryjczycy nie mogli być wynalazcami pisma klinowego, lecz że to pismo przyjęli od narodu, w języku którego *ad* znaczy ojciec, *u* (*ud*, *par*) słońce, dzień.

Otóż oparłszy się na fakcie, że w zgłoskownikach *lewa* kolumna podaje wyraz w jakimś obcym języku, *prawa* zaś tłomaczenie tego wyrazu na język asyryjski: powitać musimy w owym obcym języku mowę wynalazców pisma klinowego. Znak 81-szy z umieszczonych w środkowéj kolumnie, którego znaczenie podano w lewéj w wyrazie *U*, przetłomaczony na asyryjski w prawéj przez *iumu* (dzień) w owym języku jako zgłoska brzmi *u*, jako ideogram znaczy *dzień* także *U*. Znak 63-ci jako zgłoska brzmiący *ad*, jako ideogram oznacza *ojciec*, który to wyraz również brzmi *ad*.

Rzadko się zdarza w nauce równie ważne i pożądane, a bardziéj na dobie odkrycie.

Tak więc, zgłoskowniki (pozostawić im tę nazwę musimy, aczkolwiek wykrycie rzeczywistego charakteru tych pomników w duchu tym i nazwę nadaną im przedtém zmienić-by powinno), potwierdziwszy całkowicie przypuszczenie, że to pismo klinowe, jakie spotykamy na pomnikach asyryjsko-babilońskich, nie było wynalazkiem Babilończyków ani téż Asyryjczyków, stają się, jak-em wspomniał, punktem oparcia przy odczytywaniu i tłomaczeniu tekstów asyryjskich, gdyż dostarczają znaczenia i to dwojakiego kilkuset znaków klinowych, stanowiących pismo asyryjskie. Pamiętajmy bowiem, że *lewa* kolumna wskazuje brzmienie znaku jako *zgłoski*, *prawa* — znaczenie jego jako *ideogramu*.

Daléj, ponieważ brzmienie głosowe każdego znaku, przyjęte i w piśmie asyryjskiém, zależało od znaczenia tego znaku jako ideogramu w języku wynalazców tego pisma, przeto zgłoskowniki te, podając kilkaset (według Lenormant'a 353) wyrazów z tego języka w oryginalném ich brzmieniu, uczą obecnie i nas, czego przedtém uczyły Asyryjczyków, a mianowicie, *języka wynalazców systematu pisma klinowego.* Pamiętamy bowiem, że w *lewéj* kolumnie podane brzmienie znaku przedstawia zarazem pewny wyraz, którego znowu przekład na język asyryjski, niby w słowniku, mieści kolumna *prawa.*

Następnie, wykazując przełom któremu podległ ten systemat pisma przy przejściu na usługi do narodu, używającego odrębnéj mowy, pomniki te otwierają przed nami pierwszą dobę rozwoju pisma klinowego, wtajemniczają w proces tworzenia się jego.

Nakoniec, wykrywając nieznany dotychczas język, ucząc go, zgłoskowniki stwierdzają istnienie narodu, o którym nic dotychczas nie wiedziała historya, o którego nazwę i pochodzenie dotychczas jeszcze spór wiodą uczeni.

A jednakże naród ten już w najgłębszéj starożytności, a więc *pierwszy* zpośród sąsiadów, stanął był na tak wysokim stopniu kultury społecznéj, że potrzebował; doszedł do takiego naukowego rozwoju, że potrafił stworzyć sobie swój własny systemat pisma. A nadto naród ten zdołał zdobyć sobie niepośledni wpływ i znaczenie, skoro pismo jego zostało przyjęte przez inne ludy.

Musiał więc i mieć *co* pisać.

*Że* miał, stwierdzają, *co* miał, wykazują *innego* rodzaju zabytki *dwujęzyczne.*

Przedstawiają one już nie trzy lecz *dwie* kolumny znaków klinowych ściśléj obok siebie mieszczonych, gdyż będą-to już teksty cią-

głe. Jedna kolumna, prawa, podstawia oryginał, druga, lewa, przekład na język asyryjski, jak to bywa w naszych wydaniach zwanych *pagina fracta*. Dostarcza ich również biblioteka króla Asur-bani-pala.

Za pomocą zgłoskowników oba teksty dają się odczytać.

Wszystkie te zabytki dwujęzyczne pod względem treści można ugrupować w kilka odrębnych działów. Jeden z nich, najbogatszy, składa się przeszło z *sześćdziesięciu* cegiełek, wśród których nieuszkodzone zawierają od 300 do 400 wierszy pisma. Bogactwo tego działu świadczyć się zdaje o większém zainteresowaniu się nim całego ogółu. Od niego więc zaczniemy.

Te kilkadziesiąt cegiełek przedstawiają dwa osobne *Zbiory* pomniejszych całości, stanowią przeto razem jakby dwie osobne *księgi*. Objętość tych ksiąg jako też i rozmiary składających je utworów są wielce różne.

Oto co czytamy w jednéj z nich, *krótszéj*.

„Zaklęcie. Boga złego, ducha złego, ducha pustyni, ducha góry, ducha morza, ducha błót, ducha złego ... posiadającego siłę potężną, napełniającego strachem wielkim, ducha złego ciałem władnącego. duszą wstrząsającego,

duchu nieba, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!"

„Ducha mieszkającego w człowieku, ducha władnącego człowiekiem, *gikim* zło czyniącego, ducha złego,

duchu nieba, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!"

Po tych dwóch zaklęciach duchów złych i szkodliwych następują zaklęcia rozmaitych chorób. Oto jedno z nich, dziesiąte z kolei:

„Chorobę wnętrzności, niemoc, bóle wewnętrzne, chorobę, która nieopuszcza, chorobę złą,

duchu nieba, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!"

Niektóre zaklęcia mają na względzie inne już-to klęski, już-to przypadłości. Następne (15-te) jest jedno z takich:

„Tego, który umiera z głodu w więzieniu, tego, który umiera z pragnienia w więzieniu, tego, który zgłodzony w dole żebrząc (zjada) proch; tego, który w łonie ziemi, lub w rzece ginie i umiera tego, który umiera z głodu w pustyni; tego, którego słońce pali na pustyni; niewolnicę, nie wziętą na nałożnicę; kobietę wolną, nie mającą męża; tego, który ma sławę złą; tego, który nie ma sławy, tego, który z głodu podźwignąć się nie może,

duchu nieba, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!"

Następnie idą zaklęcia przeciw pożarom, zarazom, wylewom morza, Eufratu, Tygrysu; zaklęcia przeciw górom zachodnim, wschodnim, palącym, by „zamknęły przepaści swoje". W niektórych zno-

wu zwraca się do bóstw, z wymienieniem ich imienia. Jedno takie (26-te) brzmi:

„Nin-ki-gal, małżonka Nin-azu, oby zwróciła oblicze jego w stronę, gdzie sama przebywa.“

A ponieważ Nin-ki gal jest bóstwem zamieszkującém wnętrzności ziemi, przeto słowa te znaczą, by ów duch zwrócił się, przeszedł, udał się do wnętrza ziemi. Ciąg dalszy:

„Niech zły duch wyjdzie i osiądzie gdzie-indziéj. Duch dobry, podpora dobra niech wejdzie do ciała jego (zapewne chorego, nad którym odbywał się stosowny obrząd).

Duchu nieba, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!“

Takich zaklęć księga ta zawiera 28.

Druga *księga*, drugi *zbiór*, również jak i ten, któryśmy poznali już, zawiera zaklęcia i zamawiania rozmaite. Atoli jako znacznie obszerniejszy przedstawia więcéj rozmaitości w téj materyi. Stanowią go trzy odrębne części.

Część *piérwsza* nosi osobny tytuł: „Złe duchy,“ jak to widzimy z nadpisu na każdéj tablicy: „Tablica, Nr. ze (zbioru) Złe duchy.“ Tytuł sam wskazuje już, że ta część zawiera zaklęcia zwrócone przeciw złym duchom, w celu odwrócenia ich zgubnych zamiarów. *Druga* — zawiera zamawiania przeciw chorobom. Oto jedno z takich zamawiań. Dla zrozumienia go należy sobie wystawić, że zamawiający trzyma kawałek tkaniny jakiéjś w ręku, którą następnie podeptał, rozdarł i szczątki rzucając na ogień płonący, wymawia: „Jako ta zdeptana tkanina została rozerwaną, tak niech się stanie i urokowi. Ogień płonący spali ją. Syn folusznika już ją nie ubarwi, by z niéj zrobić okrycie. Na ubranie dla boga lub króla już się nie przyda. Człowiek, który rzucił urok, syn jego starszy, żona, urok rzucony... Zło przebywające we mnie, w ciele mojém, we wrzodach, niech wszystko razem będzie rozerwane jako ta tkanina i w ten dzień niech ogień płonący spali wszystko. Urok niech odejdzie, niech ja ujrzę światło.“

Przy odmawianiu kilku innych zamiast kawałka tkaniny zamawiający trzymał w ręku i rozrywał na drobne cząstki: cebulę, daktyl, wełnę, puch kozi i wszystko to palił.

Część *trzecia* mieści hymny do *bóstw*. Aczkolwiek i one miały również jak zaklęcia i zamawiania odwracać złe, wpływać na choroby, odpędzać duchy, jednakże wprowadzony element mityczny powinien im w oczach naszych dodać nowego znaczenia.

W jednym z nich poznajemy dwóch bogów, ojca i syna, we wzajemnym do siebie stosunku.

„Zaklęcie. Złorzeczenie złego jako duch zły na człowieku cięży. Głos przeklinającego nad nim ciągle wisi. Głos niedobry na nim spoczywa. Złorzeczenia złego są przyczynami czaru, obłędu. Oto człowiek, złorzeczenia złego duszą go; bóg jego oddalił się z ciała jego; bogini jego zadowolniona gdzie-indziéj osiadła. Głos złorzeczącego jako zasłona pokrywa go i obarcza.

„Silig-mulu-ki udzielił mu swéj opieki, do ojca swego, do domu pana ziemi wszedł i rzekł: „ojcze mój, złorzeczenie złego jako duch zły na człowieku cięży.“ Dwa razy przemówił następnie: „Co zrobił ten człowiek, nie wié, ani téż, czemu podlega.“

„Pan ziemi synowi swojemu Silig-mulu-ki odpowiedział: „Synu mój, jak to ty nie wiesz? Jak potrzeba, bym cię nauczył? Silig-mulu-ki, jak to ty nie wiesz? Jak potrzeba, bym cię nauczył? Co ja wiem, ty to wiesz. Przyjdź mój synu, Silig-mulu-ki, z miejsc wspaniałych, gdzie przebywasz, i wysłuchaj, los zły jego oddal, od złego go losu uwolń; złe wstrząsające ciałem jego, czy-to złorzeczenie ojca jego, czy-to złorzeczenie matki jego, czy-to złorzeczenie brata starszego, czy-to złorzeczenie z gniewu człowieka nieznanego, zły los na zaklęcie pana ziemi, jako cebula niech będzie obdarty, jako daktyl niech będzie rozmiażdżony, jako węzeł niech będzie rozwiązany.

„Zły los, duchu niebios, zaklnij! duchu ziemi, zaklnij!“

Bóg którego imię tu niewymówione, lecz tylko za pomocą ideogramu oznaczone, brzmi w przekładzie asyryjskim *Ea* i jest bogiem *ziemi*, właściwie jéj powierzchni. Syn jego staje w roli pośrednika pomiędzy ojcem a ludźmi. Hymny opiewają kilkakrotne takiego rodzaju wystąpienia jego.

Następne urywki z pieśni o złych duchach przedstawiają moc im przypisywaną:

„Z kraju do kraju przebiegają, w niewolnicy płód zatrzymują, kobiétę wolną z domu, gdzie rodziła, wypędzają, syna od domu ojca oddalają, gołębie, z gniazd wypłaszają, ptakom skrzydła zczepiają, jaskółkę z gniazda w przestrzeń pędzą, wołu zabijają, jagnię zabijają; dni jasne wy, złe duchy, oddalacie!

„Z domu do domu przebiegają; drzwi ich nie zatrzymają; zasuwa w drzwiach ich nie odeprze; w otwory jako węże wpełzają; w kominach jako wiatry dmą; żonę uścisku męża pozbawiają; dziecię z kolan ojca spędzają; oni jako głos złorzeczącego do człowieka przystają!“

Inny znowu urywek istotę ich wyjaśnia:

„Jest ich siedem, jest ich siedem! W głębiach oceanu jest ich siedem; burzycieli nieba jest ich siedem. W głębi oceanu, w kryjów-

kach ukryci, rosną oni. Oni nie są mężczyźni, oni nie są kobiéty. Jako łańcuch oni się ciągną. Małżonek nie posiadają, dzieci nie-płodzą. Porządku dobrego, czynu dobrego oni nie znają, modlitwy, prośby nie słuchają... w górach wzrastają; oni Pana ziemi są nie przyjaciele, oni są posły niszczący bogów. Wywracając siodła (przejeżdżających) osiadają po drogach; oni są wrogowie, oni są wrogowie! Ich jest siedem, ich jest siedem!

„Duchu nieba, niech będą zaklęci! duchu ziemi, niech będą zaklęci!"

Niektóre hymny znowu w formie litanii wyliczają duchy dobre, bóstwa opiekuńcze, mające pośpieszyć na pomoc i dopełnić czynów wymaganych. Kilka hymnów opiewających wartość cudowną i wpływ niczém nieprzeparty *talizmanów* uzupełnia całość tego *drugiego* zbioru, a z nim i cały ów dział. Tak więc, dział ów piérwszy zawiera, jak to widzimy, jedynie utwory odnoszące się czarów, za pomocą których dokonywane były rozmaite czynności guślarskie.

Przechodzimy do działu *drugiego*.

Utwory zawarte w tym dziale, co się rodzaju tyczy, niewiele się różnią od niektórych zawartych w poprzednim, tak samo bowiem są-to hymny i rozmaite pieśni. Lecz charakter ich jest już zupełnie odmienny. Są-to wyłącznie już hymny religijne, psalmy, pienia błagalne i sławiące. Żywioł więc mityczny gra w nich większą rolę, uczucia religijne występują na piérwszy plan. Śpiewano je przy obrzędach religijnych, czego widoczny ślad pozostał w niektórych. Jeśli więc tamtym należy nazwa *czarodziejskich*, te mianować możemy *obrzędowemi*. Również i co do formy znajdujemy pewną różnicę. Krótkie ustępy, zdania urywane, ozdobne porównania, dobór przeciwstawień i tu są niby tłem ogólném. Lecz co w tamtych było rzeczą rzadką, jakby przypadkową, tu stało się regułą ogólną. Myśl wyrażoną w zdaniu jedném, drugie, tuż za niém idące, uzupełnia bądź za pomocą innego porównania, bądź też innego określenia. Ma to stanowić różnicę między językiem miarowym, mową używaną w poezyi, a prozą.

Hymny te zwracane bywają już-to do żywiołów: ognia, wody; już-to do ciał niebieskich: słońca, księżyca. Oto jest urywek z hymnu do ognia.

„Ogniu, władco potężny, który się wznosisz na ziemi,
Wojowniku, synie oceanu, który się wznosisz na ziemi!
Ogniu, płomieniami swemi błyszczącemi
niecisz światło w przybytku ciemności,
ustanawiasz losy wszystkiego, co nosi imię.

Kto miesza ołów i miedź? To ty!
Kto czyści srebro i złoto? To ty!
Kto towarzysz niewiasty o licu z rogami? To ty!"
Kto napawa w nocy przestrachem pierś zbrodniarza? To ty!

Pięknéj przeto w nim treści, wykazującéj wszechstronne rozważanie wpływu opiewanego żywiołu na świat zewnętrzny i usposobienia człowieka — odpowiada i forma staranna. *Równoległość* zdań jest ściśle zachowana.

Oto znów urywek z hymnu do księżyca:

„Panie, królu bogów, który na niebie i ziemi sam jesteś najwyższy, ojcze, oświecicielu, panie, boże obfitości, królu bogów... (którego) światło potężne, rogi silne, członki ukształtowane, broda jaśniejąca wspaniale, skoro obejdziesz swój krąg... Litościwy, który wszystko rodzisz, ponad istotami żyjącemi swój przybytek jaśniejący wznosisz, ojcze litośny, odnowicielu, którego ręka podtrzymuje życie na ziemi...

„Panie, twe bóstwo jako niebiosa oddalone, jako morze obszerne wzbudza strach pełny poważania...

„Na niebie kto najwyższy? Ty, ty jeden jesteś najwyższy!
Na ziemi kto najwyższy? Ty, ty jeden jesteś najwyższy.
Twa wola ogłoszona na niebie, i duchy niebieskie padają na twarz przed nią.
Twa wola ogłoszona na ziemi, i duchy ziemskie padają na twarz przed nią.
Twój rozkaz zabrzmiał w górze jako wiatr w ciemnościach i oto ziemia rodzić zaczyna.
Twój rozkaz zaledwo doszedł do ziemi, i oto roślinność już się pokazała.
Twój rozkaz unosi się nad miejscami zamieszkałemi i wierzchołkami gór, i wszędzie istoty żywe rozmnaża.
Twój rozkaz rodzi prawdę i sprawiedliwość i prawdę pomiędzy ludzmi utrzymuje...
Kto może poznać twą wolę?
Któż ci sprostać zdoła?..."

Hymny te zwracają się i do bóstw.

Następny jest do znanego syna boga Silig-mulu-ki, pośredniczącego pomiędzy tym bogiem a ludźmi, obrońcy człowieka przed swym ojcem wszechmocnym. Kapłan czy téż prosty czciciel przemawia:

„Przed strachem, który rozsiewasz, któż ujdzie?
Twa władza jest jako oręż potężny,
który się rozpościera nad niebem i ziemią."

Bóg odpowiada:

Rozkazuję morzu i morze się wygładza.
Rozkazuję burzy i burza milknie.
Rozkazuję łożysku rzeki Sippary (Eufratu),
Wola Silig-mulu-ki podnosi wody jéj."

Słowa te wyrywają z ust wiernego okrzyk podziwu:

„Panie tyś wielki, któż ci dorówna?..."

Zwykły więc monolog staje się tu dyalogiem.

Oto jest urywek drugiego. W nim już sam bóg wyłącznie przemawia, chwałę swą a raczéj swe środki gubienia ludzi wygłasza; nieznany on jest nawet z imienia, albowiem wierzch cegiełki odłamany.

„Przed strachem méj siły niezmierzonéj, wielkiéj jak siła nieba, któż głowę podniesie?

Jestem władcą: góry urwiste, do niebios sięgające drżą przedemną.
Góry z alabastru, bazaltu, marmuru trzymam w swych ręku.
Boga Annunu posyłam na ziemię, jako na pisklęta ptaka krwiożerczego.
W méj prawéj ręce niosę ogień,
W mej lewéj ręce — mordy...
Słońce o licach pięćdziesięciu, oręż méj potęgi, trzymam w méj dłoni..."

Parę utworów nazwać możemy *Psalmami pokutnemi*. W układzie, zwłaszcza jednego, widoczny jest podział na strofy i antystrofy. Mógł on przeto być śpiewany przez dwa chóry. Śpiew rozpoczyna się od strofy:

„Panie, gniew twego serca niech się uspokoi (dosłownie: na swe miejsce niech powróci, więc osiędzie, uspokoi)!
Bóg, którego nie znam, niech się uspokoi!
Bogini, któréj nie znam, niech się uspokoi!
Bóg, który zna rzeczy nieznane, niech się uspokoi!
Bogini, która zna rzeczy nieznane, niech się uspokoi!

Antystrofa odpowiada:

Niech serce mojego boga się uspokoi!
Niech serce mojéj bogini się uspokoi!
Mój bóg i moja bogini niech się uspokoją!
Bóg, który jest w gniewie na mnie, niech się uspokoi!
Bogini, która jest w gniewie na mnie, niech się uspokoi!

Strofa wykłada daléj:

Pożywałem pokarm....
Piłem wodę...

Wykroczeniem przeciwko bogu mojemu bez wiedzy mojéj karmiłem się.
W uchybieniu bogini mojéj bez wiedzy mojéj kroczyłem.
Antystrofa odpowiada:
Panie, błędy moje są wielkie, wielkie grzechy moje!"

I te same słowa są zwrócone do boga i bogini w następnych dwóch wierszach; w czwartym i piątym zaś do boga, który zna rzeczy nieznane i do bogini, która zna rzeczy nieznane. Strofa mówi:

„Robiłem błędy i nie znałem ich.
Dopuszczałem się grzechów, i nieznałem ich.
Karmiłem się wykroczeniami i tego nie wiedziałem.
Chodziłem w uchybieniach i o tém nie wiedziałem.

Antystrofa wykazuje skutki grzechów:

Pan w gniewie serca swojego poczerwieniał na mnie.
Bóg w zapalczywości swego serca przywalił mię.
Bogini rozgniewała się na mnie i mnie przeraziła.
Bóg, który zna rzeczy nieznane, zgniótł mię!
Bogini, która zna rzeczy nieznane, zniszczyła mię!

Dalsza strofa kreśli obraz człowieka w upadku:

Upadłem i nikt ręki nie wyciągnął ku mnie.
Od płaczu zaniemiałem i za rękę mię nie schwytano.
Modlitwę moję powtarzałem głośno, nikt mię nie wysłuchał.
Jestem powalony, w omdleniu, nikt mię nie ratuje!

Jedna z następnych bada losy ludzi:

Przeznaczenie człowieka jest utrwalone na piśmie, a nikt nie zna tego pisma.
Ludzie noszący imiona jakżeż mogą znać je?
Czy powstawał przeciwko bogu, czy postępował dobrze, nikt nie wié...

Antystrofa znowu zwraca się do boga:

W pośród nawałnicy wód, przyjdź na pomoc, schwyć za rękę.
Popełniłem błąd, przemień go w czyn dobry!
Dopuściłem się przestępstwa, wiatry niech go rozniosą!
Moje przewinienia są liczne, rozedrzyj je jako płótno!"

Całość składa się z takich strof ośmiu i takiéjże ilości antystrof.

Inny hymn maluje żałośliwy stan człowieka w upadku:

„Usiadł w płaczu,
W słowach bolesnych serce jego się rozrywa.
W płaczu srogim, jękach strasznych
jako synogarlica zamilkł...
Wzywał on boga swojego jako dziecię,
boleść wszelako nie opuściła go...

Przed bogiem swoim w płaczu nieutulonym
leży on z twarzą ku ziemi zwróconą... (1).

Dział *trzeci* zabytków dwujęzycznych, do którego obecnie przychodzimy, od dwóch poprzednich zupełnie jest różny pod względem materyi, i co z tego wynika, pod względem formy.

Oto jest najcenniejszy w nim urywek:

„*(Jeśli)* kiedykolwiek-bądź w szeregu dni:
tak *(się wydarzy, że)* syn do ojca swojego: nie jesteś ojcem moim, wyrzecze, on ogoli go, niewolnikiem uczyni i za pieniądze odda;
tak (*się wydarzy, że*) syn do matki swojéj: nie jesteś matką moją, wyrzecze, twarz mu ogolą, w okrąg miasta go oprowadzą i z domu wygnają;
tak (*się wydarzy, że*) ojciec do syna swojego: ty nie jesteś synem moim, wyrzecze, w domu i ścianach (go) zamkną;
tak *(się wydarzy, że)* matka do syna swojego: ty nie jesteś synem moim, wyrzecze, w domu i mieszkaniu (ją) zamkną;
tak (*się wydarzy, że*) żona męża swojego skrzywdzi: ty nie jesteś mężem moim, wyrzecze, do rzeki ją rzucą;
tak (*się wydarzy, że*) mąż do żony swojéj: ty nie jesteś żoną moją, wyrzecze, pół many (2) srebra odważy;
tak *(się wydarzy, że)* gospodarz niewolnika wybije i on umrze, (*że go*) zniszczył, okaleczył, niezdolnym (*do roboty*) uczynił i stała się słaba jego siła, na dzień pół miary w całości zboża odmierzy."

W skutek redakcyi dość zawiłéj, stylu urywanego, wobec braku poprzedzających i następnych artykułów, urywek ten nie zbyt się jasno przedstawia. Sądzę jednakże, iż najmniéj rezykownem będzie przypuszczenie, że jest-to urywek z *prawa karnego* i traktuje o *obelgach słownych*; wyjątek stanowi tylko artykuł o niewolniku (3).

---

(1) Tłomaczenia wszystkich powyższych urywków dokonałem według tekstów stanowiących zeszyt 1-szy tomu 3-go dzieła p. t. *Etudes Accadiennes*, wydawanych przez Lenormanta.

(2) *Mana srebrna*, moneta asyryjska wynosiła 224 fr. czyli zł. p. 373, gr. 20. I w oryginale nosi ona tę samę nazwę.

(3) Przy odczytaniu i przekładzie tego urywku należało pokonać dwojakie trudności: jedne wypływały z uszkodzenia tekstu, drugie przedstawiało zagadkowe znaczenie słów: *ty nie jesteś ojcem, matką*, i t. d. Pierwsze dopiéro przed dwoma laty usunął szczęśliwie *Delitzsch*, profesor asyryologii w Lipsku; tekst poprawiony przezeń i pomieszczony w 2-giém wydaniu: *Assyrische Lesestücke*, 1878, str. 76—77, ogólnie przyjęty został za najpoprawniejszy. Co do drugiego, słowa: *ty nie jesteś moim ojcem, matką, synem*... mogą oznaczać zaprzeczenie prawności pochodzenia, wyrzeczenie się, zerwanie związku rodzinnego. Możność przypisywania rozmaitych znaczeń tym słowom stanowi właśnie przyczynę różnic w przekładach: *Opperta* w „Journal Asiatique," 1873 Nr. 3. str. 371—372;

Przytoczony urywek nie jest jedynym zabytkiem z dziedziny prawa. Znanych jest jeszcze kilka cegiełek w tym dziale. Stan atoli, w jakim je odnaleziono, pozwala zaledwo pojedyńcze zdania odczytywać. Z treści przecież tych zdań wnieść łatwo, że traktują one już-to o własności bądź ziemskiéj, bądź ruchoméj, o dzierżawach, kapitałach, procentach; już-to o władzy, sędziach, królach; niektóre o rodzinie (1).

Dział *czwarty* mogą stanowić zabytki piśmienne tyczące się żywota codziennego. Są-to więc wskazówki gospodarskie, kiedy siać, zbierać, jak obrabiać glebę, zakładać ogrody; są-to przepisy postępowania z dzierżawcami, wyrobnikami. Do tegoż działu również zaliczyć się dadzą odłamki tablic z odmianami słów i rzeczowników, usystematyzowanie przyrostków i td.

Tak więc naród, który wynalazł i rozwinął pismo klinowe, miał *co* w tém piśmie przekazać pokoleniom późniejszym. Zdobył był sobie wpływ i znaczenie wśród współczesnych, gdyż utwory jego piśmienne stały się pierwszym pokarmem umysłowym dla innych, za wzór im służąc. Dowodzi tego wymownie sam fakt istnienia zabytków *dwujęzycznych*.

Pomniki te przechowane przez Babilończyków i Asyryjczyków, przez nich dla siebie kopiowane i przekładem opatrywane, i nas, jak ongi ich, uczą pojęć i wierzeń tego narodu prastarożytnego, i przed nami, jak ongi przed nimi, uchylają z nad mrocznéj doby dziejowéj zasłonę dotąd nieprzenikniono. A wszak doba ta była rzeczywistém zaraniem żywota dziejowego ludzkości, pierwszym brzaskiem wschodzącego słońca cywilizacyi...

Lecz jak się mógł zwać, do jakiego szczepu czy téż rasy należał ów zapomniany w historyi naród?

W napisach pomnikowych kilku najstarożytniejszych monarchów, czytamy w tytule obok innych słowa następne: „Król Sumirów i Akkadów,“ a w jednym nawet, *Hammurabiego*,—szczegół taki, że bogini *Nana* poddała naród Sumirów i Akkadów pod jego władzę. Najwcześniejsze z tych napisów, n. p. *Dungiego*, władcy Uru, sięgają początku 3-go tysiącolecia; najpóźniejsze dochodzą do ostatnich kilku wieków drugiego tysiącolecia przed erą naszą.

---

*Lenormant'a* w „La Magie chez les Chaldéens,“ 1874, str. 310—311; *Opperta i Ménanta*, w *Documents juridiques de l'Assyrie et de la Chaldée*, 1877, str. 56—57; *Sayce'a* w „Records of the Past,“ III. str. 23—24.

(1) *Oppert* i *Ménant* wszystkie te zabytki zebrali w jednę całość i wydali w dziele powyżéj już wzmiankowaném: *Documents juridiques de l' Assyrie et de la Chaldée*. W dziele tém stanowią one rozdział pierwszy, str. 9—78.

Wyliczanie obok siebie tych dwóch narodów, zawsze w jednakim porządku, wskazywać się zdaje, że musiały one w czasach tych stanowić ludność miejscową. Zapewne dwa te narody różne być musiały pochodzeniem i mową, skoro mogły istniéć obok siebie przez ciąg kilkunastu wieków, nie tracąc cech odrębności swojéj. Musiały być silne, posiadać znaczenie polityczne, skoro możność wypowiedzenia, że się jest władcą ich obu, stanowiła chlubę, udowodniała potęgę. Ów dualizm etnograficzny i polityczny, uwydatniony w napisach pomnikowych, odpowiada ściśle dualizmowi językowemu uwydatniającemu się w *zabytkach dwujęzycznych*.

Łatwo więc przypuścić, że pod jedną z tych nazw kryją się owi nieznani nam z imienia mistrze Semitów. Lecz pod którą? *Lenormant*, a za nim *Sayce*, *Schrader*, *Maspero* w *Akkadach* widzą ów naród.

Zdobyta nazwa nic nam atoli o ich pochodzeniu nie mówi. Udać się więc musimy do języka; wszak *językoznawstwo*, jak je obecnie pojmują i uprawiają, oddało już wielorakie usługi nauce dziejów i teoryom etnograficznym.

Otóż język owych Akkadów, jaki znajdujemy w tekście *nieasyryjskim* zabytków dwujęzycznych, jest językiem *nawiązkowym* (aglutynacyjnym), zupełnie odrębnym co do ustroju gramatycznego i źródłosłowów od języków *fleksyjnych*, które stanowi mowa ludów aryjskich i semickich.

Językami agglutynacyjnemi mówią ludy należące do rasy *turańskiéj*. Przeto na podstawie języka do *rasy turańskiéj* zaliczyć musimy i owych *Akkadów*. Wspólność więc pochodzenia łączy ten zapomniany w historyi naród ze znanymi w niéj już lepiéj Scytami i Hunnami. Podobieństwo mowy zbliża Akkadów do znanych nam obecnie Finnów, Madiarów i Turków.

Lecz czy tylko język wprowadza naród ten do rodziny turańskiéj? Czy przechowane w *pomnikach dwujęzycznych* pojęcia Akkadów o istocie bogów i bogiń, czy przedstawiony w tych pomnikach obraz świata zewnętrzego, wylęgłego w ich wyobraźni, odkryte w nich ślady ustroju ich społecznego, słowem, to wszystko, co dostarcza etnografii tyle dowodów dla poparcia lub odrzucenia przyjętéj klasyfikacyi, w tym razie odmawia wszelkich wskazówek? Na to pytanie *Lenormant*, główny badacz zabytków dwujęzycznych i języka akkadzkiego (1), odpowiada szeregiem dzieł i rozpraw, opartych

---

(1) Przeciwnikiem zaciętym *teoryj akkadzkich* Lenormant'a jest znany oryentalista i semitolog *J. Halévy*. Główny i poniekąd jedyny zarzut jego polega na twierdzeniu, że

na studyach samodzielnych, kombinacyach głębokich, a wyczerpujących kwestyę, opartych na zdobytéj pracą i wytrwałością nauce i wiedzy. (1) Celem tych publikacyj jest przekonać, że nie sam tylko język przemawia za zaliczeniem Akkadów do *Turańczyków*, lecz że ich łączą z niemi te wszystkie węzły, które mogą łączyć tylko ludy jednorasowe.

*I. Radliński.*

---

to, co *Lenormant* i jego zwolennicy przyjmują za język osobny i nazywają akkadzkim, jest tylko właściwie *kryptografią* (pismem tajemném) Asyryjczyków. Polem polemiki jest *Towarzystwo Azyatyckie* w Paryżu i jego publikacye. Najważniejsza pod tym względem jest rozprawa p. t. *Observations critiques sur les prétendus Touraniens de la Babylonie*, pomieszczona w *Journal Asiatique* za r. 1874.

Polemika ta wywołała zainteresowanie ogólne w Europie. Uczeni angielscy i niemieccy stają jednakże po stronie Lenormant'a. *Schrader* w rozprawie krytycznéj pomieszczonéj w *Zeitschrift der Deutschen Morgenländischen Gesellschaft* (za r. 1875) p. t. *Ist das Akkadische der Keilinschriften eine Sprache oder eine Schrift?* przeważa stanowczo zwycięstwo na stronę Lenormanta. *Sayce* pisze: *On accadian Grammar* („Jour. of Philology," 1870).

Nie daléj jednakże jak w roku zeszłym na posiedzeniu „Towarzystwa Azyatyckiego" w dniu 18 kwietnia, *Halévy* publicznie zarzucał *Lenormant'owi*, że te słowa, które on przyjmuje za *akkadzkie*, są czysto semickiego pochodzenia, tylko zamienione stosownie do celu i środków *kryptografii*.

(1) Oto są ważniejsze z tych dzieł:

*La Magie chez les Chaldéens et les Origines Accadiennes*, 1874.

*La Langue primitive de la Chaldée et les Idiomes touraniens*, 1875.

*Etudes Cunéiformes*, Zeszytów trzy, 1878. (Odbitka z *Journ. Asiat.* i *Transactions of the Society of biblical Archeology*).

*Hymne au Soleil*, à texte primitif accadien. (Jour. Asiat.) 1878—1879.

A nadto, wzmiankowane już w odsyłaczach:

*Etudes Accadiennes, Les Syllabaires cunéiformes.*

# WRAŻENIA Z PODRÓŻY

## PO POŁUDNIOWYCH OKOLICACH KRÓLESTWA POLSKIEGO.

### I.

Zawód. — Barany. — Gęsi. — Kwestya faktorska i mięsna. — Zamek pilicki. — Pilica. — Zbyteczni pośrednicy. — Fabryka Moesa.

Pociąg kuryerski kolei W. W. zaniósł nas do Zawiercia. Według opowiadań, czekają tam zawsze wózki na gości do Buska. Że jednak przyjechaliśmy „za rano," mianowicie o 5-téj po północy, więc się „jeszcze" nie zjawiły.

Trzeba było zdecydować się na „extra-pocztę" t. j. na taki sam chłopski wasąg, lecz zaprzężony końmi mającemi pewien odcień urzędowy. Za 17 wiorst do Pilicy mieliśmy zapłacić rs. 2, a zaręczano nam, że z Pilicy do Buska tylko 8 rs. od nas żądać będą.

Minęliśmy Ogrodzieniec z pięknemi ruinami starożytnego zamku. Na drodze nic zajmującego nie napotykaliśmy oprócz wielkich stad baranów pędzonych na zachód.

— A dokąd to tyle baranów pędzicie?

— A do Siewierza, proszę łaski pana.

— Cóż tam, jarmark?

— A jarmark, co drugi tydzień.

— I któż tam tak dużo baranów kupi?

— A la Boga! tam kupca nigdy nie brak. Jeszcze dziesięć razy tyle baranów przypędzą, a wszystko rozkupią.

— Zapewne kupcy warszawscy?

— Ej nie! miemcy, prusaki.

Zacząłem myśléć, o ile taki wielki wywóz baranów do Prus może wpływać na ceny mięsa w naszym kraju, a z drugiéj strony, ile wzbogaca producentów. Zaczęła mi krążyć po głowie myśl, że o ile

my, warszawiacy, tracimy na tém, o tyle szlachta i chłopi zyskują. Nawet głowa moja tak dalece się rozkiełznała, żem ośmielił się pomyśléć: „może wina drożyzny nie spada całym swym ciężarem jedynie na faktorów, może jest ona wynikiem przyczyn bardzo naturalnych i koniecznych, wielkiego zażądania towaru a małéj jego ilości, utrudnionéj przez rozmaite niezależne ani od producentów ani od faktorów ani od konsumentów okoliczności.“ Na szczęście jednak profesor T. mój towarzysz, któremu zawdzięczam projekt niniejszéj wycieczki, mającéj głównie na celu obznajmienie się z najnowszemi badaniami geologicznemi, prowadzonemi dla poznania możliwości odkrycia soli w południowych powiatach naszego kraju, że prof. T. powiadam, skierował myśl moję na jakiś temat geologiczny i odprowadził ją od śliskiéj drogi wiodącéj wprost do niepopularności w pewnych kółkach.

Lecz widocznie los uwziął się na mnie, aby mi na każdym kroku zaprzątać głowę kwestyą faktorsko-mięsną, od któréj kontent byłem żem uciekł z Warszawy na łono natury. Zaledwie pozbyłem się owiec, aż tu znowu pojawiają się gęsi.

— Hej! ojcze! dokąd te gęsi pędzicie?

— Do Siewierza, wielmożny panie!

— A komuż je tam sprzedacie?

Chłop spojrzał na mnie z odcieniem jakiéjś ironii.

— Oj zebym ino tyla miał, ileby miemcy kupili!

— Ale czy dobrze wam zapłacą?

— Gdyby nie płacili dobrze, tobyśmy gęsi nie pędzili na jarmark. Co mi za niewola!—dodał uśmiechając się z mojéj naiwności.

Po gęsiach znowu nastąpiły owce i znowu usłyszałem odpowiedź: do Siewierza.

Zadałem więc towarzyszowi memu pytanie, jak należy patrzéć na podobne zjawisko? Z jednéj strony wywóz pobudza do rozwoju produkcyą krajową i bogaci wytwórcę, z drugiéj następuje ogólna drożyzna, która i na producencie się odbija. Zgodziliśmy się, wedle poprzedniéj opinii ekonomicznéj, iż stan taki uważać należy za pomyślny. Ale co na to powie biedny ludek warszawski, który zawsze się gniewa, ilekroć widzi pędzoną w piątek nierogaciznę ku kolei prowadzącéj do Niemiec?

Tu znowu wyrwał mnie zpośród niepojętych dla mnie wątpliwości mój towarzysz, zacząwszy opowiadać, jak to Prusacy doskonale pojmują wartość geologii, jak nie szczędzą na nią kapitałów, czego najlepszym dowodem jest ekspedycya Roemera, na którą rząd pruski wydał 100.000 talarów. Wyprawa ta nie wahała się przejść granicy polskiéj, dokonać badań, jedynych u nas co do dokładności

i wydać mapę części kraju obcego. już-to dla celów naukowych, już może ze względu na planowaną „anneksyą.“

Wśród téj rozmowy zbliżamy się do Pilicy. Przedewszystkiém uderza oczy nasze na wzgórzu postawiony piękny dom, *vulgo* pałac, który nowy właściciel odbudował. Dla uwieńczenia dzieła odbudowuje się także stary mur zamkowy, tak że dwór będzie miał pozór małéj forteczki. Ponieważ Pilica leży blisko niemieckiéj granicy, więc wypada sądzić, iż „utwierdzenie“ to przeciwko Niemcom jest skierowane. Bardzo pięknie! — więc będziemy z zamku pilickiego oczekiwali obrony od coraz bardziéj wyrastającego najazdu Niemców, w południowo-zachodnich powiatach kraju. Zamki obowiązują (1).

Wjeżdżamy do miasta. Wcale nie pozorne. Gdy przebywamy rynek, pytają się nas Żydzi, czy nie potrzeba nam koni. Odpowiadam, że potrzeba, w skutek czego zacny mój towarzysz robi uwagę, że takie głośne wyjawienie potrzeby koni może wywołać drożenie się furmanów. Według mnie jednak, chcąc jak najtaniéj pojechać, trzeba wywołać jak największą konkurencyą i dlatego należy dać jak największy rozgłos swojemu żądaniu. Zresztą choćby nas trochę zdarli, to przecież warto uczynić doświadczenie na faktorach, którzy pozyskali u nas tak obszerną literaturę.

Zajeżdżamy do traktyerni p. Jurkowskiego, gdzie się zachwycamy smakiem i rozmiarami befsztyku, pozwalając sobie potrochu drwić z pierwszorzędnych restauratorów warszawskich, którzy zapewne w skutek „zbytniego pośrednictwa“ muszą dawać befsztyki małe, drogie i smażone na fryturze. Ale dobre wrażenie pilickiego befsztyku zostaje usunięte przez szwargot naprawdę zbytecznych pośredników, których może sześciu weszło do sali jadalnéj, proponując jednę i tę samę furę.

Po długich rozprawach zgodziliśmy wreszcie furmankę do Buska (11 mil) za 8 rs. tak jak nam z Zawierciu zapowiedziano. Zapłaciliśmy faktorowi prawdziwemu, ale przyczepił się jeszcze „zbyteczny pośrednik“ w postaci głuchoniemego, któregośmy z początku wzięli za lokaja restauracyi, bo z nas palta zdejmował, walizki znosił i td. Zdawało mi się, że ten ochotniczy lokaj głucho-niemy więcéj zasłużył na datek niż dumni lokaje restauracyj warszawskich, którzy przecież od właściciela otrzymują zapłatę za podawanie zwierzchniéj odzieży.

---

(1) Pomiędzy napisaniem a wydrukowaniem tych słów zaszedł wypadek, wyłączający podobne nadzieje (!) a przypominający raczéj zasadę: *sic vos non vobis*...

Wyjazd nasz opóźniła o kilka minut ożywiona rozmowa żydowska, którą toczył nasz furman z faktorem. Zakończyła się ona przejściem kilku miedziaków z kieszeni furmana do ręki faktora.

— Cóż to? i wy płacicie faktorom? zapytałem Symchy.

— A cóż robić, te bestye tak opadną człowieka, że zawsze coś wydrą. Przecie ja się z panami sam zgodziłem i niepotrzebnie się oni wtrącali.

— No, to mogłeś mu nic nie dać.

— A toby późniéj żadnego pana nie nastręczył.

— A więc przynosi ci korzyść. Dużoś mu zapłacił?

— Zaledwie na złotówkę przystał bestya.

— Ilu u was jest faktorów?

— Czterech.

— A ilu Żydów?

— A któżby ich liczył...

— Tysiąc będzie?

— O! będzie, jeżeli nie więcéj.

Wózek potoczył się po wybojach i trzeba było przestać mówić.

Niedaleko za miastem zobaczyliśmy wielki gmach, z wypalonéin wnętrzem.

— Co to jest? zapytałem furmana.

— To była fabryka Moesa. Od niéj-to proszę pana zaczęły się nasze nieszczęścia.

— A-to jakim sposobem?

— A tak, dopóki była, to i furman mógł coś zarobić i robotnik nie był głodny i szewc buty sprzedawał i kupiec miał się dobrze; a kiedy się spaliła, to wszystko poszło *kaput!* — i teraz jest biéda taka, jakiéj już dawno nie było.

— A czy o jéj odbudowaniu nikt nie myśli?

— Kto tam myślał! A powiedźcież panowie szczerze, czy ten pan, co oto tam zamek buduje, nie lepiéjby zrobił, gdyby po Moesie poprowadził fabrykę? Przecie i onby nic na tém nie stracił, a ludziom wieleby dobrego zrobił.

— Macie racyą, ale co wam z tego przyjdzie, że usłyszycie nasze zdanie, kiedy to nie od nas zależy.

— Zawsze to, proszę panów, dobrze wiedziéć, czy inni ludzie, „a jeszcze więcéj“ panowie, myślą tak samo jak my.

## II.

Charakter jazdy. — Mostki jako droga do sceptycyzmu. — Pińczów. — Aryanie, sery, fontanna. — Nowy towarzysz. — Ciężkie czasy. — Busk — znowu faktorzy.

Jedziemy daléj. Spotykamy ciągle owce i gęsi a wszystkie one dążą do Siewierza. Mijamy miasteczko Żarnowiec i Wodzisław i przybywamy do Pińczowa.

Ale łatwo to jest powiedzieć: mijamy i przybywamy. Ileż-to uderzeń przenieść potrzeba, aby w naszym kraju przejechać mil kilka. Wózek spada z wyboju w wybój, lub wlecze się po grząskim piasku, a minuty zdają się godzinami.

Nie chcę być posądzonym o pesymizm i nie wymagam od „zwyczajnego traktu pocztowego“ aby był dobrym, kiedy u nas nawet „bite trakty pocztowe“ są dobre tylko kawałkami. Nie chcę się téż wdawać w niebezpieczne rozmyślania o tém, że jednakże administracya wyznacza co rok znaczny fundusz na utrzymanie dróg i że z tego powodu nie byłoby zbyt wielkiém przestępstwem wymagać, aby drogi były jakie-takie. Od jednego tylko zarzutu wstrzymać się nie mogę a mianowicie nie rozumiem rozrzutności, która każe budować mosty na drogach drugorzędnych. Mostki stoją a my jedziemy w bród. Gdym piérwszy raz podróżował po kraju, miałem lat 8 i wtedy, jak-to zwyczaj dziecka, zastanawiałem się nad wszelkiemi drobnostkami i zadawałem pytania, „na które osobom dorosłym trudno odpowiedzieć.“ Otóż uderzyła mnie następująca okoliczność. Jadąc w maju z Warszawy do jednego z najpołudniowszych miasteczek, widziałem mostki zamknięte drągami lub odstraszające wiechami. Przez wszystkie prawie rzeki i strumienie musieliśmy, ku wielkiemu strachowi memu, w bród przejeżdżać. Na pytanie, dlaczego przejeżdżamy przez wodę, kiedy jest most, odpowiedziano mi, że most się zepsuł, i będą go reparować. Zrozumiałem. Ale już tego głupie dziecko nie mogło zrozumiéć, dlaczego we wrześniu, kiedyśmy wracali napowrót do Warszawy, też same wiechy i te same drągi nie dozwalały przejazdu przez most, i znowu z biciem serca przebywałem strumyki? Gdybym w owych czasach miał nauczyciela pesymistę, to możeby mi podał jakąś „przewrotną hipotezę,“ któraby moję ciekawość zaspokoiła. Ale mentorem moim był zacny Pangloss, który nic nie dodawał do podręczników, według których dzieci są kierowane, a z których wyniosłem przekonanie, że „wszystko dzieje się jak najlepiéj na tym najlepszym ze światów!“ Umysł mój długo błąkał się w ciemnościach i uspokoiłem się nieco dopiéro wtedy,

gdym się dowiedział z „Wypisów,“ iż piramidy egipskie jeszcze dłużéj budowano. Wprawdzie spokój ten zaburzyła na chwilę myśl, że dwusążniowe mostki nie są piramidami, ale wkrótce z jakiegoś „natchnionego“ wiersza dowiedziałem się, że dziś ludzkość w porównaniu ze starożytnością i średniemi wiekami ogromnie skarlała. I któżby pomyślał, że te marne mostki zaprowadzą mnie na drogę zwątpienia i zguby! A jednak tak się stało. W kilka lat potém przeczytałem, już nie wiem w któréj książce, artykuł o Galileuszu i znalazłem w nim owo słynne *e pur si muove.* Zdanie to ogromnie mi się podobało, polubiłem niezmiernie Galileusza i zacząłem robić nonsensowe porównania pomiędzy nim a Napoleonem I, a nawet owym Aleksandrem Wielkim, dla którego, bądź-co-bądź, więcéj miałem sympatyi aniżeli dla wszystkich innych zdobywców razem wziętych. *E pur si muove! E pur si muove!* powtarzałem sobie chodząc po pokoju i dopiéro od tego głośnego powtarzania odzwyczaiła mnie uwaga służącéj Scholastyki, która, jak zwykle mrukliwie, rzekła: nie słyszałam nigdy o „uporze zimowym.“

Ale to do rzeczy nie należy. Bądź-co-bądź owo „e pur si muove“ obudziło wrodzony mi „upór“ z nadzwyczajną siłą i zburzyło od razu całą wieżę początkowéj filozofii, wtłoczonéj mi w ten sposób, że się jedno drugiego trzymało tylko dopóty, dopóki nie zawiał wietrzyk krytyki. Pomiędzy innemi wystąpiły na wierzch owe mostki i zacząłem rozmyślać: prawda, że można wbród przejechać, prawda, że o „zwykłych“ podróżnych nie bardzo się trzeba troszczyć, prawda, że nasi architekci nie są tak genialni i energiczni jak budowniczowie piramid, ale w takim razie trzebaby było... albo wcale nie rzucać się na tak wielkie przedsięwzięcia, albo też...

To „albo też“ nabrało wielkiéj siły, gdym pojechał piérwszy raz za granicę i widział — o bogowie olimpijscy — całe mostki, bez wiech i drągów.

Nie darmo nasza literatura z piątego i szóstego dziesiątka lat jest zapełniona wycieczkami przeciwko „nowinkom zagranicznym.“ Gdybym nie odetchnął zaraźliwą atmosferą „przecywilizowanego zachodu,“ możeby nigdy w głowie mojéj nie powstała harda myśl o tajemnicy mostków, którą jeszcze obecnie lękam się wyjawić.

Te wspomnienia i rozumowania cisnęły mi się do głowy, gdyśmy dojeżdżali do Pińczowa, który niegdyś słynął heretykami Aryanami, a teraz cieszy się zaszczytną i żadnéj nienawiści niewzbudzającą sławą suchych serków. Pomyślałem, że to powinno być nauką dla każdego człowieka: zamiast się zajmować filozofią lub tajnikami mostków i dróg, lepiéj fabrykuj serki a będziesz się cieszył sympatyą „ziemskiéj“ i „nieziemskiéj“ policyi... jak się należy.

W Pińczowie widziałem na rynku coś w guście ogrodu publicznego a w nim fontannę. Na szukanie śladów dawnéj wielkości nie miałem czasu, a co do serów, tom się dowiedział, że są podobne do wina Bordeaux, t. j. że dobrych serów pińczowskich tylko w Warszawie dostać można.

Gdyśmy się w dalszą drogę puszczali, już się dobrze ściemniało. Wkrótce wjechaliśmy pomiędzy dwie kępy drzew, szumnie przez naszego furmana lasem nazwane. Ciemności egipskie, w których się fantastycznie rysowały jakieś zgarbione drzew figury, znużenie i senność, wprawiły mój umysł w jakiś stan sprzyjający urojeniom, i choć moje antecedencye nie zdawałyby się dowodzić, iż należę do osób bardzo bojaźliwych; jednakże przyznać muszę, iż żałowałem grzeczności, którąśmy wyświadczyli jednemu z kapotowych obywateli miasta Pińczowa, wziąwszy go z sobą na wózek. Anuż — pomyślałem sobie, jest on w zmowie z furmanem i „urządzą“ nas obydwaj w tym „lesie.“ Byłaby-to wcale nie zła humorystyka.

Jechaliśmy po piasku, a więc bardzo powoli i bez turkotu, i dlatego szwargot prowadzony przez furmana i jego sąsiada na koźle mógłby dochodzić do naszych uszu, ale na nieszczęście spali obaj. Chciałem się przekonać, czy ten stan „niewinności“ był rzeczywisty.

— Słuchajcie! zawołałem, jakie w tych okolicach urodzaje?

— Chwała Bogu, dobre, rzekł obudzony z drzemki.

— Więc zapewne dobre robicie interesa?

— Były kiedyś dobre, aleśmy już zapomnieli, co to jest dobry zarobek.

— A to dlaczego?

— Bo szlachta biedna, ledwie że się trzyma i jak koń pracuje, aby tylko na wierzch się wydobyć, a kiedy szlachta biedna, to Żyd nic nie zarobi. Chłopy wprawdzie są bogatsze, ale żeby na nich zarobić złotówkę, to trzeba stracić zdrowia za trzy ruble. Tylko szynkarz i złodziéj zyska coś od nich, ale ani kupiec ani faktor. Niech-no pan dobrodziéj sprobuje gdzie na targu kupić u chłopa kilka korcy pszenicy, albo przypatrzy się, jak on kupuje chustkę albo sukmanę! Ze szlachcicem zupełnie co innego. On wié, jaka jest cena zboża w Kielcach i Warszawie, i dlatego prędko można dojść do zgody. A zresztą szlachcic to zawsze szlachcic i wié, że każdy żyć potrzebuje.

Tu przypadkowy nasz towarzysz do spółki z furmanem zaczęli nam opowiadać i o szlachcie i o chłopach i o urzędnikach i o sądach w ten sposób, że posądziłem ich, że zarażeni zostali „niedobrą wolą“. Naturalnie że tego powtarzać nie będę.

— Czy wiesz, gdzie jest hotel Bieńkowskiéj?

— Nie wiem, wielmożny panie, ale się tam zaraz faktory zlecą i pokażą.

— Ja ci dam faktorów, rzekłem naprawdę oburzony propozycyą używania pomocy faktora do tak błahéj rzeczy.

— A jak tam miejsca nie będzie?

— To i tak obejdziemy się bez faktorów.

Za kilka minut wjechaliśmy na rynek Buska. Była 10 wieczorem. Natychmiast przybiegło kilku faktorów, którym furman dał odprawę, mówiąc, iż nie życzymy ich sobie. Jednakże jeden z nich, zapytany nie w charakterze faktora lecz obywatela buskiego, wskazał nam hotel Bieńkowskiéj.

W hotelu oświadczono nam, że nie ma ani jednego próżnego lokalu. Poszliśmy więc do drugiego hotelu, gdzie otrzymaliśmy taką samę odpowiedź, z dodatkiem objaśniającym, że jeżeli się chcemy przespać pod dachem, to musimy się udać do faktorów, bo oni jedni tylko mogą wiedziéć, gdzie istnieje pokój niezajęty.

— A nie powiedziałem panom?... rzekł z tryumfem furman.

Skonfundowani, musieliśmy się zgodzić na „zbyteczne pośrednictwo", gdyż nie mieliśmy wcale ochoty przespać się pod wilgotném niebem.

Piérwszy faktor pokazał nam takie klétki, że nawet wobec niebezpieczeństwa nocowania na wózku nie mogliśmy się na nie zgodzić; drugi zaofiarował nam sionkę jeszcze gorszą od poprzednich izdebek, dopiéro trzeci zaprowadził nas „na folwark" do domu rządowego, gdzieśmy dostali wygodny i czysty pokój.

— A jednak faktorzy są potrzebni! zawołał mój towarzysz, wielki nieprzyjaciel faktorów.

— Zapewne, odrzekłem, choć w tym razie niezbędność ich zależy od niezaradności właścicieli domów i od policyi miejskiéj. Gdyby „obywatele" wspólnie urządzili biuro informacyjne o mieszkaniach, gdyby przynajmniéj składali w policyi wiadomość o niezajętych lokalach, to przyjeżdżający nie byliby narażeni na błąkanie się, a czas i siły faktorów musiałyby się zwrócić ku innym zajęciom.

## III.

Zakład kąpielowy.—Zasługi nowego dzierżawcy.—Brak odpowiedniéj komunikacyi.—Oszukiwani geologowie—Zarys poszukiwań soli w naszym kraju.

Nazajutrz zaczęliśmy zwiedzać Busk. Największą osobliwością jego jest o wiorstę oddalony zakład kąpielowy z wielkim gmachem murowanym, którego wnętrze nie ma nic sobie podobnego w kraju

i Galicyi. Centrum jego stanowi wielka i piękna sala ozdobiona biustami. Jest ona jednocześnie i kursalem i przysionkiem celek kąpielowych. Gmach ten zbudowany został około r. 1840 przez kompanią dzierżawców wód Buskich, złożoną z pp. Enocha, Szymona Wernera, Hermana Epsteina, Maurycego Samuelsohna i Feliksa Rzewuskiego. Za salą jest pomieszczenie dla machiny parowéj pompującéj wodę mineralną, dla kotłów i innych urządzeń, a z boków i w skrzydłach mieszkania dla pacyentów, restauracya i t. d.

Znaczna liczba osób zamiast używać świeżego powietrza przesiaduje całemi godzinami w owéj sali, w atmosferze obciążonéj siarkowodorem, wydzielającym się z solanki. Na naszę uwagę, że szkoda płuc i krwi, odpowiedziano, że i owszem, atmosfera ta jest wielce skuteczną na pewne choroby. Ale czy razem z chorobą nie zmaga i chorego?

Zasługuje téż na szczególną uwagę piękny park i prowadząca przezeń droga szosowa, zbudowana z wielkim kosztem przez obecnego dzierżawcę Buska dra Dobrzańskiego. Wszystko to ma pozór zupełnie „zagraniczny", a miasteczko ze swoim charakterem tradycyjnéj ospałości i nieporządku wielki kontrast z kuracyjną osadą stanowi. Pożądaną byłoby rzeczą, aby wystawiono tuż obok zakładu kąpielowego mieszkania dla pacyentów. Prawdopodobnie byłby-to dobry interes, gdyż grunt pod nie można dostać albo bardzo tanio albo téż bezpłatnie, na czas zapewne dosyć długi. Zagranicą niepotrzebaby zachęcać do takiego przedsiębierstwa, u nas ludzie pieniężni zbyt mało mają na to odwagi, bo to „rzecz nowa", a my lubimy zawsze kogoś naśladować.

Nowy dzierżawca pojmuje dobrze potrzeby zakładu kąpielowego, wprowadza rozmaite ulepszenia, np. chce stopniowo zastąpić wszystkie wanny cynkowe, psujące się od wody siarczanéj żelaznemi emaliowanemi i t. d. Ale choć własnemi siłami wiele może zrobić dla zakładu, nie zdoła go jednak podnieść bez pomocy rządu do tego stanowiska, jakie mu się z natury rzeczy należy. Nie można bowiem wymagać od dzierżawcy, aby zaprowadził wygodną komunikacyą ze stacyami kolei żelaznych. Dzisiejsza zaś jest niższą od wszelkiéj krytyki i niejeden zreumatyzmowany lub wycieńczony długą chorobą z pewnością przeniesie drogi wyjazd za granicę, nad wystawienie swych kości na kilkunastogodzinne trzęsienie w niewygodnym wózku, po najgorszych drogach. Gdyby istniała „europejska" komunikacya z Buskiem, to możeby i prywatni przedsiębiercy znaleźli w sobie dość inicyatywy do budowania domów około zakładu i miejsce to, mając już jak najlepsze początki na drodze rozwoju, wzrastałoby coraz bardziéj. Ale kwestya ta zależy w zupełności od nowéj drogi żelaznéj,

Dęblińsko-Dąbrowskiéj, któraby powinna przejść przez Jędrzejów i Wodzisław, a może nawet i Pińczów. W takim razie pozostawałoby jazdy wózkiem tylko 2—5 mil.

Na geologów szukających soli i nafty, dla których właśnie przyjechaliśmy do Buska, czekaliśmy dwa dni. Wreszcie przybyli dwaj z nich, a mianowicie kierownik wyprawy p. Wincenty Kosiński, naczelnik rządowych kopalni galmanu, oraz inżynier górniczy p. Kontkiewicz, były mój kolega ze Szkoły głównéj, który niedawno z polecenia departamentu górnictwa zwiedzał w celu geologicznym Ural i południe Rosyi. Trzeci geolog, inżynier górniczy p. Michalski, także nasz rodak, był zajęty na prawym brzegu Nidy.

Departament górniczy już dość dawno zwrócił uwagę na możliwość znalezienia soli w południowych powiatach naszego kraju, od lat już kilku przygotował pewną niewielką sumę na te badania. Rok obecny okazał się tyle szczęśliwym, że suma ta została w ruch puszczoną we właściwym kierunku.

Fakta uzasadniające poszukiwania soli w tych okolicach są bardzo doniosłe. Tu rozciąga się na wielkich przestrzeniach taż sama formacya mioceniczna, w któréj się znajdują kopalnie Bochni i Wieliczki, niebardzo zresztą od tego miejsca oddalone: tu na znacznéj przestrzeni rozwinięte są gipsy, uważane za skałę stale towarzyszącą soli; tu napotykają się margle zasolone (przejęte solą); tu wreszcie w wielu miejscach źródła słone tryskają. Co się zaś tyczy nafty, to i na jéj ślad natrafiono w powiecie Stopnickim we wsi Wójczy.

Wskazówki powyższe były już oddawna znane. Umiano téż je odpowiednio oceniać i bynajmniéj nie od dziś dnia datują się poszukiwania soli w Królestwie Polskiém.

Już za Stanisława Augusta, gdy saliny polskie przeszły w ręce Austryi, rząd polski zaczął czynić poszukiwania w okolicach jak najbardziéj do Wieliczki zbliżonych, aby tym sposobem powyższą stratę choć w części wynagrodzić sobie. Nadto zwrócono oko na okolice Pińczowa, gdyż wyczytano w dziele Kromera „*de situ Poloniae*“, iż za dawnych czasów wydobywano sól „*ad Pincum*“, co wytłomaczono jako Pińczów.

Poszukiwań tych dokonywali sprowadzeni umyślnie w tym celu zagraniczni górnicy: Carossi, Ferber i inni. Najważniejszym rezultatem ich pracy było odkrycie solanki buskiéj, z któréj nawet owego czasu warzyło sól towarzystwo akcyjne składające się z 32 akcyonaryuszy, zebranych z upoważnienia królewskiego przez Sasa, barona Beusta. Owego czasu prowadzono takie poszukiwania w dość wielu miejscowościach w Łęczyckiém i przez lat 15 (1780—1795) warzono sól ze źródła odkrytego we wsi Solcy.

Potém nastąpił zastój w tym względzie i dopiéro dyrekcya górnicza, utworzona w r. 1816 poleciła nadradcy górniczemu Ernestowi Beckerowi, aby się znowu zajął podobnemi badaniami. Becker uznawszy za najracyonalniejsze szukanie soli nad Wisłą naprzeciwko Wieliczki, oraz w dolinie rzeki Nidy, począł kopać około Szczerbakowa szyb, który jeszcze pogłębił otworem świdrowym do głębokości tysiąca kilkuset stóp. Z drugiéj strony, pod Solcem, dosięgnął świdrem głębokości 500 stóp, ale tak w pierwszym jak i drugim razie rezultat był ujemny.

Gdy górnictwo przeszło pod zarząd Banku Polskiego, Becker został znowu delegowany do tych poszukiwań. W r. 1833 zaczął prowadzić pracę w okolicach Biórkowa; nie skończył jednak, bo go śmierć zaskoczyła w r. 1836. Skutek tych trzyletnich poszukiwań był taki sam jak i poprzednio.

Z takiémże szczęściem prowadził badania Pusch podczas swych pierwszych wycieczek geologicznych, a również wysłany do Litwy (1825—1826) górnik Ulmann.

Od roku 1819 prace te kosztowały przeszło 700,000 zł. co na owe czasy było sumą bardzo wysoką.

Nie stracono jednak nadziei; i gdy skarb nie mógł już więcéj kosztów łożyć, utworzyła się, za inicyatywą, jak się zdaje, bankiera barona Frenkla, spółka akcyjna do poszukiwania soli, która z radą administracyjną zawarła kontrakt następującéj osnowy: Towarzystwo ma szukać soli i eksploatować ją na własny rachunek, przyczém rada administracyjna zastrzega sobie prawo odkupu soli po 5 zlp. za cetnar. Kontrakt ma trwać lat 50, lecz gdyby po latach sześciu usiłowania spółki nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, kontrakt rozwiązuje się.

Na czele tego towarzystwa stanął bankier berliński Mojżesz Moser. Roboty powierzono niemieckiemu górnikowi Rostowi. Założył on świdry pod Siewierzem i Nowém Brzeskiem i sięgnął do głębokości 1500 stóp, ale soli nie znalazł. W skutek tego towarzystwo rozwiązało się w r. 1838.

Pewien stary przedsiębiorca górniczy, pamiętający owe czasy, opowiadał mi, że pod Siewierzem wrzucił ktoś sól do otworu świdrowego. Pozorny fakt natrafienia na ślady cennego minerału obiegł wkrótce całe Królestwo i kurs akcyj wzrósł w czwórnasób. Gdy jednak przekonano się, że był to fałszywy alarm, akcye spadły, jak mówił „z pieca na łeb“.

Wszystkim dotychczasowym robotom brakło podstawy naukowéj. Kierując się faktem obecności soli w pokładach Wieliczki i Bochni, nie wiedziano, do jakiéj formacyi pokłady te należą, i dlatego

téż wielokrotnie zapuszczano świder daleko niżéj, do formacyj, w których także może się sól znajdować, ale gdzie już traci siłę wskazówka, jaką daje bliskość Wieliczki i Bochni.

W tym czasie zbadano, że sól galicyjska znajduje się w pokładach miocenicznych, w skutek czego geologowie doszli do wniosku że przedewszystkiém w téj formacyi szukać należy soli w obrębie Królestwa Polskiego. Projekt Zejsznera, jednego z najzasłużeńszych geologów naszych, właśnie na téj zasadzie się opierał. Lecz i Zejszner doznał zawodu; wydawszy 30,000 rs., doszedł do przekonania, że nie warto szukać soli w południowych okolicach Królestwa.

W tym czasie powstało podanie ludowe, że właściwie Zejszner znalazł sól, lecz że został przekupiony przez rząd austryacki, obawiający się konkurencyi: Zejszner więc doniósł rządowi swemu, iż soli nie ma w Królestwie. Uważamy tę potwarz za zupełnie bezzasadną i śmieszną i podajemy ją tylko dla wykazania, jak lud tutejszy wierzy w obecność soli na swoich terytoryach.

Zejszner, chociaż znakomicie się przyczynił do geologicznego zbadania tych okolic, nie miał jednak dostatecznego materyału do pozytywnego uzasadnienia swego negatywnego zdania, i właśnie dla ostatecznego zadecydowania kwestyi wysłaną została wyprawa tegoroczna (1).

---

(1) O rezultacie tych prac nie można było przesądzać w czasie niniejszéj wycieczki. W listopadzie r. 1880 badania te zostały ukończone. P. Kontkiewicz tak określa ich rezultat:

„Wyniki ostatnich badań geologicznych w téj okolicy zdają się godzić nas z myślą, że prawdopodobnie pokładów soli u nas wcale nie ma (t. j. w okolicach badanych, *Przyp. aut.*), że zatém wszystkie dalsze jéj poszukiwania pozostaną równie bezskuteczne jak dotychczasowe. Kiedy bowiem grubość formacyi mioceniczněj w Galicyi znacznie przewyższa 1000 stóp (w Bochni sól dobywają obecnie z głębokości 1400 stóp), w naszym kraju jest ona znacznie mniejsza, bo wynosi zaledwie kilkaset stóp w południowéj jego części nad Wisłą, a ku północy coraz się zmniejsza i zupełnie znika u podnóża gór Świętokrzyskich. Gdy do tego dodamy, iż formacya ta w wielu bardzo miejscach téj części kraju przecięta jest w dolinach rzek (szczególniéj Nidy) aż do saméj podstawy, to jest do formacyi kredowéj, musimy dojść do wniosku, że gdyby w niéj istniały pokłady soli, musiałyby one zjawić się gdziekolwiek na powierzchni, albo bezpośrednio, albo przynajmniéj w postaci bogatych źródeł słonych. Tymczasem nasze solanki buskie, soleckie i inne są tak biedne, że trudno przypuścić, aby one brały początek z pokładów soli; przeciwnie, należy mniemać, że sól tylko w bardzo rozdrobnionym stanie przenika pokłady glin i gipsów miocenicznych, z których ją wody podziemne wypłókują i na powierzchnię ziemi wynoszą.

„Z łupkowych glin czyli iłów téj formacyi wypływają także źródła nafty we wsi Wójczy niedaleko Stopnicy. Chociaż warunki geologiczne, w jakich zjawia się tu nafta, zupełnie są różne od tych, jakie widzimy w sąsiedniéj Galicyi (gdzie nafta bierze początek w znacznie starszych pokładach), jednakże miejsce to zasługuje na uwagę ze względu na dość obfite wydzielanie się ropy (surowéj nafty) w kilku studniach poszukiwawczych, ja-

Dla uzupełnienia niniejszego rysu poszukiwań soli w Królestwie polskiém musimy nadmienić, że niedawno, gdy Prusacy odkryli bardzo bogate pokłady soli około Inowrocławia, rząd kazał zapuścić trzy świdry w okolicach Ciechocinka. Otwory doszły do głębokości 700 stóp i kosztowały 75 tysięcy rubli. Na pokład soli kamiennéj nie natrafiono; ale nie idzie za tém, żeby ten niepomyślny wypadek miał stanowić o nieistnieniu soli w téj okolicy. Toż samo bowiem było około Inowrocławia: świdrowano długo, zrozpaczono nawet o rezultacie i wreszcie znaleziono bogaty pokład o 1500 kroków od otworu świdrowego, który już przedsiębiorcę do rozpaczy przyprowadził.

*Br. Rejchman.*

(*C. d. n.*)

---

kie tu były kopane. W Galicyi podobne oznaki uważają za bardzo dobre i nie wahają się na ich zasadzie przeznaczać większych sum na szczegółowe i głębokie poszukiwania".

Dodatni więc rezultat powyższéj wyprawy ogranicza się do sfery czysto naukowéj. Ogłoszony on będzie dopiero wtedy, gdy geologowie opracują (zimą) materyał zebrany. Ujemny rezultat co do soli ma jednak praktyczne znaczenie, gdyż, na zasadzie ścisłych danych odwiedzie od bezowocnych a kosztownych poszukiwań.

---

# SZLACHTA W ŚWIETLE OPINII WIEKU XVIII.

STUDYUM HISTORYCZNE.

---

*Osiadł tuman na górze,*
*A z nim wiatry i burze:*
*Wiatr liść dębów pomiotał,*
*Cedry piorun zgruchotał....*
*KRASICKI.*

Po wieku bezwzględnych dla szlachectwa uniesień nastały czasy, w których garść ludzi wyłamała myśl swoję z ram starych i ostygła w afekcie dla zasad, mających za sobą tak powagę przeszłości, jak i kwitnącą powszechność. Zastęp tych ludzi w początkach ośmnastego wieku wąskiém szedł pasmem, aż za panowania Stanisława Augusta rozrósł się dobrze i podczas sejmu wielkiego dość silne sprezentował stronnictwo. Był-to posiew francuski, który na wyjałowionéj lecz bogatéj z natury glebie rodziméj plon wydał znaczny i zacny. Zawarło w sobie stronnictwo owo nieprzyjaznych szlachectwu szlachciców i okwitłe politycznie jednostki z mieszczaństwa. Pod względem liczebnym było mniejszością, a wypowiedziało walkę ideałom większości. Ludzie tego obozu nietylko wskazywali, co złém jest, i nietylko w starych pojęć budowę uderzali taranem, lecz jednocześnie prezentowali warunki, przy których mogło być lepiéj, i na gruzach własne dźwigali gmachy. Że, będąc teoretykami, chcieli zarazem i na gruncie działać praktycznym,—narażali przez to zasady na kolizye z czynami i ustępstwa z czystych poglądów na rzecz stosunków życiowych opłakiwać musieli nieraz. Zamierzyłem przedstawić poglądy ośmnastego wieku na szlachtę nietylko w ich absolutnéj czystości, lecz i w modyfikacyach, wywołanych przez względy praktyczne.

## I.

Objawy rozkładu starych o szlachcie opinij w prawodawstwie. Suplika tarczyńska opozycyjne głosi zasady, a konstytucya z r. 1768 i 1775 pod wpływem ducha czasu i stosunków ekonomicznych modyfikacye czynią praktyczne. *Pan Podstoli* jako uosobienie poglądów nowych i jego socyologia.

Najpewniejszym zwiastunem, że się stare socyologiczne zasady rozkładają i mącą i że o byt swój z poglądami walczą nowemi, jest owa władzy prawodawczéj niepewność i chwiejność, która się zawsze w kwestyach naczelnych w czasach przełomu ujawnia. Czuły na powiew opinii, podmuchem sprzecznych poglądów zaniepokojony w starém łożysku, organ władzy prawodawczéj w epoce takiéj lawiruje pomiędzy dawną zasadą a nową i do równowagi nie wraca dopóty, dopóki silniejsza w krew społecznéj większości nie wsiąknie i na torze praktycznych życia stosunków sama jedna nie zatknie swych godeł. Niepewność taką spostrzegamy właśnie w ustawodawstwie drugiéj połowy ośmnastego wieku, które przez ekwilibrystykę swoję względem rycerstwa zdradza wyraźnie, że się dyktatura staroszlacheckich doktryn na korzyść bóstw nowych zachwiała mocno.

Konstytucya z r. 1764, obostrzając prawo z r. 1726, do patronizowania w sądach samę tylko dopuszcza szlachtę (1); prawo zaś, w cztery lata wydane późniéj, zachęcając mieszczan „do tém większego sposobienia się *ad usus publicos*“, do owego zaszczytu we wszelkich jurysdykcyach, z wyjątkiem trybunałów głównych, sądów grodzkich i ziemskich, daje im dostęp (2). Konwokacya z r. 1764 neofitów— „aby ten rodzaj rodowitego szlachty polskiéj plemienia z czasem nie zaćmił“ — od prerogatyw rycerskich usuwa, pozbawia posad i z dóbr wyzuwa (3); tymczasem sejm koronacyjny na żądanie posłów litewskich „dystyngowańsze z pomiędzy gatunku neofitów osoby“ nobilituje i pozwala królowi na każdym sejmie dziesięciu takich klejnotem zaszczycić (4); konstytucya zaś z r. 1768 wszystkim żydom, ochrzczonym przed prawem z r. 1764, szlachectwo przyznaje (5).

Jak rozumieć przepisy tak sprzeczne? Jak konwokacyą z r. 1764, która w sprawie obejmowania wyższych urzędów duchownych przez szlachtę prawa dawne ponawia, owszem rozciąga je i na stanowiącą do tego czasu wyjątek kapitułę warmińską (6), pogodzić z uchwałami sejmu następnego, protegującego żywioł żydowski? jak ją pogodzić z konstytucyą z r. 1768, która miała odwagę o mieszczaństwie

---

(1) *Vol. leg.* VII, 327.—(2) Tamże. VII, 758.—(3) Tamże. VII, 74.—(4) Tamże. VII 420. — (5) Tamże. VII, 863. — (6) Tamże. VII, 46.

powiedzieć, że śród niego „jest wielu“ przez cnotliwe przymioty i aplikacyą ku wiedzy przydatnych do usług publicznych? (1).

Niekonsekwencye powyższe są, zdaniem naszém, objawem rozkładu starych o szlachcie opinij i zdradzają w tym względzie ów ferment, który odnośnie do wewnętrznéj budowy państwa ujawnił się teoretycznie wcześniéj daleko w pismach Karwickiego, Jabłonowskiego, Leszczyńskiego, Poklateckiego, Garczyńskiego, Konarskiego, i innych.

Że się dyktatura opinij szlacheckich w drugiéj połowie ośmnastego wieku zachwiała mocno; że się w téj dobie wyrabia krytyka uboczna, która z nowych wytryska źródeł i dla staréj socyologii rycerskiéj wróżbą jest groźną: dowodzi *Projekt, znaleziony w Tarczynie w r. 1767 po jarmarku św. Trójcy* czyli tak zwana suplika tarczyńska, umysłowego fermentu objaw znaczący wielce.

Wątpliwą czyniąc odrębność rodową szlachty i włościan; przypomniawszy, że kmieciem był Krakus, Popiel i Leszki; że Piast z obywatela Kruszwicy wyniesiony został na króla, a Ziemowit i Leszek „kość z kości naszych“: suplikanci poddaństwo mianują gwałtem, oprócz własności gruntów i osobistéj wolności żądają przyznania sobie praw politycznych i przypuszczenia do obrad; pod hasłem: „mizerya i łzy“ występują z zasadą równości w obliczu prawa i ludowego wszechwładztwa. Szlachta, według téj supliki, doszła do znaczenia i władzy „wprzód woły z pługa wyprzęgłszy“; pamięci o prawach ludu kilkowiekowy ucisk nie zatarł, owszem świadomość lepszych czasów wciąż kwitnie i w razie oporu panów w straszną wcieli się burzę. Dwory, powiadają włościanie, stoją otworem, myśmy sami ich bezpieczeństwa stróżami; są śród nas ludzie, którzy dobro nasze mają na sercu; myśmy nie garstką i nie z żydami do czynienia będzie mieć szlachta (2).

Nie wierzymy, żeby ów *Projekt* pisali chłopi (3); wątpimy nawet o podobnéj wybujałości pragnień kmieci ówczesnych; wystarcza nam przecież, że opinie, ze staremi poglądami rycerstwa tak sprzeczne, śród społeczeństwa drugiéj połowy wieku ośmnastego krążyły i, sformułowane dosadnie, na jarmarku tarczyńskim i indziéj, w r. 1767 i póżniéj, niewątpliwie adeptów znaléść musiały wielu.

---

(1) *Vol leg.*, VII, 353. (2) Rolnicza ludność w Polsce od XVI do XVII w. Przez T. X-cia L. Warszawa, 1862, st. 44—50. — (3) Schmitt objaśnia, jako agenci Czartoryskich skomponowali i rozrzucili suplikę włościan, żeby powstrzymać szlachtę od konfederacyj, jakie za wpływem kniazia Repnina zawiązywano po sejmie Czaplica (*Materyały do dziejów bezkrólewia po śm. Aug. III.* I, 110).

Nie śmiemy presyą supliki tarczyńskiéj tłómaczyć zmian prawodawczych, jakie względem stanu kmiecego zaszły współcześnie; nie ulega jednak wątpliwości, że pomiędzy *Projektem* a konstytucyą z r. 1768 pokrewieństwo moralne jest bliskie. Odbiera ona panom nad poddanym *jus vitae et necis*; „gdyby się trafiło, żeby szlachcic chłopa złośliwie i nie przypadkowo, ale dobrowolnie i rozmyślnie na śmierć zabił; tedy takowy nie już zapłaceniem i główszczyzną temu, czyim on był poddanym, lecz utratą własnéj głowy w sądzie przyzwoitym będzie karany“ (1). Wprawdzie wedle obowiązującego statutu litewskiego trzeba było zabójcę na gorącym zdybać uczynku; musiała strona skarżąca z sześciu świadkami i to w trzeciéj części ze szlachtą czyn przestępny zaprzysiądz; pomimo jednak utrudnień, kwestyonujących doniosłość prawa ze strony praktycznéj, konstytucya z r. 1768 znaczenie moralne ma wielkie. Po dwóch wiekach nawoływaniu Modrzewskiego stało się zadość; na karty historyi przeszła palcem Orzechowskiego wskazana hańba, że w Polsce świnie są droższe niż ludzie; rozmyślnie rozlana krew chłopska pod nowych pojęć probierzem zyskała cenę równą zacnéj, staréj i czystéj.

Wraz z dogmatem dziedziczności krew zacna, stara i czysta, konstytucye, w początkach panowania Stanisława Augusta zapadłe, tu i owdzie jeszcze zabarwia; jasną przecież jest rzeczą, że jak w uchwale z r. 1768, podnoszącéj wartość życia chłopskiego, tak i w innéj z tegoż roku, przyznającéj mieszczaństwu zdolność do usług publicznych (2), blednie wyraźnie: przestaje za zaczarowane uchodzić źródło cnót wszelkich i za wyłączną służyć rekomendacyą do monopolizowania zaszczytów i swobód.

Oprócz zaś nieśmiałéj emancypacyi przyrodzonéj godności człowieka i osobistéj jego zasługi, na szalach opinii zaważyły współcześnie i względy ekonomiczne, które w ośmnastym wieku do poważnego doszły uznania i niejednę tak w teoretycznych poglądach, jak i w praktycznych między stanami stosunkach zmianę wywołały znaczącą. W sytuacyi ówczesnéj dziwnie zagrzmiałby pokrzyk, że nie bogactwo lecz tylko męstwo jest tarczą państw; krzycząco nierozsądném-by było rzucanie tamy ogólnemu zwrotowi do przemysłu i handlu, stłumienie pochodu ku eksploatacyi śniących w głębiach ziemi zasobów i nawoływanie przez tubę uprzedzeń, że najwłaściwszém dla szlachcica zajęciem jest działalność publiczna i oręż. Wołań takich nie słychać. W literaturze podnoszą się głosy z żądaniem wolności zajęć dla szlachty (3), a najprzedniejszy wybór rycerstwa i panów, orząc

---

(1) *Vol. leg.* VII, 600.— (2) Tamże. VII, 353.— (3) Skrzetuski: Mowy o główniejszych materyach politycznych. Warszawa, 1773.

glebę, kując sierpy i kosy, tkając sukna a pasy lub za bankierskim siadując stołem, — przeciwko zapatrywaniom ojców na przemysł i handel założył protest i poniewieranym dawniéj zajęciom piętno wracał należne.

Zwrot taki wcielił się w konstytucyą z r. 1775, według któréj handel dostojności niczyjéj uwłaczać nie może, a szlachcic, sprawujący kupiectwo, prerogatyw nie traci (1); i wcielił się w drugą, podnoszącą użyteczność, na bogactwie opartą, niemal do godności rycerskiéj krwi staréj i czystéj. Za warunek indygenatu postawiło prawo z r. 1775 nabycie dóbr ziemskich za 200,000 zł.; dla nobilitacyi kupno takież za 50,000 zł. i do zrozumienia dało zarazem, że czyni to w celu zwiększenia liczby ludności, wprowadzenia obcych kapitałów do kraju i wciągnięcia do spraw publicznych osobistości, mogących przez swe stanowisko materyalne przynieść państwu pożytek (2) Wprawdzie nabycie dóbr ziemskich miało być wedle przepisu prawa tylko jednym z warunków dla otrzymania prerogatyw rycerskich; jednakże w praktyce zadośćuczynienie jemu samemu rozstrzygało rzecz główną. Dopuszczono przeto do szlachectwa nowy pierwiastek, bogactwo; od tego czasu pieniądz szczelnie zwarte szeregi rycerstwa rozbijał i wprowadzał do nich żywioły, które z saméj pozycyi majątkowéj najbardziéj uczuwać mogły potrzebę działalności publicznéj i najwięcéj do owéj działalności mogły miéć danych.

Przewrót więc duży. W sferze czystych pragnień suplika tarczyńska występuje z ideą równości i ludowego wszechwładztwa; w sferze stosunków praktycznych krew ludzka jednéj nabrała ceny; osobista zasługa ciążyć poczyna na szalach prawa; stan miejski z natury swych zajęć przestał być podlejszym i niższym od szlachty; użyteczność dostępuje wyżyn dziedzicznéj krwi zacnéj, a Andrzéj Zamojski pisze o prawnych skutkach małżeństwa szlachcianki z mieszczaninem lub chłopem (3). Szlachcic naturalnie racyi bytu nie stracił i kwitnie, jak kwitnął; lecz jakiéj w zwierciedle owego wieku fizyonomia jego uległa zmianie, okazuje Krasickiego *Pan Podstoli*, którego część pierwsza w r. 1778 wyszła na światło.

Teorya dziedziczności w socyologicznym pacierzu ojców miejsce miała naczelne i stanowiła moralną podstawę zajmowanéj przez nich pozycyi; tymczasem „Pan Podstoli“ w poglądzie na nią zdradza sceptycyzm. Przyznaje, że „są familie uprzywilejowane do cnoty; mają czasem odrodków, częściéj się jednak nadarzy, że podobni są

---

(1) *Vol. leg.* VIII. 183.—(2) Tamże. VIII. 293.— (3) Zbiór praw sądowych. Cz. I, art. XVII, paragraf 9 i 10.

cnotą rodzicom", lecz na monopolizowanie zacnych przymiotów przez szlachtę zgodzić się nie chce. „Natura, powiada, nie przywiązuje talentów do kondycyi... znałem wiele dusz chłopskich w panach, wielu chłopów, którymby jaśnie wielmożnymi, jaśnie oświeconymi być przystało" i dla zaakcentowania wykrzywionego na dziedziczność poglądu śmieje się z sukcesyjnych pretensyj prawnuka do tytułów pradziada. W nastroju sceptycznym „Pan Podstoli", lubo gadatliwym jest wielce, nie rozwodzi się o spadkowych przymiotach ogólnych szlachty i cechach szczególnych domów niektórych, a, o ile z milczenia wnioskować można, poglądów zarówno na starość i czystość krwi, jak i na trwałość szlachectwa wyznawcą nie jest. Mądrze powiada, że „cnoty i niecnoty z jednego wypływają źródła, grunt tylko odmienia ten strumień, a nie źródło z siebie"; według jego poglądu nie przez doskonałość przodków doskonałym staje się człowiek, lecz że wychowanie popędom dziecka odpowiedni nadaje kierunek i przez roztropne pielęgnowanie skłonności wykształca w nim dobro.

Naturalnie, że i dla socyologii swojéj „Pan Podstoli" w dziedziczności gruntu nie szuka.

„W porządku natury wszyscy ludzie są równi..." dla społecznego jednak pożytku powstały „rozmaitych rodzajów ludzi dystynkcye," pomiędzy któremi pierwsze zawsze miejsce trzymała szlachta. Odznaczała się ona przymiotami umysłu i — gdy „do rolnictwa, handlu, rzemiosł poszli ludzie pracowici, przemyślni i zdatni", postawioną została na straży państwowego porządku. Że obowiązków na niéj ciężar legł wielki, więc przykrość jego osłodziło prawodawstwo „większością dobrego mienia, powierzchowną dystynkcyą" i, co najważniejsza, przelewem przywilejów ojcowskich na dzieci. Przelew ten racyą posiadał głębszą: „chciało przez takowy sposób wieczystéj nagrody rozsądne prawodawstwo w niektórych pokoleniach... ducha patryotyzmu i chęć do dzieł wielkich utrzymać... Następcy familii zacnéj urodzeniem samém zabierali niejaki względem ojczyzny obowiązek iść torem przodków, a przeto usilniéj jeszcze krajowi służyć, niż drudzy"; domowe przykłady również wpływały dodatnio, więc „pasmem" szli wielcy: Fabiusze, Scypiony, Marcelle. „Nie idzie za tém, dodaje „Pan Podstoli", iżby nowych domów nie wskrzeszać".

Wyobrażenia „Pana Podstolego" o mieszczaństwie i chłopach rozumne i humanitarne są wielce. „W porządku natury wszyscy ludzie są równi...;" ze względu jednak na dobro ogólne różnice pomiędzy nimi być muszą, chociaż za podstawę pozycyi stanu służyć powinien tylko pożytek. „Nie jaśnie oświeconość, jaśnie wielmożność, ale użyteczność wsparciem jest państwa...; na tém ono treść trwałości i szczęścia swojego zasadza, aby i rozmaite stany i w tych sta-

nach zostające osoby tyle z pospolitego dobra korzystały, ile się przykładają do niego.“ Za nieprzyzwoite i fałszywe uważa wygórowane pretensye żołnierza i publicznego działacza, a chwali prawodawstwo, podnoszące szacunek dla warsztatu i pługa. „Gdyby z użyteczności należało brać miarę dystynkcyi i względów, odmieniłby się rzeczy porządek:“ piérwsze-by miejsce zajął żywiciel; ten, co radzi, poszedłby za nim, a żołnierz— na koniec. „Musieli prawodawcy ulegać wielu względom; a że ci, którzy bronią i radzą, wzięli miejsce tym, którzy ich żywią i odziewają,—niechże przynajmniéj mają wzgląd na nich.“

Gani przodków, że „zasadzając jedynie zaszczyt na waleczności, zapomnieli, iż nauki i kunszta uszczęśliwieniem są kraju;“ za zastarzały przesąd uważa pogardę kupców, zaznacza doniosłość handlu; wyrzeka, że gdy w innych krajach oddający się temu fachowi doznają szacunku, — „u nas stan miejski nie ma nawet miejsca w towarzystwie cywilném.“ Radby zwrócić szlachtę do przemysłu i handlu; z pobudek ekonomicznych miód pije, żeby nie płacić cudzoziemcom za wino; sadzi morwy, jedwab posyła do Gdańska, „chce mieć bez kosztu, na co drudzy wiele łożą niebacznie;“ słowem jest Pan Podstoli przemysłowcem i kupcem, — bogactwo materyalne za najprzedniejszą dźwignię państwa uważa.

W poddaństwie chłopstwa widzi niewolę, upadlającą umysły, sprowadzającą ruinę ogólną. „Zwyczaj, zarywający nieco dzikości, utrzymuje w krajach naszych ścisłe poddaństwo...; byliby szczęśliwszymi nierównie i majętniejszymi panowie, gdyby być mogli przeświadczeni o tém gruntownie, iż ich poddani tak są ludźmi, jak oni.“ „Gdy służącego urodzenie lub nieszczęśliwe przypadki do tego stanu przywiodły, nie inszy powinien być cel służby jego, jak żeby z zaprzedanéj na czas wolności tyle skorzystał, iżby znowuż zostać mógł wolnym.“ „Przyjdzie czas taki (powiada), w którym nieuprzedzone umysły wnijść raczą w rozsądek tak wielkiéj sprawy i decyzya pożądana nastąpi...“ Pospolitować się z wieśniakami każe swym dzieciom i sam śród kmieci szuka przyjaźni.

Czémże w oczach Krasickiego jest szlachcic? Przedewszystkiém „w porządku natury“ człowiek-to taki, jak inni: z krwi, ciała i kości. Nie różni się pod względem fizyologicznym od mieszczanina i chłopa; nie różni się od nich i pod względem organizacyi duchowéj; pozycya też jego społeczna nie jest ani aktem konieczności moralnéj, ani wymiarem sprawiedliwości bezwzględnéj,—wspiera ją tylko ogólny interes. Stanowiska swojego monopolizować szlachcic nie może, owszem—ze zmianą zasady pożytku —z pozycyi wolno go wyprzéć:

piérwsze miejsce zająć powinien żywiciel; ten, co radzi, postępować ma za nim, a żołnierz— na koniec.

Oczywiście książę biskup warmiński z organizacyą stanową nie zrywał i przywilejów, jako nagrody za użyteczność, nie niszczył; inaczéj tylko, wedle swojego na ważność zasług poglądu, szeregował grupy społeczne. Zresztą, podobnéj innowacyi socyologicznéj nie można brać seryo. Wynosząc żywiciela, chciał raczéj Krasicki wzmocnić dosadność protestu przeciwko dotychczasowéj pozycyi mieszczaństwa i chłopów, niż wyrazić zamiar odepchnięcia szlachty od steru; pragnąc raczéj zwrócić uwagę ostatniéj na doniosłość przemysłu i handlu, niż ją socyalnie poniżyć. „Powtarzać nie przestanę, powiada, iż starych się domów zaniedbywać nie godzi“ — a właśnie w ręku tych domów leżał przywiléj (1).

Bądź-co-bądź, za podstawę organizacyi społecznéj w miejsce dawnéj dziedziczności stawiał Krasicki pożytek; od monopolizowania przywilejów szlachtę usuwał; podnosił godność rolnictwa, przemysłu i handlu; emancypował mieszczaństwo i chłopów. Na takie bluźnierstwa przeżegnałby się zmartwychwstały ubiegłych wieków klejnotnik; do trumny-by się po raz wtóry położył na widok fizyonomii szlachcica wychodzącéj z pod pędzla nieprawomyślnego potomka Rogalów!

## II.

Teorya Locke'a o niebycie idei wrodzonych i szkoła prawa natury wpływają na upadek socyologii szlacheckiéj. — Poglądy Naruszewicza, Staszyca, Kołłątaja i Jezierskiego na przywileje i szlachtę. — Jęki chłopstwa, groźby i czyny mieszczan podczas sejmu wielkiego.

Zasada dziedziczności, na którą sceptycznie patrzał Krasicki, pod koniec wieku ośmnastego nawet u pisarzy podrzędnych straciła kredyt i tylko w nieokrzesanym plebsie szlacheckim znachodziła wyznawców. Popularną była w tych czasach teorya Locke'a o czystéj przestrzeni *(tabula rasa)* ducha, zaprzeczająca istnienia idei wrodzonych, całe poznanie i właściwości charakteru poczytująca nie za sukcesyą po przodkach, lecz za wynik wychowania i doświadczenia nabytek. „Człowiek, mówiono, rodzi się ni złym, ni dobrym; ni rozumnym, ni głupim; przychodzi na świat ze sposobnością stania się piérwszym lub drugim, a to według okoliczności, które go w życiu otoczą“ (2).

---

(1) Wszystkie powyższe przytoczenia z „Pana Podstolego“ znaléść może czytelnik na str. 17—60, tudzież 201—224 IV tomu dzieł Krasickiego w wydaniu Bobrowicza. — (2) Butrymowicz: Sposób uformowania Żydów polskich. 1789.

Jeżeli przeświadczenie o niebycie idei wrodzonych równało pod względem gatunkowym szlachcica z mieszczaninem i chłopem— to z drugiéj strony i ówczesny kierunek nauk państwowych konsekwencye teoryi psychologicznéj popierał silnie, albowiem wszystkie warstwy społeczne na jeden sprowadzał poziom i odrębności stanowe niszczył do szczętu. Popularna w ośmnastym wieku szkoła prawa natury, powagi tradycyi i instytucyj, uświęconych przez wieki, nie mając za nic i wywracając to wszystko, co się nie zgadzało z przyrodzonym rzeczy porządkiem, — pragnęła przywrócić człowiekowi tę równość, jaką podpatrzyła w epoce, poprzedzającéj organizacye państwowe, i tę swobodę, jaką znalazła w zaraniu życia społeczeństw. Idylla czasów piérwotnych w szacie bezwzględnéj równości, z ruchami niczém nieograniczonéj swobody, do niezadowolnionych z chwili obecnéj uśmiechała się wdzięcznie i za pośrednictwem przekładów z literatury francuskiéj skokietować mogła nawet mniéj tkliwych. „Wychodząc z rąk natury — prawił Mably popolsku — nie byliżeśmy wszyscy w doskonałéj równości? Nie dałaż wszystkim ludziom jednychże członków, zmysłów, potrzeb i jednegoż rozumu? Nie zarównoż do wszystkich należały dobra, szczodrze od niéj zlane na ziemię? Znajdziemyż gdzie początek i grunt nierówności? Oznaczyłaż ona szczególną każdemu własność, określiłaż granice w polach? Nie! a zatém nikogo nie uczyniła bogatym i nikogo ubogim. Obsypałaż szczególne niektóre pokolenia osobliwszemi darami, jak opatrzyła ludzi wielu przymiotami wyższemi, aby panowanie nasze ugruntować nad zwierzem? Nie! a zatém nikogo nie uczyniła większym, nikogo mniejszym; nikogo nie przeznaczyła do panowania, nikogo do poddaństwa“ (1). „Ten — popolsku głosił znów Rousseau — co po raz piérwszy kawał ziemi oznaczył i rzeknął: to moje! i znalazł naiwnych, którzy dali mu wiarę, rzucił podwalinę społecznych nieszczęść. Od iluż zbrodni, morderstw, okrucieństw i nędzy osłoniłby ludzkość, ktoby, niszcząc znaki graniczne, ostrzegł przytomnych: to oszust! zginiecie, jeżeli zapomnicie, że owoce należą do wszystkich, a ziemia do nikogo“ (2). I kiedy jedni we współczesnych sobie polityczno-społecznych stosunkach znajdowali rodowód wyniosłéj ambicyi i potwornego łakomstwa; gdy niezgodę, nienawiść, podłość i próżność w témże widzieli źródle, a dla wskrzeszenia cnót społecznych i szczęścia znosili własność lub żądali równości majat-

---

(1) O prawodawstwie czyli o piérwszych zasadach praw z franc. języka wykład. Warszawa, 1783, str. 48. (Jest-to skrócony przekład *Traité de la Législation, ou Principes des Lois*, 1776. — (2) O początkach i zasadach nierówności między ludźmi. Warszawa 1784. (*Discours sur l'origine de l'inégalité*).

ków i stanów,— inni pod hasłem: *time dominum et regem* ku stojącym u steru zapalali nienawiść i naród za najwyższego głosili pana (1).

Podobne poglądy na organizacyą pierwotną, na naturę przywileju i potrzebę radykalnéj modyfikacyi istniejących stosunków w literaturze rodzimėj również znalazły odgłos. W epoce sejmu wielkiego u nas, tak samo jak we Francyi, padół społeczny podnoszono do wyżyn, niekiedy wyżyny strącić chciano na padół, a zawsze nie szczędzono szlachcie dotkliwych wyrzutów i obelg.

„Wszyscy pierwotnie byli równi— powiada Naruszewicz; sama tylko cnota do chwały, do kredytu otwierała wrota. Każdy żył wielkim z siebie...; lecz kiedy z czasem cenę straciła zasługa, — poszła zbrodnia do krzesła, a cnota do pługa; a duma się przybrawszy w blask jakiś nieznany, z równych ludzi nierówne poczyniła stany“ (2). Z Adamowego idziem wszyscy rodu...; przodkowie nasi orali glebę, aż, sprzykrzywszy sobie tę pracę, na stronę rzucili jarzmo i lemiesz. „Jeden o rannéj woły tylko zorze, a drugi wyprzągł o wieczornéj porze“ (3), — kończy odę ksiądz biskup, parafrazując suplikę tarczyńską. Dla scharakteryzowania buty szlacheckiéj przedstawia klejnotnego trupa, niechcącego w jednéj jamie grobowéj spoczywać z chamem (4) i „hola—woła—Tarkwinie!... pocóż głupio wyciągasz, by cię świat stąd chwalił, co dawno czas niepomny grobowcem przywalił?“ (5).

Równość, wolność i własność, głosił znów Staszyc, są przyrodzonym i najprostszym wynikiem praw człowieka: nikt się nie rodzi z przywilejem próżniactwa i bogactw, ani z przeznaczeniem do pracy i nędzy (6). Oszustami, gwałcicielami natury są wszyscy, którzy utrzymują, że z urodzenia stoją wyżéj nad innych (7). Celem stowarzyszenia się ludzi jest wspólne zabezpieczenie sobie praw przyrodzonych; społeczność przeto, w któréj pewna liczba rodzin, jak ziemię, bydło i inne stworzenia, tak i ludzi swoją własnością nazywa, — nie społecznością, lecz jest spiskiem przeciwko ludzkości (8).

Szlachta właśnie, według Staszyca, Kołłątaja i innych, była owym gwałcicielem, oszustem, spiskowcem; wydarła bowiem prawo większości i na swoję tylko obróciła je korzyść. Zamiast reprezentować masy i nie własny interes, lecz na celu mieć ogół — w kupie ksiąg potężnych zaledwo jedno lub dwa przyjazne narodowi zawarła

(1) Uwagi polityczne nad niniejszemi okolicznościami, mogące służyć za ciąg dalszy historyi rewolucyi francuskiéj, napis. przez p. Rabaut. Nancy, 1792. — (2) Poezye Adama Naruszewicza. Wyd. Bobrowicza. I. 56. — (3) Tamże. III. 64. — (4) Tamże I. 34. — (5) Tamże I. 54. — (6) Przestrogi dla Polski. 1790, str. 10. — (7) Tamże, str. 13.— (8) Tamże, str. 20 i 53.

prawa; wszystko zresztą przywilejami zapełniła dla siebie (1). Nie chciała się uważać za stan reprezentujący, lecz panowała absolutnie; całe masy dzierżyła w poddaństwie i dla narodu polskiego tém była, czém u sąsiadów koronowani despoci (2). Miała się za naród, chociaż z dziećmi i płcią niewieścią liczyła 300.000 zaledwie osób; samych mieszczan było czterykroć więcéj, a jednak 100.000 szlacheckich mężów uważać się chciało za naród! A cóż to, pyta Kołłątaj, za naród, w którym 100,000 rodzin narachować nie można? (3).

Nie ograniczono się na epitetach gwałtowników, oszustów, spiskowców; dla tém większego zdyskredytowania dały się słyszéć opinie, że szlachta nie miejscowym, lecz wytworem jest obcym, który na ludność słowiańską z nad Warty i Wisły nałożył jarzmo; pogląd zaś taki znakomitą znajdował podstawę w podaniach samych rodzin rycerskich, wywodzących się chętnie od wieży Babel, z arki Noego, z Rzymu, Francyi, Anglii i Niemiec. „Wieśniak, powiada autor *Uwag o chłopach* (4) nie mógł być uznany wolnym, gdyż kraj polski był od samego początku swego lennością: zawojowała go szlachta i w nim prócz siebie nie poważała nikogo“.

Cóż uczynić z oszustami, spiskowcami, zbójami? Najskrajniejsi pod wpływem rewolucyjnych zasad francuskich przypominali szlachcie latarnie „aby ich światło pokazało, co to jest za imię człowiek“ (5) i wyznawali stanowczo, że „stan szlachecki w układzie towarzyskiego życia potrzebnym nie jest“ (6). „Co było na górze, będzie na dole; a co było na dole, będzie na górze,“—demagogicznie kończył swe mowy dyktator Kołłątajowskiéj „kuźni,“ bicz boży dla szlachty, ksiądz Franciszek Salezy Jezierski (7).

Powyższe opinie nie wyczerpują jeszcze owéj mocy ataku, z jakim duch czasu natarł na szlachtę. Pokrzykom literatury sejmu wielkiego wtórzą skargi „nędznego“ chłopstwa i groźby mieszczaństwa; obok inteligencyi—padół społeczny; obok filozofii, w tym samym co i ona kierunku działają: siła i rozpacz. „Zdejmcie z nas, woła w r. 1789 gmina winiarska, to tak przykre jarzmo, bo zaprawdę w cięższéj teraz zostajemy niewoli, niż niewierne żydowstwo“ (8);... „od wielu lat jęcząc pod ciężarem, żadnego odetchnięcia do dziś dnia znikąd nie mamy“ — współcześnie słychać gdzieindziéj (9); na ustach

---

(1) Tamże, str. VII. — (2) Tamże, str. VIII. — (3) Prawo polityczne narodu polskiego. Warszawa, 1790, str. 24. — (4) Warszawa, u Grölla, str. 29. — (5) F. S. Jezierski: Niektóre wyrazy, porządkiem abecadła zebrane etc. Warszawa, 1791, p. w. *imię*.— (6) Tenże. Duch nieboszczki Bastylii etc. Warszawa. 1790. — (7) Wspomnienia z r. 1780 po 1792. Poznań, 1862, str. 36 i 40. — (8) Rolnicza ludność w Polsce od XVI do XVIII w. str. 44. — (9) Tamże, str. 47.

chłopskich nie milkną słowa: jarzmo, ciemięstwo, krzywdziciele i krzywda (1).

Mieszczanie znowu nie z jękiem, lecz w poczuciu siły występują z groźbą i czynem. „Czas-by już było, powiedział na jednéj z sesyj sejmu wielkiego Niemcewicz, dla mieszczan być sprawiedliwszym, bo inaczéj poczują się oni, czém są, i upomną się o prawa należne im z natury u tych, którzy ich zaprzeczają“ (2). Rzeczywiście, upomnieli się rychło. I oni „prawo natury“ mieli na ustach; wiedzieli, że „człowiekowi przyrodzoną jest wolność;“ pod wpływem zdarzeń paryskich przebąkiwać poczęli o jarzmie i pętach, aż za natchnieniem Kołłątaja zamierzyli z miast królewskich ku odzyskaniu obywatelstwa utworzyć związek. W listopadzie r. 1789 na wezwanie Dekerta zjechali do Warszawy delegaci sześćdziesięciu przeszło miast polskich: po wszystkich kościołach kazali odprawiać suplikacye za pomyślność swéj sprawy, uilluminowali stolicę i w tonie wyniosłym, w którym czuć było wiatr nadsekwański, do króla i stanów wygotowali memoryał. „Czarna mieszczańska procesya,“ rozwożąca dygnitarzom rzeczypospolitéj egzemplarze swéj prośby, wrażenie na umysłach rycerzów czyniła straszne. Tryumf francuskiego mieszczaństwa nad klerem, szlachtą i królem; ogłoszenie praw człowieka i zburzenie Bastylii „czarnéj procesyi“ warszawskiéj dodawało grozy i siły i kazało z jéj zuchwalstwem się liczyć. Nie dziw, że hetman Branicki podczas illuminacyi cały wieczór z pistoletami przesiedział w domu; że butny książę Kazimierz Sapieha Dekertowi bardzo nisko się kłaniał, a dla zaniechania ekscesu wystarczyło mu przypomnienie niewiasty o wypadkach w Paryżu (3).

## III.

Ustępstwa z czystych poglądów w celach praktycznych. — Ustawa 3-go maja i Targowica.

Pisarze epoki sejmu wielkiego w zasadzie szlachtę, jako szlachtę, negowali zupełnie. W imię praw człowieka padół społeczny do politycznych wznosili wyżyn i, ani rodowości, ani tradycyi historycznéj nie ważąc, na gruzach organizacyi stanowéj demokratyczną dźwigali równość (4). Szlachta, mówiono, narodem nie jest, a jako

---

(1) Tamże, str. 48. — (2) Kalinka: Sejm czteroletni. I. 502. — (3) Tamże. I. 504. — (4) Dla usunięcia nieporozumień, wywołanych już (w *Gazecie rolniczéj* z r. 1880, N. 42) przez pracę moję poprzednią p. t. *Szlachta w świetle własnych opinij*, zaznaczam, że wyrazu *demokracya* używam nie według Arystotelesa, który pod ten termin podciągał panowanie ludu, jako jednéj tylko grupy społecznéj; lecz w znaczeniu, przyjętém dzisiaj powszechnie. Przez demokracyą rozumiem układ stosunków, którym za podstawę równość prawna swobodna praca *wszystkich* ma służyć.

mniejszość od wyłącznego panowania usuniętą być musi. Prawa swoje do władzy gruntowało niegdy na rzekomém dziedziczeniu politycznych zdolności i gotowości ku obronie ojczyzny; dziś jednak sukcesyjność przymiotów zaliczono do baśni, owa zaś ku obronie gotowość straciła wartość. W obecnych warunkach niezbędną jest armia regularna, a tę nie szlachta sama, lecz tylko cały naród kosztowną dźwignąć może ofiarą (1). Szlachta przeto, jako szlachta, w przekonaniu rzeczonych mężów, do wyłącznego panowania wszelki straciła tytuł i pochłoniętą być winna przez naród.

Wyśnionéj jednak przez szkołę prawa natury demokratycznéj idylli pisarze nasi nie myślą ubierać w ciało i skrajnych teoryj nie podnoszą w stanowczym zamiarze stosowania ich w życiu. Z czystych przekonań znaczne czynią ustępstwa na rzecz stosunków praktycznych, z powodu czego socyologiczne ich *ultimatum*, oparte na gruncie współczesnéj filozofii, lecz nagięte do warunków miejscowych, było w zastosowaniu dość skromne, bo od faktycznéj niwelacyi dalekie.

Prawda, mówiono, że wszyscy się rodzą wolnymi i równe prawa mają, a naród najwyższym jest panem; lecz ze względów praktycznych różnice pomiędzy ludźmi być muszą. Zasadą tych różnic jest zdolność do użytkowania z praw politycznych; normą zaś ku ocenie owéj zdolności, nie rodowość i nie tradycya, lecz powinna być skala posiadanego majątku (2). Z tego jednak źródła wypływająca nierówność nie może wybujać tak mocno, żeby mniejszość wydzierała prawa większości i, jak to czyniła szlachta, na swoję tylko obracała je korzyść (3).

Żądania pewnego *census*, jako kwalifikacyi do użytkowania z praw politycznych, nie można uważać za nowość. Przez prawo polskie od szlachcica, chcącego w całéj pełni z prerogatyw rycerskich korzystać, wymaganą była osiadłość; kuchmistrz Wielhorski do działalności prawodawczéj dopuszczał tylko posesyonatów (4); Andrzéj Zamojski nie mających z dóbr dziedzicznych 6000 zł. intraty od urzędów wykluczał, a gołotę usuwał od obrad (5). Lecz tak prawo polskie, jak Wielhorski i Andrzéj Zamojski, obok wymaganego przez siebie *census*, za niezbędny do pełnienia funkcyj publicznych warunek uważali posiadanie szlachectwa; kiedy tymczasem pisarzom sejmu wielkiego za gwarancyą zdolności politycznych bez względu na rodowość wystarcza sama skala majątku. Wobec tego szlachcic o tyle

---

(1) Staszyc. Przestrogi dla Polski, str. VI. — (2) Kołłątaj, Prawo polit. n. pol., str. 88, §. 10.—(3) Staszyc. Przestrogi dla Polski, str. 9.— (4) O przywróceniu dawnego rządu etc. b. m. 1775. — (5) Zbiór praw sądowych. Cz. I, art. XVI, §. 7.

tylko z praw politycznych korzystać może, o ile odpowie warunkom; i nie dlatego z praw swych będzie korzystać, że jest szlachcicem, lecz że wymaganą posiada zdolność. Szlachcic ubogi do praw politycznych dostępu nie ma; z drugiéj znów strony przyjmie udział w życiu publiczném majętny plebejusz. Kołłątaj jedynie posiadaczom wyżéj nad $7^1/_2$ włók ziemi i kapitalistom, opłacającym 500 zł. podatku dozwala należéć do obrad (1). Zbyt mała posesya, według rzeczonego pisarza, nie czyni szlachcica zdolnym do sprawowania urzędów kosztownych; drobni właściciele nie powinni pełnić funkcyj publicznych, gdyż się stają narzędziem w rękach bogaczów (2). Skutkiem wprowadzenia podobnych zasad sprawdzić się mogło hasło księdza Jezierskiego; iluż bowiem szlachciców, nie mających omawianéj zdolności, spadłoby w padół i iluż mieszczan, dla których Kołłątaj oddzielną formuje izbę, a Staszyc ze szlachtą mieści ich łącznie, — dosięgłoby wyżyn!

Ponieważ szlachta, własność ziemską posiadając w swych ręku, rozporządzała wymaganą do pełnienia funkcyj publicznych zdolnością; faktycznie przeto, z wyjątkiem ziemian ubogich, na dawnéj pozycyi utrzymać się miała i nadal. Z téj racyi uspokajał ją Staszyc, że, zmieniając dotychczasowy do narodu stosunek, nie potrzebuje tracić swych swobód; powinna je tylko rozpowszechnić i liczbę wolnych obywateli powiększyć (3). Powinna to zrobić i w interesie ogólnym. Dopóki bowiem będzie absolutną i z nędzy tak materyalnéj, jak i moralnéj narodu nie dźwignie;—rzeczpospolita sile sąsiednich mocarstw nie sprosta i padnie, a z nią zginie i szlachta (4). W tymże duchu grozi Kołłątaj, przytaczając przypowieść o ślepym Samsonie, który, obalając gmach cały, gruzami jego nie siebie tylko, lecz przywalił powszechność (5).

Chociaż nie wprowadzano równości faktycznéj, a na rzecz praktyki z czystych poglądów ustępstwa czyniono znaczne; pomimo tego i zmoderowana w ten sposób socyologia wobec starych poglądów przewrotem jest wielkim. W miejsce dawnéj dziedziczności i przywileju za podstawę układu społecznego w zasadzie przyjmuje równość, w stosunkach praktycznych — ogólny pożytek, dla urzeczywistnienia którego ku korzystaniu z praw politycznych wymaga zdolności. Zdolność polityczna łamie szlachecki przywiléj i do życia publicznego dostęp otwiera wszystkim. W ten sposób w zasadzie dźwigano budowę demokratyczną bez niwelacyi faktycznéj.

---

(1) Do St. Małachowskiego o przyszłym sejmie anonyma listów kilka. 1788. II. str. 98 i 99.—(2) Tamże, str. 86. Prawo polit. n. pol. str. 88, §. 10. — (3) Przestrogi dla Polski, str. XIX. — (4) Tamże str. 308. — (5) Prawo polit. n. pol. str. 60.

Nie kwapiono się zaprowadzać faktycznéj równości wszystkich, lękano się bowiem opozycyi ze strony rycerstwa i drżano przed ostatecznością, jaka współcześnie krwawiła Francyą. Że demokratycznego ideału całkowicie w życie wcielić nie mogli, pisarze boleli mocno i nie taili bynajmniéj, jako z czystych przekonań na korzyść praktyki ofiarę czynili znaczną. Kołłątaj był zdania, że masy mogłyby tak samo korzystać z praw politycznych, jak szlachta, i twierdzących przeciwnie nazwał tchórzami (1), a jednak, chłopstwa w projektach swoich na polityczne wyżyny nie dźwigał. Roztropność radzi (wyznawał) iż jeszcze nie przyszła pora, ażeby w całéj zupełności odkryć można prawdę narodowi polskiemu... Ubolewał, że z powodu panujących przesądów nie mógł śmiało przy prawdzie obstawać; projekta swoje za „nieodpowiadające zupełnie chęci, dobrem ludzkości zajętéj“ uważał i bał się jeszcze, aby i skromnych żądań, jako zbyt śmiałych, nie odtrącili przesądni (2). Polityka roztropności kazała żądania miarkować; masy w biernéj pozycyi pozostawić i nadal, a utrzymać przy władzy z garścią mieszczaństwa tę szlachtę, któréj zarzucano knowania przeciw ludzkości, gwałt i oszustwo i o któréj za Fryderykiem II-im wołano: pijacy, jurgieltnicy, marnotrawcy, podli i lekkomyślni tyrani! (3).

Roztropność zabraniała emancypować politycznie stan kmiecy; sami zaś chłopi, chociaż w suplice tarczyńskiéj przebąkiwali o powszechnéj równości i ludowém wszechwładztwie, podczas sejmu wielkiego zachowują się skromnie. Proszą o łaskawość i ulgi: „znamy, zaręczają, dostatecznie powinności nasze, które nam dziadowie, a najdokładniéj ojcowie nasi do wykonania podali...“ (4). Mieszczanie w brulionie memoryału do króla i stanów o przyrodzonéj prawią wolności, żądając na wstępie nadania im tego, co każdemu człowiekowi zabezpiecza „prawo natury;“ domagając się osobnéj dla siebie izby, któraby rzeczpospolitą wraz ze szlachecką przedstawiała na równi. Gdy przyszło do zaprezentowania żądań na sejmie, — roztropność radziła izbę wymazać i poprzestać na wymaganiach dość skromnych (2). Nie przyszła pora, ażeby w całéj zupełności odkryć można było prawdę narodowi polskiemu...

Obawa Kołłątaja, aby i skromnych żądań, jako zbyt śmiałych, nie odtrącono z niechęcią — nie była płonną. Na sejmie wielkim żywioł konserwatywny usiłowania postępowców wytrwale targał i do olbrzymich zmuszał ich ustępstw. Na czele zredagowanych przez

---

(1) Tamże, str. 59.—(2) Pilat: O lit. polit. sejmu czterolet. Kraków, 1872, str. 43.— (3) Staszyc: Przestrogi dla Polski, str. 289. — (4) Rolnicza ludność w Polsce od XVI do XVIII w. str. 48. — (5) Kalinka: Sejm czteroletni, I, 505..

Potockiego „Zasad do poprawy rządu" żądano wolności i równości dla wszystkich; gdy zaś deputacya konstytucyjna w grudniu r. 1789 na posiedzenie sejmowe projekt ów wniosła — równość i wolność upadły, nikt ich nawet nie bronił. Na wniosek Ankwicza samej zapewniono je szlachcie, gdy reszcie mieszkańców wystarczać miało zabezpieczenie prawa własności i rozciągnięcia opieki rządowéj nad każdym (1).

Pod presyą starych przesądów roztropność dyktowała ustawę 3-go maja i z teoretycznych poglądów tyle kazała uczynić ustępstw, że pochłonęły na korzyść szlachty to wszystko, coby mogło przypomnieć „prawo natury" i owę przyrodzoną ludziom równość a wolność. Z wyjątkiem ograniczenia samowoli dziedziców przez oddanie chłopstwa pod opiekę prawa i rządu, utrzymano ich przy korzyściach, jakie z włościan ciągnęli dawniéj; przyznano mieszczaństwu nietykalność osobistą, dopuszczono je do wszelkich urzędów, pozwolono mu ziemskie nabywać dobra, zasiadać w komisyach policyi i skarbu i przez plenipotentów przedstawiać *desideria* na sejmie; lecz do władzy prawodawczéj, jako mieszczaństwu, dostępu nie dano. Zato „stanowi szlacheckiemu wszystkie swobody, wolności, prerogatywy, pierwszeństwa w życiu prywatném i publiczném" zapewniono przez szacunek dla przodków. W zasadzie przeto od posiadania szlachectwa uczyniono zależném korzystanie z udziału w życiu publiczném, chociaż obok tego uwzględniono i zdolność, ku ocenie któréj wzięto za normę stan majątkowy i osobistą zasługę. Szlachta nieosiadła i czynszowa, zastawnicy i posesorowie dożywotni, nieopłacający z dóbr ziemskich podatku dziesiątego grosza stu złotych — usunięci zostali od obrad; mieszczanin, który kupił wioskę lub miasto i opłacał dwieście złotych podatku, mógł zostać czynnym szlachcicem. Za zasługę otrzymywali szlachectwo plenipotenci po służbie dwuletniéj, wyższych stopni wojskowi i urzędnicy cywilni; a oprócz tego na każdym sejmie trzydziestu mieszczan wolno było klejnotem zaszczycić. Faktycznie, zamożny lub zasłużony mieszczanin zyskiwał udział w życiu publiczném; musiał jednakże przez poprzednią nobilitacyą pochodzenie swe zatrzéć. Rozwarto mieszczaństwu furtkę ku wcieleniu się w szlachtę, która w zasadzie w myśl staréj socyologii pochłaniała znów wszystko.

Natura prawodawczych sejmu wielkiego owoców skromniejszą była od najbardziéj zmoderowanych teoretycznych poglądów Kołłątaja, Staszyca i innych. Ustawę 3-go maja pisali najgorętsi rzecznicy

---

(1) Tamże. I. 560.

postępu, a jednak któż ją posądzi o koligacyą z prawami człowieka? Przezorność ze względami historyczno-lokalnemi kazała redaktorom liczyć się pilnie i ztąd-to ta przepaść pomiędzy ich myślą a czynem. Demokraci z zasady — konserwują organizacyą stanową; nieprzyjaciele rodowości — mieszczaństwo, by je do życia publicznego wprowadzić, przepuszczają przez alembik szlachectwa... Ze stanowiska poglądów czystych całe ich dzieło okazało się tak bladém, że mniéj baczący na polityczną przezorność niejeden ostry mieli dla niego zarzut. Literatura współczesna artykuł czwarty, traktujący o chłopach, uważała za prawdziwą plamę ustawy (1).

W każdym niemal rozdziale konstytucyi 3-go maja czuć dreszcze postępu przed grozą staréj socyologii, która istotnie w masach szlacheckich kwitnęła tak żywo, jak przed wiekiem lub dwoma. Na zasadę przyrodzonéj równości odpowiadali szlachcice, że garncarz „z gliny i proste naczynia i polewane, także farfury najprzedniejsze robi i to nie do jednakowego użytku" (2). Wolność i równość uznawali tylko w swém kole, a rozszerzanie ram ich na masy uważali za zbrodnię.

Ustawa majowa, pomimo przezorności jéj twórców, do niechęci powodów dawała dużo; gdy więc magnaci zatknęli targowicki sztandar wywrotu, a za hasło wzięli szlachecką wolność i równość;— wysunęli się i farfurowi rycerze gotowi szablą swoją żądania ich poprzéć. I wywalczyła ta spółka konstytucyą ostatniego sejmu rzeczypospolitéj, konstytucyą, która szlachtę tylko uznała za zdolną do godności, honorów i urzędów tak duchownych, jak świeckich. Szlachta raz jeszcze na własną odpowiedzialność wzięła na się brzemię losów całego państwa i ciężaru nie zniosła...

Groźba Kołłątajowskiéj o Samsonie powieści spełniła się strasznie. Stary ślepiec budowę *nową* wywrócił, a ciężarowi walącego się gmachu *starego* sprostać już nie mógł. Gruzami przywalił powszechność i sam pod niemi grób znalazł..

*Władysław Smoleński.*

---

(1) List odpowiedni, pisany do przyjaciela względem ustawy rządowéj, w d. 3 maja r. 1791 uchwalonéj. Warszawa, str. 57 w przyp. — (2) Kraszewski: Polska w czasie trzech rozbiorów. I. 270.

# SZEKSPIROWSKA HISTORYA TRAGICZNA

## O KSIĘCIU DUŃSKIM HAMLECIE.

---

### I.

W prześliczném swojém dziele o Słowackim Antoni Małecki podaje nam mniéj-więcéj taką charakterystykę poety: Juliusz miał poetyczne na świat spojrzenie, zdolność dostrzegania i pochwycenia wszystkich tęczowych barw piękna, rozlanego po rozłogach rzeczywistości. To określenie jest krótkie, ale trąci na całą milę tak okrzyczaną dzisiaj metafizyką. Czy istnieje rzecz zwana pięknem poza nami— tego nie wiemy i nigdy nie docieczemy. Dla nas piękno nie może być istotą odrębną, nie jest nawet słońcem, dającém rzeczom pewne oświetlenie, nie jest ono czémś rozlaném po rzeczywistości i zbieraném w czarę przez poetów. Poezya siedzi w duszy („O, tęczowa kopuło myśli, tyś moim kościołem.“ *Beniowski*), w téj tajemniczéj pracowni, zkąd się wysnuwają z wrażeń pasma wyobrażeń i pojęć, tych, zaprzątających naszę świadomość przy napięciu uwagi, przedmiotów zmysłowo-umysłowych, bo mających formę i kształty, które je czynią ujętnemi dla myśli, a treść metafizyczną, domniemaną, przypuszczalną, stojącą poza obrębem poznania. Zmysł estetyczny, uczucie, które nazywamy poezyą, tak w swém piérwotném źródle, jak i w swém wyrobieniu, które nosi miano sztuki, ma za przedmiot stronę jedynie zewnętrzną, zmysłową objawów naszéj umysłowości, nie wychodzącą poza zaklęte koło form i kształtów, nie sięgającą do treści, ale obejmującą formy i kształty wszystkiego, co tylko istnieje i co pomyślaném być może, przedmiotów natury społecznéj, ludzi, charakterów, urządzeń towarzyskich, nawet myśli i uczuć najosobistszych i najbardziéj oderwanych. Rzecz może nas całkiem nie interesować, może być wcale dla nas nieprzydatną i nie-

dającą się wyzyskać do zaspokojenia potrzeb naszych, a jednak oddziaływa na nas przez samę tylko formę swoję przyjemnie czy nieprzyjemnie, co wyrażamy słowami: pięknie albo niepięknie. Są-to cechy nie przedmiotu i nie stosunku przedmiotu do naszéj osoby, ale wrażenia, które przedmiot wywarł, a zatém mogą być nieskończenie u oddzielnych jednostek rozmaite (*de gustibus non disputandum*). Nauka pracuje nad wytłómaczeniem, w jaki sposób forma wiąże się z wrażeniem i wywołuje te a nie inne wrażenia estetyczne; ale do wynalezienia tych fizyologicznych podstaw estetyki jeszcze bardzo daleko.

Rozkosz, któréj dostarcza lubowanie się w pięknych formach, jest tak wielką, potrzeba lubowania się tak niezbędną, że ztąd powstaje w człowieku pochop do zrobienia się czynnym sprawcą takich uciech estetycznych. Człowiek więc tworzy przedmioty, któreby swoim kształtem, oddanym za pośrednictwem rylca, dłuta, pędzla, dźwięku muzycznego albo słowa, sprawiały co najsilniejsze wrażenie estetyczne, były złożone z pożyczek od natury i z ideału; były podobne do rzeczywistości, a mocniéj poruszały uczucie, niż sama rzeczywistość.

Tak powstały i rozmnożyły się arcydzieła sztuki, tak się ugruntowało wielkie, niewidzialne a przeto nieraz tajemnicze sztuki nad ludźmi panowanie. Myśl sama przez się jasna i chłodna jak słońce zimowe nikogo nie poruszy, zanim nie zostanie potężnie odczutą. Jeszcze Konrad w „Dziadach" powiedział, że trzeba wpędzić uczucie jak nabój w żelazne okucie woli, ażeby otrzymać burzący wystrzał. Zahartowane przez poezyą uczucie trzeba nieraz jak stal odhartowywać, by dać życiu inny kierunek wedle zmiennego składu potrzeb i okoliczności. Ztąd niesamoistność sztuki, jéj panowanie zawsze podzielone z innemi potęgami, co chwila kwestyonowane, ztąd ostre o niéj sądy, ztąd ustawiczna dbałość o jéj dobre albo złe kierunki, ztąd wypędzenie poetów przez Platona z jego idealnéj Rzeczypospolitéj, ztąd powtarzające się naigrawania się materyalizmu, że para butów lepsza niż piękny ale niepożyteczny poemat, ztąd piękne określenie poezyi przez Krasińskiego w „Nieboskiéj komedyi." Poezya sama przez się nie jest ni dobra, ni zła, ni moralna, ni niemoralna, podawać jednak może czasem zbawienie a czasem truciznę. Kiedy się zachwiała wyższa od niéj mistrzyni, wiara, sztuka jeszcze w stanie jest jéj podania podtrzymać, ożywić; może głęboko podupadły naród prowadzić niby ognisty słup na puszczy, wlewając pewność, że gdzie taki ogień błyszczy, tam jeszcze nie mogiła; ale może być towarzyszką zepsucia, podłechtaniem niecnych chuci, powolną sługą złych namiętności i poduszczeń, powojem albo nawet chwastem na ruinach.

Bywa więc sztuka dobra i zła, a oprócz tego podziału podałbym jeszcze drugi: na sztukę ubogą i bogatą.

Wszelka sztuka poczyna się od prostego naśladowania natury, naśladowaniem się utrzymuje i rośnie pod karą natychmiastowego zdziczenia, jak zdziczała sztuka rzymska w bizantyjskiéj. Studya z natury są jéj chlebem powszednim. Nie ma sztuki bez bystrego rozpatrywania natury, bo każden wielki mistrz jest zarazem realistą. Lecz prócz natury, sztuka potrzebuje jeszcze ideału, a ideał nie wciąż kwitnie, lecz tylko w długich przerwach, odpowiednich wielkim zwrotom umysłowości ludzkiéj, pojawieniu się nowego zapatrywania się na świat i życie. Przy najbardziéj nawet udoskonalonéj technice, skoro sztuka z nałogu nie przestaje powtarzać i uwydatniać, zmieniając tylko kształty, jedne i te same cechy, przez podanie uważane za piękne, ale już używane i wiadome, sztuka takowa mimo uczoności, zapożyczania się i archaizmu upada przez wycieńczenie sił, choruje na suchoty i doczekać się musi swojéj upadłości. Wtedy nadchodzi tak zwany naturalizm i ogłasza detronizacyą wszelkiego ideału, twierdząc, że prawda naga chociażby brudna, pospolita i płaska tysiąckroć razy jest lepsza od sposobów wytartych i zużytych, trącących rutyną, obrachowanych na efekt, od form, poza któremi sterczą jak druty jawne artystyczne zamiary fachowego rzemieślnika. Pora obecna jest mniéj więcéj epoką takiego dochodzenia upadłości, takiéj detronizacyi i uprzątania wszelkiego ideału. W gruncie — to rokosz tylko chwilowy, bezkrólewie na kilka dni, a co najwięcéj zmiana dynasty albo dynastyi (*le roi est mort, vive le roi*). Gdyby kto zwątpił w przyszłość ideału śród tego dzisiejszego krzątania się liliputów i gnomów na placu pustym, wywłaszczanym przez nich u podupadłéj albo zgrzybiałéj sztuki, dość mu, ażeby się otrząsnąć z takiego zwątpienia, dość cofnąć się myślą wstecz ku pierwszemu lepszemu z poprzedzających okresowi rozkwitu sztuki wielkiéj i bogatéj i spojrzéć oko w oko na takiego Dantego albo Szekspira, Michała Anioła albo Homera, wpatrzyć się w ich nieśmiertelnie młode, wiekom urągające utwory—ażeby przyjść do tego pocieszającego rezultatu, że jeżeli umysł ludzki nie skaleczał, jeżeli ród ludzki nie znikczemniał, jeżeli jest możność jakiegokolwiek doskonalenia się i postępu, jeżeli jest jeszcze w duszy jakiekolwiek miejsce dla sztuki i rozkoszowania się pięknością: — ideał wróci do posiadania odnowiony i wyższy i sztuka będzie, jak być powinna, twórczą, potężną, tworzącą rzeczy doskonalsze od natury i rzeczywistości pod względem wrażenia i piękna, a nawet pod względem zgodności z prawami, któremi rządzi się świat, jeżeli ich dochodzić będziemy, uprzątnąwszy my-

ślą przypadkowość, to jest pod względem tego, co nazywamy prawdą artystyczną.

W wielkiéj sztuce sprawdza się to, co z doświadczenia powiada w przedmowie do Balladyny Słowacki: *szepce (ona artyście) nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet niewidziane istoty, otacza go ciżbą gwarzącą ludzi wyszłych ze mgły przedstworzenia, a urąga się z tłumu ludzkiego, z ładu i porządku, jakim wszystko dzieje się na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa, ręką ludzi szczepione.*

Żadna galerya portretów, gdyby można było obejrzéć cały wiek XVI sportretowany, nie da takiego wyobrażenia o duchu tego wieku, o jego najzuchwalszych nadziejach i aspiracyach jak Mojżesz, Penseroso albo Sybille i Prorocy Michała Anioła, i całkiem nieznającemu się na Odrodzeniu człowiekowi, gdy patrzy na tych nadnaturalnych olbrzymów, uprzytomnią się jego własne chwile niejasnych przeczuć i wdzierania się w to niewiadome i niepoznawalne, wobec którego niczém jest każda rzeczywistość. Żadnego człowieka, z którym całe-śmy życie obcowali, śledząc co chwila jego myśli, charakter i nałogi, nie znamy tak dobrze i dokładnie, tak całkiem na wskróś, jak wymyślonych i tych, co nigdy nie istnieli: Makbeta albo Jaga, Leara albo Otella. Ludzie Szekspira, powiada Goethe w „Wilhelmie Meistrze," *zdają się naturalni, a niemi nie są. Te tajemnicze i skomplikowane osoby z natury są jak idące zegary ze ściankami i cyferblatem z kryształu, pokazują bieg godzin, ale widzisz zarazem skład kół i sprężyn, nadających im ruch.*

Ta nadnaturalność arcydzieł sztuki, ta ich właściwość, że z kształtów wyziera bezdenny i nigdy niezgruntowany ostatecznie ideał, czyni je niewyczerpalnemi nigdy do ostatka; setki pokoleń mogły w nich grzebać, a jeszcze i tysiącznemu dostanie się czém się obłowić na jego zajęcia i potrzeby. Ta ich nadnaturalność sprawia, że arcydzieła i wzory sztuki są spółrzędne względem żywéj natury jako przedmioty badania dla artysty, że zajmują jednakie miejsce w artystycznéj wiedzy, bez któréj żaden wyższy ideał nie zabłyśnie i że nieustanne a systematyczne studyowanie wielkich mistrzów, byle bez bałwochwalstwa, jeno krytyczne, pojedyńczemi siłami albo zbiorowo za pośrednictwem całych towarzystw, jest rzeczą prawie niezbędną dla każdéj literatury i dla każdéj sztuki, pod karą obniżenia się pod poziom ogólnéj cywilizacyi europejskiéj. Takie zaciekanie się w wielkich dziełach wielkich mistrzów jest bardzo trudne, ale niesłychanie ponętne, tak ponętne jak wdarcie się na jednę z najwyższych iglic górskich na kuli ziemskiéj w nadziei jeżeli nie odkrycia,

czego oko ludzkie nie widziało, to otworzenia sobie chociażby wślad za innemi, którzy tam byli, niesłychanie rozległych widoków.

Te względy niech mi posłużą do wytłómaczenia śmiałości, z którą, nie bez wewnętrznéj obawy, odważam się mówić o Szekspirze, i jeszcze większéj śmiałości w wyborze z pomiędzy dzieł Szekspirowskich Hamleta, którego każden wiersz jest doskonale znajomy a o którym pisano tyle, że z samych komentarzy, począwszy od krytyki Goethego w „Wilhelmie Mejstrze," pisanéj prawie przed stu laty, możnaby złożyć bardzo sporą bibliotekę, ale o którym najgłębsi jego wykładacze, jak Dowden, mówią jak o niezupełnie docieczonéj tajemnicy.

Nie będziemy się zaprzątali czczém pytaniem, czy Szekspir jest najwyższym z poetów, których świat wydał; to wszakże pewna, że jest on o wiele dla nas zrozumialszym niż Homer albo Dante, bo jest stosunkowo jeszcze może najbliższym, bo go otacza ta sama co nas umysłowa atmosfera humanizmu, bo był wielkim mistrzem największego dotąd artystycznego wieku — wieku Odrodzenia, bo wpływał on bezpośrednio na utworzenie się naszego artystycznego systematu słonecznego — rozumiem przez to nasz romantyzm ze słońcem jego — Mickiewiczem. Wszystkim romantykom świecił on, jak gwiazda przewodnia w puszczy, wiodąca z niewoli egipskiéj form pseudoklasycznych. Słowacki zapożyczał się u niego ogromnie; jeden Krasiński czuł tajemniczy, pełen obawy wstręt do starego Willa, ale Krasiński był to umysł metafizyczny, Dantemu i wiekom średnim bardziéj niźli nam pokrewny, kometa zabłąkana na chwilę pomiędzy nasze stosunki. Nakoniec gdy i romantyzm począł przekwitać, gdy się zaczął zwrot, śród którego się znajdujemy, ku grubemu realizmowi, i druzgotanie bożyszcz i powag romantycznych,—w tym zwrocie jeżeli się ostoi jaka powaga, to bezwątpienia tylko wielkie imię Szekspira, jako największego znawcy duszy ludzkiéj i anatoma, najdoskonalszego mistrza z tych, co duszę ludzką słowami oddawali (*Taine*).

W tém przekonaniu nie może mię zachwiać pojawienie się pamfletów przeciwko tak zwanéj Szekspiromanii w Niemczech, naprzykład studya Szekspirowskie Rümelina (1864); widoczna bowiem, że temu niby-realiście chodzi głównie o to, aby nie wywyższano Szekspira ponad niemieckich poetów, narodowych półbogów: Goethego i Schillera. To tak jak gdybyśmy przez patryotyzm dobijali się o to, żeby postawić na jednéj z nim stopie naszych wieszczów, niezaprzeczenie wielkich, największych po Goethem, którzy myśl narodową pchnęli na nowe tory i wedle słów Mickiewicza byli nietylko narodowi ale potrafili zachować w sobie czystą treść człowieka („Do Ioach. Lel."). Ależ to przecie nie da się zaprzeczyć, przynajmniéj w zakre-

sie jednego rodzaju literatury, w państwie dramatu, że żaden dotąd dramat, jak to twierdzi słusznie Dowden, nie może iść w porównanie z Szekspirowskim pod względem bogactwa i rozmaitości, podawanych do rozważania przejść, właściwości, starć i odmian charakteru ludzkiego, a to w przypuszczeniu, które stanowi całą istotę nowożytnego dramatu i ani odmienić ani uzupełnić się nie da, że nad zmiennemi kolejami żywota roztacza się jedna tylko konieczność, jedno fatum, a tém jest fatum samegoż charakteru. Tyle dla realistów.

Stary Will jest największym może realistą, ale ten realizm jest na posługach u najpotężniejszéj, jaka może istniała, idealizacyi; wszystkie te dusze, których budowę i mechanizm on przed nami rozkłada, on sam utworzył, największy *faiseur d'âmes*, jak go nazywa Taine. Sięga on, wedle słów Dowdena, w świecie swoim idealnym w dwie krzyżujące się nieskończoności: nieskończoność oderwanego myślenia, w której zaledwo go dosięga Goethe, i w nieskończoność namiętności, i staje przed nami olbrzymi, jak dąb panujący nad okolicą i dostrzegany na wszystkich drogach Renesansu (*Taine*). Ten Proteusz zmienia po tysiąc razy postać; skala uczuć potrącanych przezeń jest ogromna: od snów złotych i brylantowych fantazyj aż do najgwałtowniejszéj pasyi, jaka może miotać sercem człowieka. Nic w świecie trudniejszego nad jego charakterystykę; mistrze krytyki, najdzielniejsi w dociekaniu głównéj cechy w twórczości (*la faculté maitresse* wedle Taine'a) tracili czas wysilając się na określenia, a z każdego takiego określenia określany wymyka się, doprowadzając do rozpaczy tych, co nad nim się zaciekali. Oto treść naprzykład jaskrawéj, świetnéj charakterystyki Taine'a.

Normalnym stanem człowieka w społeczeństwie jest dźwiganie jarzma moralnego, karności religii, konwenansów obyczaju. W przerwie między dwoma takiemi jarzmami, między karnością katolicką, która zastygła w obrzędach a purytańską, która nie odrazu stężała, stanęło Odrodzenie, odrodzenie pogaństwa, rozpasanie się natury, rozhasanie się jéj bez hamulca. U każdéj rasy odrodzenie było inne. U łaciników, u Włochów, bardziéj zmysłowe, zakochane w barwach jasnych, spokojnéj sile, rozkoszy, pogodzie. Umysł narodów germańskich, głębiéj nurtujący, bardziéj ponury, upodobał sobie przeważnie ruch, czyn, wytężenie, ból, gwałtowną poezyą i konanie, wymagał dla rozkoszy silnego podrażnienia nerwów. Jacy ludzie taki i teatr: krwawe widowisko, na którém występują ludzie niby gładcy, ale w skutek braku hamulca tak w czynach swych pierwotni, jak przed brzaskiem cywilizacyi; między pobudką a czynem nie ma u nich rozwagi, i bez żadnego celowania i namysłu za najmniejszym ruchem palca strzała czynu leci pędzona cięciwą wyobraźni. Ta wy-

obraźnia gwałtowna, pełna i szalona, jest cechującym Szekspira przymiotem. Każden frazes, każda z jego działających osób ma to do siebie, że odsłania nam w jednéj chwili myśli, pod myślą uczucie myśl rodzące, pod uczuciem wywołujące je namiętności, a oprócz tego charakter, temperament, nawet postać, zachowanie się i giest osoby. Jest-to myślenie nie zapomocą oderwań (abstrakcyj) porządnych, szykownych, ale skokami, przez same tylko żywe obrazy. Zamiast wykładu i rozumowań poeta rzuca nam jęk, wykrzyknienie, drgające włókno wyrwane z żywego organizmu. Domyślaj się reszty, ale z tego włókna, wmyśliwszy się, docieczesz osoby z duszą i ciałem, przeszłością i przyszłością, z giestem i wyrazem twarzy, których wymagała sytuacya. Jest-to olbrzymia namiętna wyobraźnia, nie okiełznana, nie hamowana rozumem ni moralnością, malująca naturę jak jest—nago i bez godności, we wszystkich jéj potwornych bezprawiach i wybrykach i napełniająca swoje utwory takiemiż jak ona sama ludźmi namiętnemi i niesfornemi, gwałtownie się ścierającemi i zdradzającemi wszelkie słabości i bezeceństwa. Jacy ludzie, takie i pojęcie o człowieku wogóle. Jest-to niby machina nerwowa, od temperamentu zależna, przypadkowo i czasami tylko na chwilę rozumna, mieszanina zwierzęcia i poety; nie ma w niéj cnoty, jeno czułość, pędzi ją tylko wyobraźnia przez największe niespodzianki ku boleści, zbrodni, szaleństwu i śmierci.

Tyle u Taine'a. Sposób tworzenia Szekspirowski pochwycony tu na gorącym uczynku, ale czyż ujęty sam Szekspir, cały Szekspir? Widzimy wściekłego realistę, malującego z wielką furyą naturę w większych niż naturalne rozmiarach i nago, ale gdzież się podział czuły marzyciel, twórca idealnie wzniosłych i jako stal mocnych charakterów, jak Izabella albo Imogena; cierpiący z Hamletem nad tém, że „świat wyszedł z karbów," uciekający myślą z pozioméj rzeczywistości w świat lepszy, na odludną wyspę z Prosperem, by pędzić żywot mędrca-samotnika, albo do sielankowego stanu natury, dokąd nas powoła wiek XVIII, do lasu Ardeńskiego, gdzie wygnany książę („Jak się podoba" II, 1.) powiada: *Tu Adamową odczuwamy karę tylko w różnicy pór roku.* W cóż się obrócił filozof i historyczny badacz powtarzających się zjawisk i stałych praw w obrocie dziejów, który świadom doskonale tego, co wypowiada ustami Henryka IV. (Cz. 2. III, 1): *W życiu każdego człeka są wypadki, które przeszłości żywém są odbiciem, ktoby je śledził, prawie bez zawodu w głównych zarysach może prorokować Zdarzenia, śpiące jeszcze w łonie czasu, w wątłym tam jeszcze zarodku uwite, Co z czasu biegiem na jaw się wyklują.* W cóż się obrócił w końcu wielki domierzacz sprawiedliwości, nie téj melodramatycznéj, któréj jak w owe czasy, tak i dzisiaj domaga się gawiedź,

i dla któréj rzucone słowa epilogu „Peryklesa“ (*że cnota na tym nawet świecie Przez życie próby, mimo ludzi złości, Zawija w końcu do portu radości)*, ale owéj wyższéj tragicznéj, stanowiącéj istotę nowożytnego dramatu, którą Schiller tak oddał w Wallensteinie słowami: *In deiner Brust sind deines Schicksals Sterne.* Tego dramatu i téj jego osnowy któż głównym twórcą, jeżeli nie Szekspir? Ponad stosami trupów, zaścielającemi scenę po krwawéj a nieuniknionéj katastrofie, nie pozostaje w sercu goryczy i żalu lecz, jak należy, następuje ulga z przeczuwanego i przezierającego przez całą tę zawieruchę wyższego i mędrszego nad rozumowania ludzkie rzeczy porządku. Szekspir maluje, jak się ludzie roznamiętniają, ale całą wielkość pokłada w majestacie woli. Stary Gaunt mówi do wygnanego syna (Ryszard II, I, 8.): *Tę z konieczności wyprowadź naukę, że nad konieczność nie ma większéj cnoty. Nie myśl, że ciebie król, lecz że ty króla wygnałeś.* Nawet taki zbrodniarz jak Makbet, taki potwór jak Ryszard III okupują po części krwawe życie bohaterstwem śmierci. Obok brzydkich i podłych, w spławach Szekspira, zwanych osobami, jakież szlachetne popędy! a nad ginącemi z własnéj winy szlachetnemi nieszczęśliwcami chciałoby się powtórzyć i to prawie nad każdym słowa Horacego: *Niechaj ci do snu nucą chóry niebian!* Raz tylko może nie dopisało mu uczucie moralne, gdy ku wielkiéj zapewne uciesze swoich spektatorów wymuszał na Szajloku chrzest natychmiastowy i darowiznę wszystkich majątków, to jest wymyślał coś gorszego i okrutniejszego w danym przypadku nad szubienicę (IV. 1).

Z Szekspirem dalecy jesteśmy od ascetyzmu, ziemia nie wygląda jak padół płaczu, życie tu piękne i pożądane, ziemia sama w niebie, a wielkie wątpliwości istnieją co do niewiadomego, jeżeli jest, pozaświata; ale nikt też nie daje w ręce człowiekowi, puszczającemu się w podróż nadpowietrzną pomiędzy pokusy i bezdroża, pewniejszego balansu dobréj woli, czujnego sumienia i zasady: czyń dobre dlatego tylko że dobre, bez zaciekania się, co ci z tego przybędzie tu czy tam kiedyś (Stoicy, Kant, H. Spencer); nikt silniéj nie dowiódł ani w dramatach ani w życiu tych prawd, które poeta wkłada w usta ojca Wawrzyńca („Romeo i Julia“ II, 3): *Ziemia jest matką natury i grobem... Bo niema rzeczy tak podłych na ziemi, Aby nie mogły stać się przydatnemi, Ni tak przydatnych, aby miasto służyć, Nie zaszkodziły pod wpływem nadużyć. Wszakże i cnota może zajść w bezdroże, A błąd się czynem uszlachetnić może... Podobnie sprzeczna i w człowieku gości Dwójca pierwiastków dobroci i złości, A kędy górę gorsza weźmie strona, Tam śmierć przychodzi i roślina kona.*

Pesymistyczny pogląd na istotę człowieka, *par excellence* nierozumną, jako na igraszkę nieokiełznanych i nie mogących być nigdy

okiełznanemi namiętności, który Taine przedstawia jako klucz do zrozumienia teatru Szekspirowskiego, nie nadaje się wcale. Jeżeliby taki był grunt, wyrastałyby z niego nie te, lecz całkiem inne kwiaty, rozwielmożniłyby się sceptycyzm albo satyra, sardoniczny śmiech francuski Montaigne'a, którego Szekspir studyował, z którego się nawet zapożyczał w „Burzy," albo Woltera, pogląd na dzieje, wedle dosadnego wyrażenia A. Wielopolskiego („Myśli i Uwagi"), jako na hecę i komedyą małpią. Uzdolnienie artystyczne Szekspira tak jest różnostronne, że nie brak w niém ani jednéj ni drugiéj. W „Troilu i Kressydzie" przeciąga przez scenę świat Iliady kankanujący, sparodyowany gorzéj niż w „Pięknéj Helenie," a cały „Tymon Ateńczyk" jest niczém innem jak gorzką satyrą w rodzaju Ben Jonsona na cały rodzaj ludzki, płaszczeniem się wszystkich stanów, wszystkich powołań przed podłym kruszcem, biczowaném pełną oburzenia i pogardy ręką. Wszakże wiadomo, że nie w tych bocznych odnogach płynie dramat Szekspirowski głębokim nurtem, pełném korytem. Szekspir najczęściéj nie przedrzeźnia i nie gniewa się, lecz tylko ironizuje nad tragizmem ludzkich kolei i przeznaczeń, i ten jego *humour*, ta jego nieporównana ironia, utrudniająca rozpoznanie jego sposobu myślenia, rozgraniczenie tego, co myślał na seryo a co żartem, stanowi rys, który kładzie w osnowę swojéj charakterystyki Szekspira inny znany pisarz i bystry krytyk francuski Cherbuliez (*Etudes de littérature et d'art*. 1875). „Teatr Szekspira jest najgłębszy i najdziecinniejszy z teatrów, jest to teatr maryonetek. Stawi on swoje osoby w najtragiczniejszych pozach, dobywa z nich dźwięki, które mrożą serce i przenikają wnętrzności, a potém woła do nich głosem błazna potrząsającego dzwoneczkami: Otello, Makbecie, Ofelio, Romeo, róbcie co chcecie, jesteście tylko lalki pod purpurą: oto karton i druty, które was poruszają. Jesteśmy w szopce poliszynela, *Shakspeare est un divin bateleur* (boski kuglarz i poeta-błazen)."

Bywają wielcy poeci, którym całkiem brak żyłki komicznéj, naprzykład Krasiński; posiadali ją w bardzo małym stopniu Dante i Mickiewicz, w bardzo wysokim Byron i Słowacki; byli poeci, którzy tak podobali sobie w dworowaniu ze wszystkiego i tak wyrobili w sobie zdolność to sprawiania pięknych złudzeń poetycznych, to wywracania ich, niby domek z kart, cynicznym zwrotem i wyskokiem, że stali się tylko błaznami na Parnasie i nikt się na seryo nie troszczy o ideały takiego na-przykład Heinego, wszakże całą ich robotą było wywracanie co najpocieszniejszych koziołków.

Mimo dyamentowy blask swojéj ironii, to śmiejącéj się przez łzy, to wyszukanéj i niesłychanie subtelnéj, to niegardzącéj trefnym i rubasznym a nawet płaskim konceptem, każdy przyzna, że ironia stanowi

jeden z podrzędnych rysów w twórczości Szekspira, że sprawia tylko to, iż kiedyśmy sądzili, żeśmy do jego osobistego przekonania dotarli, w jakim patetycznym ustępie, on już zaśmiawszy się wymknął i gdzieś za chmurami schował, a my, że powtórzę za Emersonem, stoimy wciąż przed zamkniętemi drzwiami jego umysłu (*out of doors*).

I z życia jego niezmiernie mało mamy szczegółów, prawie tylko same daty urodzin (26 kwiet. 1564) i śmierci (23 kwiet. 1616), a spór, który niebardzo dawno podniósł Else (Shakspeare. Halle 1870.) o datę ostatniego dramatu „Burza,“ przeniesienie jéj z 1611 na 1603, a zatém skrócenie całego zawodu autorskiego o lat 7 (1588—1604), dowodzi, jak są chwiejne i wątpliwe dane, uważane nieraz za pewniki w życiorysie. Danych faktycznych do literackiego wizerunku Szekspira brak prawie zupełny, dane przypuszczalne z pism wyciągane, bardzo niepewne, dają coś nakształt widm chromatycznych, z rysu każdego robi się cała tęcza kolorów; ostatnią próbę takiego wizerunku wykonali: Rümelin 1864/5, a w r. 1875 Ed. Dowden profesor w Dublinie (*Shakspeare, A critical study of his mind and art.*) Jak są niepewne wnioski z samych dzieł autora czerpane, ale bez gruntwagi, którą stanowią życiorysowe fakta, o samym człowieku pomijając autora; to łatwo sprawdzić, jeżeli zestawimy oba wizerunki, tak różne jeden od drugiego, zatém zapewne tak mało podobne do oryginału, jak mało podobna chmura w rozmowie Hamleta z Poloniuszem (III, 3.) przyrównywana jednocześnie to do wielbląda, to do łasicy, to do wieloryba.

Sposób Rümelina możnaby nazwać operowaniem za pomocą ujemnych danych, dochodzeniem, czego nie ma w Szekspirze, jakich brak w nim tonów i akordów, aby w ostatku wynaléść, czém on jest w istocie. Szekspir stworzył w 37 sztukach, stanowiących jego dzieła, mniéj więcéj 500 działających osób. Świat ten, aczkolwiek bardzo rozmaity, ciaśniejszym jest od naturalnego, brak w tym repertuarze charakterów spokojnych, wytrwałych, jasnych, wpatrzonych w niemigotliwe światło ideału, w pochodnię wiary albo wiedzy. Brak tu temperamentów flegmatycznych; brak średnich klas, występuje tylko arystokracya albo plebs; brak w konfliktach starcia się obowiązku z obowiązkiem, natomiast tylko gwałtowne drgania namiętności ścierającéj się z obowiązkiem; brak średnich nut w głównym rejestrze, a przeważają albo najniższe, albo najwyższe. Szekspir może być uważany jako skończony typ choleryka, zawsze podrażnionego, odczuwającego mocno wszelkie bóle, wszelkie złe w życiu ludzkiém, lecz brak mu tego spokoju wewnętrznego, który był udziałem naprzykład Goethego i który potrzebny jest dla przetwarzania odczuwanego w czyste kryształy. Bije tętno życia w jego osobach, ale przyśpieszo-

ne rytmem niezdrowym. Do wysokiéj, filozoficznéj spekulacyi i metafizyki niezdolny, wyrobił sobie pogląd na życie praktyczny, wysoce pesymistyczny, dość obojętny na to, co było i będzie, ale osnuty na wierze w królewskie prawa woli, w nieomylność sumienia, w możebność w każdym przypadku wyboru pomiędzy obozami dobra i zła. Szkołę życia miał najniebezpieczniejszą, najprędzéj zużywającą człowieka i przesycającą — teatr. Na tym teatrze ciążyło przytém brzemię purytańskiéj zawziętości, społecznego lekceważenia i prawie pogardy. Z biegiem czasu publiczność zaczęła go opuszczać, darząc większym faworem młodszych ulubieńców Ben Jonsona, Fletchera, Beaumont'a, którzy albo umieli malować sceny drobne obyczajowe, podczas gdy Szekspir brał się za ogólniejsze, wprost ludzkie, albo go przewyższali dokładniejszą znajomością świata klasycznego. Ztąd zniechęcenie, ztąd przejście od wesołych tematów do coraz bardziéj krwawych, ponurych, do poglądów coraz bardziéj pesymistycznych, aż nakoniec po obrzydzeniu sobie sceny nastąpiło jéj porzucenie i schyłek życia spędzony bezczynnie na partykularzu.

Powstrzymamy się na chwilę od polemiki z tą oceną, w któréj przynajmniéj tyleż fałszu i niesprawiedliwości, ile prawdy i co do temperamentów (Hamlet limfatyk, melancholik) i co do ideałów (sąż idealniejsze i silniéj w prawdę wierzące postacie, jak Imogena, Kordelia); któż przewyższył Szekspira w zdolności uciekania ze świata rzeczywistego w kraj złoty, rajski, najharmonijniejszych fantastycznych marzeń; a co do całego przebiegu i końca zawodu pięknyż mi pesymizm — Cymbelin z wspaniałą religią natury, dzieci natury albo „Burza“ z pogodném jasném: bywaj zdrów, z odejściem pełném słodyczy i pokoju na odpoczynek na zasłużonych laurach.

Rümelin jest zbyt jednostronny, zbyt powierzchowny, posłuchajmy, co mówi Dowden: „Nie chcę, powiada on, wiedzieć jak rzeczywisty Szekspir mówił, jadł i pił, jak hulał w tawernie pod Syreną, albo pracował w samotności; chcę uwydatnić z dzieł jego, jak się w ciągu czasu wyrabiały jego upodobania, uzdolnienia i charakter. Za głównego przewodnika posłuży po prostu chronologiczny porządek następstwa sztuk; inne faktyczne dane i warunki użyte będą tylko pomocniczo. O Szekspirze kursowały dwa wręcz sprzeczne wyobrażenia. Jedno rozpowszechnione przez Taine'a, wedle którego byłto namiętny i rozhukany człowiek, igraszka najognistszéj w świecie imaginacyi. Mając zaledwo lat 18 już z konieczności musi się żenić ze starszą o 8 lat od niego kobietą (Anną Hathoway), któraго wnet po ślubie darzy córką, a w rok potém jeszcze bliźniakami; poeta nie ma szczęścia w domu; ucieka ze Stradfordu nad *Avonem* do Londynu i tam puszcza się na życie pełne licznych przygód w niebardzo poważanym

stanie aktorskim. Najwymowniejszym dowodem, jak cierpiał, jak czuł swoje społeczne poniżenie, mają być sonety. Drugie wręcz przeciwne wyobrażenie podaje nam Szekspira za obrotnego spekulanta, spieniężającego swój talent z wielkim sprytem i umiejętnością i zarobkującego jako autor, aktor i spólnik w dwóch teatrach Blackfriars i Globe. Liczne są nabytki ziem i domów w rodzinnym Stradfordshire (1602 r. 47 akrów, wnet po napisaniu Hamleta), r. 1604 w Londynie nasz autor procesuje się o 1 f. st. 15 szyl. z Filipem Bodgers'em, pisząc Otella i Leara; niewiadomo dokładnie kiedy, ale między latami 1604 i 1612, mając co najwięcéj lat 48 opuszcza scenę, osiada z żoną, tąż samą Anną Hathoway, wydaje córki za mąż i umiera jako bardzo dostatni, właściciel, a pisze się na testamencie, w którym nie zapomina kolegów aktorów *gentleman*, szlachcic herbowy. O herb postarał się i wyrobił go dla ojca z *yeomana* przerobionego około r. 1597 na gentlemana z włócznią w herbie (Shake-spear) i napisem *non sanz droict*.

Obadwa te wyobrażenia wywracają się i znoszą jedno przez drugie. Szekspir nie był ani awanturnikiem, ani spekulantem. Nadzwyczaj bystry, głęboki spostrzegacz i myśliciel, niesłychanie zarazem czuły i namiętny, posiadał on obok tych przymiotów jeszcze szczęśliwą rozwagę i wyrobił stopniowo silną wolę. Wszystkie te czy uzdolnienia, czy funkcye rozwijały się stopniowo i zharmonizowały się tylko w końcu. Rozwój był bardzo stopniowy, szałów młodości nie znać wcale, przynajmniéj nie przechodzą one w sztukę, „Wenera i Adonis“ rzecz epiczna, raczéj opisowa, sonety są tkliwe, czułe ale nie namiętne, idzie potém cały szereg lekkich komedyj, w których autor się ślizga po życia powierzchni. Z pośrodka tych komedyj wydziela się, jaśnieje *Sen nocy letniéj*, a w tym śnie Tezeusz prototyp dużéj ręki mocarzy, wielkich królów i bohaterów, którym autor przed innemi z upodobaniem hołd oddaje i w licznym szeregu których najwyżéj stoi w późniejszym czasie opracowany, zamykający cykl „historyj“ z dziejów narodowych angielskich, Henryk V. Zwrot do dziejów, wykrajanie całego cyklu dramatów z narodowych, świeżéj jeszcze daty pamiątek, niesłychanie się przyłożyły do wzrostu talentu. Nie są-to dzieła najtrwalsze, najlepsze, ale zmusiły Szekspira do wyrobienia w sobie poglądów polityka i historyka, do wpatrywania się w budowę państwa, do śledzenia skutków ścierania się mas, do dociekania warunków wznoszenia się ludzi i stronnictw i ich niepowodzeń. Tak przeszło lat 12 (1588 —1600); w ciągu ich geniusz Szekspira wystrzelił raz jeden podnioślejszym, utworem wielkim, nieśmiertelnym, tragedyą czy poematem miłości: „Romeo i Julia“. Robota-to długa, przerywana komedyami i historyami ciągnie się od 1591 do 1597, istnieje w dwóch przeróbkach, dowód mozolnego łamania się z przedmiotem. Miłość

bez granic, młodzieńcza, ognista, kochankowie w niéj toną, świat rzeczywisty przestaje dla nich istniéć, to téż rzeczywistość mści się na nich i kochankowie giną.

Z téj bezdni namiętności Szekspir chcąc się wyzwolić i wydostać przerzucił się w drugą bezdeń — refleksyi i stworzył w 1600 Hamleta. Jak Romeo tak Hamlet mają dużo pierwiastku lirycznego, poeta włożył w nie wielką cząstkę duszy swojéj. Sztuka ostatnia pod względem technicznym źle zbudowana i ciemna, autor pasuje się z wiekuistemi i nierozwiązalnemi zagadkami żywota ludzkiego i bytu i w końcu nie przebija tego muru głową, bo mur jest nie do przebicia. Bohater ginie, ale stoi na miejscu, pieści się z myślą o czynie a nie działa. Straszliwemi rysami oddany tragizm jego losu i upadku, a jednak jeżeli zestawimy takiego Romeo, Hamleta, nawet późniejszych Otella, Leara z mężami dużéj ręki i praktycznego czynu sceny Szekspirowskiéj, jakże bardzo to porównanie pójdzie na niekorzyść ostatnich! Ostatni otrzymali chłodny szacunek, ukochani zaś są serdeczni, gorący idealiści, marzyciele, bo w gruncie i sam Szekspir—to ich brat: praktycznych ludzi czynu wielbi on tylko po rozwadze, za pomocą rozsądku. Serce jego rwie się ku marzycielom, rozsądek wstrzymuje, ztąd rozmyślne ochładzanie trzymanego na wodzy uczucia, to ironizowanie, ten *humour*, który stanowi jednę z wybitnych cech dramatu Szekspira.

Hamlet najwyższy z utworów Szekspira pod względem pomysłu, ale nie pod względem formy, sztuki, budowy; to tylko środek ewolucyi w twórczości Szekspira. Od Hamleta idą przeplatając się (1601—1608) dwa szeregi utworów najdoskonalszych, najdojrzalszych: najprzód dramata rzymskie: Juliusz Cezar, Antoniusz i Kleopatra, Koryolan wykrojone z Plutarcha i zdradzające obok usterek w szczegółach zadziwiające pojmowanie nietylko serca, nietylko ruchów mas, ale i ducha historyi rzymskiéj; powtóre, wielkie najpopularniejsze tragedye: Otello, Lear, Makbet. Ogólne cechy tego okresu są następne: najwyższy artyzm, największa przedmiotowość. Krwi dużo na scenie i dramat wstrząsa wszystkie nerwy, niema w tém najmniejszego wpływu ponurego nastrojenia samego poety, owszem są to lata zupełnego powodzenia, nabytego przezorną rządnością pięknego dostatku. Umysł spoważniał i podoba sobie w obrazowaniu największych zmienności kolei ludzkich, największych walk, ścierających się potęg dobrego i złego. Metafizyczne kwestye, w które godził i o które rozbijał się Hamlet, stoją przed oczyma, ale nierozwiązalne, otwierać ich autor nie próbuje. Jakim sposobem może istniéć taki potwór jak Jago? Jak mogło stać się, że poginęli marnie szlachetny Maur i Kordelia? Wypadki mkną jak huragany, miażdżąc i zmiatając dobrych i złych;

człek pojedyńczy ginie jak ziarnko piasku, jak kropelka w morzu. Nigdzie sarkania na niesprawiedliwość losu; obok potworów śliczne postacie, które godzą nas z naturą ludzką, a choć dziwacznie i źle się plecie wszystko na tym biednym świecie, i szlachetni giną i serca się krwawią, jednak jako oliwa wypływają na wierzch ironia losu, morał głęboki, etyka stoicyzmu, nieugięte przejęcie się dobrém moralném, wraz z obojętnością na wypadki i skutki. Myśl stała się zsiadlejszą, bardziéj ześrodkowaną, uczucie równie gorące ale bardziéj określone, indywidualniejsze, nigdzie liryki a tylko chorały i symfonie, nawet żart poważnieje i coraz częściéj pomieszany ze łzami.

Zbliżamy się do finału. Poprzedza go jeden dysonans niby wielki zgrzyt: „Tymon Ateńczyk“, odludek. W Tymonie znowu boleje Szekspir sam. Każden z nas miał chwile Tymonowskie w życiu, kiedy ludzie obrzydli, świat obrzydł, życie obmierzło, a i Szekspira napróżno byśmy wyobrażali sobie jako człowieka bez namiętności, bez złości. O, miał ich on dużo, tylko że w końcu górę brała rozwaga, i to po pewném nad sobą wysileniu. Więc i po „Tymonie“ wróciła równowaga i stanął ostateczny spokój; uczucie mniéj namiętne nie wre i nie pali się. Są dysonanse, ale kończą się harmonią, zgodą z losem, złotym promieniem słońca w dzień jesienny przedzierającym się przez lekką mgłę: „*Jak tych widm nikła budowa, tak samo podniebne wieże, przepyszne pałace, zdumiewające świątynie, sam nawet Ten glob olbrzymi i to co jest na nim Zatrą się z czasem i znikną bez śladu. Jesteśmy z tegoż tworzywa co mary. I marne nasze życie sen otacza*“ („Burza“ IV, 1). Po téj filozofii Prospera już pieśń poety skończona, treść życia wyczerpana, zamknięta ostatnia logiczna faza całego obrotu twórczości i ostatni dźwięk wydobyty przy całéj jeszcze pełni siły i talentu.

Taka jest treść dzieła Dowdena. Dowolność przypuszczeń takaż sama jak u Rümelina, założenia nawet prawdopodobne potrzebowałyby dowodów. Nie mógł nie kochać, kto oddał i uwiecznił miłość Romea i Julii. Ależ to miłość południowca, tak się nie mogli kochać Anglicy i nie przechowała się najmniejsza wskazówka, aby ten familią obarczony aktor, żyjący zdala od familii, w świecie, gdzie panują dość wolne obyczaje, kochał kogo na seryo, namiętnie i długo. Podanie przekazało ślady samych tylko przygód i miłostek (znana anegdota z Burbadge'm). Co się tyczy Tymona, sądzę, że ta część w wywodach i przypuszczeniach Dowdena najmylniejsza, najsłabsza, najnieskładniéj motywowany ten wylew żółci po takich arcydziełach jak Otello, Makbet, Lear. W słowach i czynach Tymona niepodobna dopatrywać osobistéj goryczy Szekspira, zniechęcenia się chociażby chwilowego do świata, obrzydzenia ludzi, dlatego właśnie że Tymonowska mizantropia zanadto jest błaha i źle motywowana. Głupi utracyusz,

otoczony pasorzytami, rzuca pieniędzmi, nie znając ceny ich, bez liku i wyboru, sądząc, że wszyscy są jednakowo dobrzy, choć do rany przyłożyć. Potém przekonał się, że jest inaczéj, więc został wściekłym odludkiem. Tymon nie jest osobą ani tragiczną, ani sympatyczną, ani nawet interesującą, nie o niego w sztuce głównie chodzi, ale o to, jak się ogół ludzi płaszczy i pełza przed kruszcem, jak potém kopie nogą i poniewiera tego, u kogo pustki w kieszeni i jak do niego napowrót czołgając się wraca na wieść o nowo wynalezionych skarbach. Żadnéj głębokości w główném założeniu i głównéj osobie, ale całe otoczenie osoby—pyszna dekoracya. Tymon—to potężna satyra, jak Troilus i Kressyda genialna farsa; obie sztuki świetne, ale w żadnéj nie znaléść duszy Szekspira, tego co on sam własném doświadczeniem przeżył i wycierpiał.

Zostaje się tylko Hamlet. Panuje pomiędzy krytykami prawie jednomyślność względem kapitalnéj wartości tego arcydzieła. Powszechnie przyjęto, że Hamlet odpowiada przejściu przez zenit gwiazdy Szekspirowskiéj, że ze wszystkiego, co napisał, jest-to najgłębsze, przeto nawet ciemne, że tak głębokie, aż niezgruntowane; że w Hamlecie Szekspir podał nietylko ciekawy, bogaty, żywy i całkiem nowożytny, bo nieprzerwanie powtarzający się aż do dzisiaj typ, charakter, ale odgadł najtajniejszą myśl wieku, i nietylko swojego wieku, ale i wszystkich następnych aż do dziś dnia; nietylko myśl tych wieków, ale i ich chorobę ciężką, nieuleczalną—zwątpienie, które wiarę z duszy wyżarło; przytém zwątpienie, pochodzące nie z usiłowań rozumu, który dochodząc prawdy pod obsłonami dogmatów i symbolów, trafił na przerażającą próżnię, ale z pęknięcia serca, z takich jego zawodów, po których nietylko trzeba pozbyć się wszelkiéj ufności w dobroć ludzką, ale nawet w sprawiedliwość boską, rzec że „*świat wyszedł z karbów*“, że „*mężczyźni nie podobają mi się, ani też kobiety, a cały iskrzący gwiazdami firmament jest tylko zaraźliwém zbiorowiskiem wyziewów*“ (II, 2). Wszystkie te cechy nie wyczerpują jeszcze Hamleta, jest jeszcze jeden rys główny i panujący. Ten nadwątlony w wierze człowiek cierpi, bo ten świat zda mu się dziełem bardzo niedoskonałém, nieboskiém, zczerniałém od gangreny i cuchnącém, cierpi, ale umierając szydzi i szydzi tak, jak późniéj szydził Słowacki, szyderstwem kąsającém aż do jelit. Ten szydny śmiech prawie histeryczny, spazmatyczny, aż do stracenia zmysłów, aż do waryacyi, aż do konania, wydany przed trzema prawie wiekami, nie przestaje dźwięczéć nam w uszach do dziś dnia i wstrząsa całym ustrojem naszych nerwów. W tym względzie Szekspir nie został prześcignięty, daleko w tyle pozostali Faust, Rolla Musset'a; Słowacki wygląda jak

podrostek. Najbliżéj Hamleta, ale zawsze poza nim zostaje chyba jeden Byron.

W życiu i pojedyńczych ludzi i narodów są chwile lepsze i są chwile gorsze, są tak okropne, że przyszłości nie widać, cały widnokrąg w czarnych chmurach, a żyjącym brak i nadziei i poczucia się na siłach, ażeby mocno i wytrwale iść na bój z rozwielmożnionemi potęgami złego. W tych smutnych chwilach jeszcze broń jedna dla nie-bałwochwalców, dla protestujących, napozór błaha—spazmatyczny śmiech Hamletowski, *memento mori* dla złéj rzeczywistości, ostrzeżenie, że chociażeśmy słabi, zbyt miękiego serca, bez hartu w charakterze, ale i ta rzeczywistość nie wieczną, bo jest przejrzana nawskróś w całéj ohydzie i nicości, i pogardzona i wyśmiana, zatém moralnie pokonana, a czynnego pokonania dokażą ludzie późniejsi, może mniéj uzdolnieni, ale tężsi i prostsi.

Na to, co wypowiedziałem, stanęła zgoda pomiędzy krytykami, wyosobniająca Hamleta jako arcytwór, wyższy poniekąd ponad wszystkie utwory Szekspirowskie; lecz z samegoż tego położenia panującego Hamleta w teatrze Szekspirowskim, rodziła się pokusa wziąć go za główne źródło do odtworzenia moralnego wizerunku poety, do stawienia domysłu, że z taką miłością odmalowany bohater jest nie kto inny, tylko sam Szekspir, ukryty pod pięknemi, ale skażonemi przez melancholią rysami królewicza Danii. Smutek i zwątpienie królewicza były skutkami moralnych cierpień wynikłych z zetknięcia się ze światem. Jeżeli oddać można silnie i potężnie środkami sztuki tylko to, co się przeżyło i czego się osobiście doświadczyło, musiał i Szekspir przechodzić przez ciężkie życia próby, analogiczne, chociażby w niejakiém przybliżeniu z temi, które były udziałem królewicza. Dzieje zupełnie milczą i nie doszukać się w nich zdrady kochanki, żony, przyjaciół, śladów osobistego dramatu we własném życiu poety. Źródłem cierpień mogło być chyba społeczne położenie Szekspira, dotkliwe upośledzenie, którego doznawał stan aktorski, przesądy towarzyskie, które aktorów stawiły w jednym rzędzie ze sługami i prawie na jednym z owemi *fools*, błaznami na dworach pańskich i królewskich, którzy tak ważną rolę grali w średnich wiekach i w Szekspirowskim repertuarze. Są jakieś tego rodzaju niezbyt wyraźne skargi w lirycznych utworach Szekspira, w jego sonetach. Niektóre sonety, naprz. 66. są nawet podobne do rozmyślań Hamleta, do jego monologu: „być albo nie być“. Ztąd powiązanie Sonetów z Hamletem i użycie ich za klucz do otworzenia nietylko sensu ukrytego w Hamlecie, ale i duszy samego Szekspira; w czém się schodzą i Taine, i V. Hugo i nawet Rümelin. Stąd téż konieczność, zanim zajmiemy się wyłącznie księciem Danii, sprawdzenia, jakiego rodzaju jest ten wę-

zeł i jakie wogóle znaczenie mogą mieć sonety Szekspira przy studyowaniu Hamleta.

Stanowczo twierdzimy, że żadnego. — Mercucyo powiada o Romeo (II. 4.): „teraz go sonety Petrarki rozczulają, Laura w porównaniu z jego panią jest poprostu pomywaczką.“ O dwa wieki wcześniejszy Petrarka (1301—1374) był w wielkiéj modzie w Anglii za królowéj Elżbiety. Jeden ze spółczesnych Szekspirowi pisarzy, Tomasz Nash twierdzi, że gdyby zamiast pisać dramaty Szekspir wierniéj się trzymał ducha Petrarki, stałby się największym swego wieku poetą. Cukrowe sonety, wedle słów Meresa w *Palladis Tamia* (Rzeczpospolita Dowcipu 1598), na dwa lata przed Hamletem chodziły po rękach w odpisach. Układając je Szekspir hołdował modzie, naśladował najniepraktyczniejszego z rymopisów. Dziś już ustaliło się zdanie (Koerting: *Petrarca's Leben und Werke.* Leipzig 1878), że Canzoniere Petrarki to najmniéj cenne ze wszystkich dzieł wielkiego humanisty, to kwintesencya galanteryi, przedystylowany dowcip w rozmyślaniach o miłości, bez samego uczucia miłości, rzecz błaha i ckliwa pod względem treści, a zalecająca się tylko swoją artystycznie piękną formą. Nikomu z naszych polskich krytyków nie przyszło na myśl szukać rysów biograficznych dla charakterystyki Mickiewicza w jego sonetach z Laurą, o Laurze, do Laury; dlaczegóż mielibyśmy dochodzić takich-żę rysów w cukrowych sonetach Szekspira? Taki-to już rodzaj, że materyał rzeźbi się na chłodno a nie przetapia, i że można za pathos często wziąć morał kończący się na misternym żarcie, albo na grze słów, albo na grzecznym komplemencie, jak naprzykład w tym sławnym sonecie 66, w którym poeta pragnąłby pokoju śmierci, *bo go męczy: że wszystko na świecie tak przewrotne, że sztuce milczéć każe władza, że nierozum wyrokuje jak doktor o rozsądku, że prawda uchodzi za głupotę, że „dobro“ w kajdanach u stróża „zła“ pod kluczem; chciałby już odejść, ale jakże ma drogiego kochanka osamotnionego porzucić...* Właściwa rodzajowi nieszczerość i umówiona w grzecznościach przesada sprawiają to, że wyjść nie możemy z zawikłań, zwłaszcza jeżeli mierzyć będziemy sonety Szekspira naszą miarą, i brać na seryo i dosłownie wszystkie serdeczne wynurzenia się poety. Z naszego stanowiska jakże dziwnym, niezrozumiałym i nawet potwornym wydać się może przedmiot, któremu poświęcona przeważnie większa część sonetów, oddanie się bez granic młodemu i szlachetnemu przyjacielowi, ubieganie się o jego względy, połączone z zazdrością względem innych, pełzanie, padanie prawie przed nim, nie już pokorne, ale pełne uniżoności w wyrazach, zaznaczających różnice stanu i położeń: *Los mię rzucił na ulicę, ztąd i uliczne moje obyczaje* (*public means—public manners*).... *na moje imię położone*

*piętno* (Sonet 111.). *Twoja miłość i litość zetrą znak, wyciśnięty na mojém czole przez pospolitą opinią; czyż dbam czy mię nazywa kto dobrym czy złym, cały świat oprócz ciebie wydaje mi się martwym* (Son. 112.). *Nie zawsze mogę głośno przyznać się do Ciebie, bo-byś się musiał sromać méj wiadoméj winy, I ty obdarzyć łaską nie możesz mnie przed ludźmi, Bobyś tém imieniu twemu czci umniejszył* (36.).

W sonecie 26. Szekspir uznaje się *wazalem*, a w 57. *niewolnikiem* (*being slave, my sovereign*) swojego bohatéra. Najpiękniejszą perłą pomiędzy temi sonetami jest sonet 29, czuły, strzelisty, w którym powtarza się ten sam motyw. *Gdy upośledzon losem i w oczach ludzi,—Samotny płaczę nad mym stanem wyrzutka* (*my outcast state*), *I w niebo głuche biję próżnemi krzykami.—Na siebie patrzę i dolę mą przeklinam, Gdy pożądam, bym był jak ów bogatszy w nadzieje,—Albo jak ów urodziwy, albo jak ów mający przyjaciół, Gdy zazdroszczę tamtemu sztuki, albo celów innemu, Bo najmniéj mnie zadawalnia co mam najdroższego; I gdy najbardziéj w tych myślach sobą gardzę, Na szczęście wspomnę o Tobie, wtedy znienacka duch mój jak skowronek dźwięczy u niebios proga, Dość było przypomnienia o twojéj drogiéj miłości, ażeby mię tak wzbogacić, Że nie pohandlowałbym się na mój stan z królami.*

Cały wdzięk formy ulotnił się w tém prozaiczném tłómaczeniu, została naga myśl ogrzana uczuciem szczerém czy zmyśloném, zapewne mieszaném, z tych dwóch pierwiastków złożoném, w każdym razie uczuciem szczególniejszém i bardzo delikatném, mającém za przedmiot tajemniczą osobę W. H. *only betterer of these sonnets* (sprawcę ich, jak się wyraził T. Thorp w wydaniu ich r. 1609 sporządzoném pomimo woli autora), zapewne Henryka Wriothesty hrabiego Southamptona, który Szekspira do poufałéj zażyłości z sobą dopuścił. Uczucie to miłości czy przywiązania lub przyjaźni, we wszystkich do Southamptona albo o Southamptonie pisanych sonetach (a tych jest 126 na 154) jest tak wzniosłe, tak delikatnie i szlachetnie stylizowane, że w gruncie musiało być szczere, mimo całą przesadę wyrażenia. Że przesada jest, to pewna; Szekspir pochlebia i kadzi, Szekspir z gracyą ściele się do nóżek swego pryncypała nie tylko, że tak rzekę, w przenośnym sensie przyodziewa liberyą, ale chełpi się, że nosi liberyą swego dobrodzieja, jest jego wiernym uniżonym sługą, otwarcie, wobec wszystkich i najnaturalniéj w świecie. Było-to wówczas w porządku rzeczy, poezya, sztuka, albo służyła wielkim panom za igraszkę i zabawę, albo się wysługiwała u nich w przedpokojach i wdzięczyła się do nich, gdy jéj rzucano z ich stołu okruchy.

I dzisiaj zdarzają się poeci pieczeniarze, poeci dependenci, ale i mało ich i sromają się przyznać, że w takim są stosunku; więc unikają wszelkich pozorów, ażeby nie dać powodu do myślenia, że nie

są dumni, niezależni i równi najpiérwszym i dbają o swoję godność, jeżeli nie człowieczą wogóle, to przynajmniéj profesyonalną. Ta podejrzliwa duma, ta drażliwa do najwyższego stopnia hardość śpiewaka, która dała możność Słowackiemu powiedziéć, że „*płaszcz na moim duchu był niewyżebrany*“ i Kondratowiczowi: „*ja przed nikim nie zniżę ani piersi ni głowy.*“ Są-to uczucia całkiem nowożytne, wyrosłe ledwo może wczora na gruncie równości demokratycznéj i przy warunkach, przy których poezya i wogóle literatura mogły się stać samoistną potęgą i środkami bezpośredniéj władzy i panowania w społeczeństwie zapomocą druku i gazet.

Nie miejmyż za złe Szekspirowi, że tak dumnym nie mógł być, a na obronę jego przytoczmy jeszcze, że wielkaż jest różnica wieków, i położenia, że Anglia Szekspirowska była choć monarchiczna, ale jeszcze mocno feudalna, że poszanowanie dla urodzenia i tytułu było głębiéj w tym kraju niż gdziekolwiek wkorzenione, że ci butni panowie nie zeszli jeszcze w te czasy na dworaków, a nie rzadki z nich za ostre stawienie się i słowa prawdy bez ogródki powiedziane, za ofuknięcie się, za dobycie szpady poszedł do Toweru i na rusztowanie, nakoniec, że to był czas najlepszy Renesansu. Wielcy panowie byli prawie wszyscy znawcy i artyści, więc pospolitowali się z aktorami na scenie i za kulisami, mieli wspólne upodobania, jednako wyrobiony smak, pojęcia i służyli wraz z artystami jednym bóstwom: sztuce i piękności. Poeta z wielkim panem obcowali w sztuce, ale przed światem poeta uznawał wielką różnicę stanu, w wyrazach, których nie trzeba brać dosłownie, jak nie trzeba brać dosłownie wyrazów: najniższy sługa, albo upadam do nóg. Właśnie dlatego, że te wyrazy przesadzone, niepodobna ich używać, jak to czynią zwykle biografowie Szekspira, na dowód, że Szekspir był, nawet doznawszy powodzenia, skarżącym się na los swój i na stan pisarski i aktorski, wyrzutkiem społeczeństwa, paryasem, wstydzącym się stygmatów wypiętnowanych na czole podłą i pogardzoną powszechnie profesyą. Teatr Szekspirowski nie był właściwie narodowym teatrem, to jest takim, któryby obchodził i pociągał do siebie wszystkie stany. Teatr cierpiany był przez władzę królewską, nie lubiany przez kościół i mocno nienawidziany przez kalwińskim duchem przejęte stany średnie, handlarzy, urzędników. Najgorszym nieprzyjacielem teatru była gmina londyńska, która go wycisnęła het poza City na przedmieścia. Ani kobiéta nie występowała na scenie, ani porządna kobiéta ważyła odwiedsię zić teatr bez maski. Widzowie składali się głównie z dwóch piérwiastków: arystokracyi i bardzo mieszanego gminu. Ztąd i to pomieszanie w stylu ulicznego z modnym, wyrafinowanym, i ten duch mocno arystokratyczny, którym ca-

ły repertuar przejęty. Teatra miały powodzenie, zbierały grube pieniądze, liczba ich rosła do 5 do 10; z rozrastaniem się ich powstała nowa klasa widzów, nie uliczna, ale wpływowa: pisarze i krytycy teatralni. Do ich gustu i poglądów powinien był się Szekspir głównie stosować i z niemi się rachować.

Rozkwit sztuki był bardzo krótki, dopóki jéj nie wyparły z życia kwestye i spory teologiczne, zmieniwszy wszystkie warunki istnienia teatru, zrobiwszy go na długi czas niemożebnym. Gdyby żył o kilkadziesiąt lat późniéj, Szekspir znalazłby się między dwoma jednako mu przeciwnemi obozami: gładkim cynizmem kawalerów, podtrzymującym niepopularny despotyzm z bożéj łaski, a ponurym purytanizmem, biorącym wolę ludzką w kluby żelazne, i nie cierpiącym żartu, swobody, wesołego śmiechu. Słusznie zauważył Dowden, że naszemu poecie nie podobna byłoby się rozwinąć, ani jako człowiekowi, ani jako sztukmistrzowi, a chyba tylko wyrzec przekleństwo umierającego Merkucya (R. i J. III, 1: *Bierz licho oba wasze domy! Kaduk ich zabierz!*)

Czasy Szekspira były o wiele od Kromwelowskich lepsze, namiętności teologiczne jeszcze się nie rozogniły, ruch purytański nurtował gdzieś w głębi społeczeństwa, poza obrębem postrzeżeń Szekspira i nawet może poza obrębem jego świadomości. Ci ludzie biblijni, zbawieniem własnych dusz zajęci i stroniący od teatru, musieli mu być całkiem obojętni, on się z niemi nigdzie nie spotykał, ciężaru ich potępienia za swoje zatrudnienie nie doświadczył. Szekspir opierał się głównie o wyższą arystokracyą, ciężar, doświadczanéj przezeń protekcyi od najwykształceńszych z pomiędzy tych magnatów, widocznie mu nie ciężył, czego liczne dowody w sonetach. Do ich grona wcisnąć się nie mógł i nie pragnął. Wszakże mniéj niż gdziekolwiek ta wyższa szlachta była kastą, wyrastała ona z ziemiaństwa, a ziemiaństwo stało dla każdego nabywcy gruntu otworem, i sam Szekspir syt chwały skończył na tém, że stał się dostatnim ziemianinem i nawet szlachcicem herbowym. W rzeczach sztuki, w zamianie myśli autor-aktor stał na równéj stopie z mecenasami sztuki dramatycznéj, na stanowisku, które humorystycznie określał napis na globusie w Southwark: *totus mundus agit histrionem*. Porównajmy z tym napisem dumny ustęp w „Hamlecie“ o aktorach (II. 2): *„oni— to streszczona i krótka kronika czasu. Lepiéj ci mieć zły nagrobek po śmierci, niż złe ich świadectwo za życia.“*

Tracimy więc nadzieję, by zapomocą sonetów znaléść klucz autobiograficzny do Hamleta; nie wiemy, czy przeszedł kiedykolwiek Szekspir, trapiony losem przeciwnym, przez okres czarnéj melancholii; podobnéj do téj, w którą się pogrąża książę duński. Zapewne przebył,

bo to usposobienie do ponurego zwątpienia było już w powietrzu, i zatruwało istnienie wielu szlachetnych jednostek, ażeby się następnie powszechniejszém stawać. Wszakże trudno zaprzeczyć, że wtedy, gdy pisał Hamleta, Szekspir już się zupełnie oddzielił od tego, co wycierpiał i dalekie, blade tylko podobieństwo osobiście przecierpianego wysnuł z utworzonego przez się charakteru, nie mającego nic wspólnego z jego własnym, owszem odznaczającego się chyba rażącemi przeciwieństwy. Pisarz, który sam się w dziełach swoich portretuje, zwykł siebie samego malować w rozmaitych położeniach po razy kilka; ale Hamlet jest jedyny w swoim rodzaju i nie ma żadnych innych osób, któreby miały z nim chociażby odległe podobieństwo familijne. Więc miał zapewne czarne myśli sam Szekspir, ale czarne myśli Hamletowe są ich tak odległém i tak zupełném przerobieniem, że Hamlet nie dostarczy ani jednego pewnego rysu do moralnéj charakterystyki Szekspira.

Taki jest bardzo szczupły, bardzo ubogi i całkiem ujemny rezultat studyów nad biograficznemi danemi i innemi dziełami Szekspira. Lepiéj zaiste przyznać się, że nic nie wiemy o osobie autora, o przymiotach i kolejach jego duszy i składać wszystko, co jest wielkie w jego dziełach, na karb genialnéj jego domyślności, przechodzącéj wszystkie rachuby krytyki, aniżeli jako portret jego podawać obraz z czekolady lub cukru zadowolnionego z siebie filistra, umiarkowanego, powściągliwego, ale ślęczącego jak lichwiarz nad swojemi książkami rachunkowemi, o marnościach świata rozprawiającego tylko na scenie, zresztą ceniącego świat, jego wygódki i honory. *Praktyczność i rachunkowość Szekspira*, jak słusznie uważa Else (222), *stanowić zawsze będą Achillesową piętę w jego charakterze*, i mimo całą masę nagromadzonych dowodów, przebijać się i dobywać na wierzch będzie przypuszczenie o Szekspirze rozhukanym rumaku, o Szekspirze gwałtownym i namiętnym, o huraganach, które przez tę duszę przeszły, zanim się w dziełach odbiły, ale dla nas przepadły, bo nie zostały zanotowane. Lepiéj przyznać się do wielkiéj luki w wiadomości, aniżeli bawić się w wyobrażenia chociaż z faktów wysnute, ale najprawdopodobniéj jednostronne, a więc nieprawdziwe.

Wypada więc nam już całkiem rozstać się z poetą i objąć całe jego dzieło rozważając je odrębnie, jakby dzieło niewiadomego autora, bez dociekania jego osoby, lecz tylko pod względem głównego założenia i budowy dramatu, stanowiącego treść jego właściwości i rozwoju charakterów. Ta analiza zajmie nas późniéj, ustęp zaś ten zamkniemy kilku pobieżnemi, przedwstępnemi uwagami, które potrzebne są, ażeby bez żadnéj już potém przerwy wejść *in medias res*

przystąpić wprost do istoty dzieła odtrąciwszy wszystko, co podrzędne i postronne.

*The tragical History of Hamlet Prince of Denmark* znana była z wydania r. 1604, gdy w 1825 znaleziono a w 1856 uzupełniono ją odszukaniem dopełniającego pierwszy odkryty defektowy egzemplarz wydania z 1603 r. ze wzmianką na tytule, że już ta sztuka wiele razy była grana w Londynie, Oksfordzie i Cambridge'u. Dwa te wydania nie są kopiami z jednegoż oryginału, ale dwoma odrębnemi opracowaniami tegoż przedmiotu. Oba wydania puszczone w obieg nie przez autora, lecz przez rabusiów literackich, bez wiedzy zapewne autora, bardzo niedbale. Szekspir we wszystkich sztukach dbał tylko o sceniczność, najmniéj o wykończenie dla druku. Hamlet się wyrabiał i przerabiał, zwłaszcza że jest w nim mnóstwo czasowych i miejscowych wstawek i wtrętów; wydawcy wszystko z rozmaitych odpisów zebrali do jednéj kupy. Trudno przypuścić, żeby w jednéj i téjże sztuce, w jedném i témże przedstawieniu autor uciekał się do tych samych efektów, innemi słowami powtarzanych, jak naprzykład III, 2: H. „Czy widzisz waćpan tam chmurę z kształtu podobną do wielbłąda. —P. W rzeczy saméj istny wielbłąd.—H. Zdaje mi się, że jest podobniejsza do łasicy.—P. Prawda, z boku podobniejsza do łasicy.—H. Alboraczéj do wieloryba.—P. Bardzo podobna do wieloryba".—Obok tego w V, 2:—„H. do Ozryka: zrób pan właściwy użytek z czapki, czapka stworzona na głowę,—O. Dziękuję w. ks. mości, bardzo dziś gorąco.—H. Gdzież tam! bardzo zimno, wiatr z północy!—O. W istocie, M. książę, zimno jakoś.—H. Podobno jednak masz W. Pan słuszność, parno jest i gorąco, tylko moje usposobienie.. O. Nadzwyczajnie M. książe, tak parno, że wypowiedziéć tego nie umiem".

Szekspir nie był nigdy pisarzem tendencyjnym, któryby w pewnym celu politycznym wyzyskiwał urzędowy czy narodowy patryotyzm i przepalał go na sceniczne efekta; wszakże pisał on dla sceny i wprowadzał mnóstwo rzeczy czasowych, okolicznościowych, co najżywiéj poruszały owoczesnych słuchaczy, a w nas budzą zajęcie tylko archeologiczne, albo nawet nie budzą żadnego, bo są całkiem niezrozumiałe. Autorowie dramatyczni rywalizowali i jako *irritabile genus* przeszywali się epigramatami; taki Poloniusz albo inny dworak mogli być portretami z natury. W Hamlecie więcéj niż w jakiéjkolwiek innéj sztuce jest takich wstawek luźnych, wstawek przyklejonych tylko, a nie wplecionych w pasmo akcyi. Tu należą Wittemberga, zkąd przybył Horacy, i Paryż, dokąd jedzie Laertes, rady Poloniusza, technika sztuki fechtowania, traktat deklamacyi scenicznéj w 2 sc. aktu III o chamach, którzy przeherodowali samego Heroda, o najemnikach natury, co fabrykują niby ludzkość, tak ją

bezecnie naśladują i w 2 sc. aktu II złośliwa wycieczka przeciw spółzawodniczącym z tragikami dziecięcym teatrom, temi indyczętami, które piszczą jak opętane i za to odbierają oklaski.

Hamlet już miał szerokie powodzenie, kiedy go drukowano w 1603 r. Trzeba więc datę jego napisania odsunąć w każdym razie do czasów po otwarciu Globu (1595) bo są alluzye w Hamlecie o Herkulesie, co świat dźwiga, to jest do emblematycznago posągu na teatrze; a nawet po 1598, bo w tym roku wyliczając słynne dzieła miodopłynnego Szekspira w długim już ich szeregu Meres nie wspomina całkiem o Hamlecie. Można więc z Dowdenem razem i przeciwko Elsemu, skracającemu okres twórczości Szekspira do 1604 roku, wziąć za datę powstania Hamleta rok zamykający XVI stulecie 1600.

Na rok przedtém, 1599 umarł w Londynie z głodu największy przed Szekspirem poeta epik Edmund Spencer, autor *Fairy Queen.* W kilka miesięcy późniéj (8 lutego 1601 r.) protektorowie Szekspira Essex i Southampton zamknięci zostali do Toweru, zkąd pierwszy z nich poszedł wprost na rusztowanie. Już był naówczas Szekspir wedle słów zazdrosnych Greena w jego pośmiertnych rękopismach wydanych 1592 r., ,,*Trzęsisceną*", „*Totumfackim*" panującym w teatrze, już był napisał „Sen nocy letniéj" i „Kupca Weneckiego" i swoje „Historye" z dziejów Anglii, z których część w gwałtownym stylu Marlowe'a. Co więcéj już istniał stworzony przezeń dramat miłości „Romeo i Julia". Bezpośrednio za Hamletem podążył inny wielki dramat Szekspira, którego równoczesne prawie porodzenie tłómaczy się chyba prawem kojarzenia się przeciwieństw—„Juliusz Cezar" właściwie nie Cezar lecz Brutus.

Trudno wymyślić dwa bardziéj rażące kontrasty, jak książę duński, nie mogący się zdobyć na czyn, potrzebujący potężnego napięcia woli w pewnym kierunku i szlachetny Rzymianin, niewolnik idei, opętany przez wyrozumowaną zasadę, który zginie, ale się nie ugnie i ani na włos od niéj nie odstąpi, chociażby przyszło spełnić czyn najokropniejszy. A jednak dwa tak różne bliźniaki noszą jednakie niby rodzime znamiona, powtarzające się obrazy, wyrazy, pomysły. W I akcie Hamleta student Horacy opowiada, z powodu zjawienia się ducha na Elsynorskim tarasie, o strasznych dziwach, które poprzedziły śmierć Cezara. Z tego pączka rozwinęła się cała 3 scena I aktu „Juliusza Cezara" (rozmowa Cycerona z Kaską, Kaski z Kasyuszem o prognostykach przed zgonem Cezara. *He was a man*—słowa Hamleta o ojcu (I, 2. „*był-to człowiek jednėm słowem, drugiego takiego nie zobaczę*") prawie dosłownie powtórzone stanowią charakterystykę Brutusa (w końcowéj scenie J. Cezara) w ustach Antoniusza (*Chara-*

*kter jego był słodki i wszelkie żywioły tak w nim były skojarzone, że się natura mogła nim poszczycić i rzec całemu światu: oto człowiek This was a man*").

Krytycy francuscy upodobali szczególniéj porównanie Hamleta z Orestesem w tragedyi greckiéj, Getrudy z Klitemnestrą—podobieństwo bardzo dalekie, tylko w sytuacyach. Zestawienie ich nadaje się do uwydatnienia niezmierzonéj różnicy między teatrem starożytnym i nowożytnym. Obie sceny stoją na całkiem odmiennych gruntach. Teatr grecki, jeżeli wyłączymy z niego Eurypidesa, który z formy do niego tylko należy, a z ducha bardzo się zbliża do nowożytnych, sfera, w któréj się odbywa działanie, jest nadludzka, ścierają się wielkie społeczne czy religijne zasady bezwzględne; działają, walczą i giną wprawdzie ludzie, właściwie zaś to nie ludzie, lecz uosobione zasady, bohaterowie, których w umysłach ludu wyrzeźbiła tradycya, tak iż autorowi nie wypadło prawie nic dodać do przekazanych podaniem rysów charakteru. Każden z nich pełni nie oglądając się na nic swoję zasadę, może być święcie okrutny, nieludzko sprawiedliwy, ale się nie waha, działa bez wyrzutu sumienia, chociaż cierpi i umiera... Nad kolejami zmiennemi żywota ludzkiego unosi się w górze nieubłagane, niezgruntowane, ale beznamiętne *fatum*.

Jakże całkiem inne są założenia i warunki dramatu nowożytnego! Z pozaświata, z poza obłoków kolizya przenosi się na ziemię i osadzona jako na właściwym tronie w sercu człowieka pojedyńczego czy zbiorowego. Szekspir celuje w téj psychologii osobnika; są inni, którzy dotarli do psychologii osób zbiorowych, mas, społeczeństw, narodów i malują krwawe dzieje rozdartych pojedyńczych serc na tle takich-że pokrwawionych serc narodów i społeczeństw. W tragedyi starożytnéj na pierwszym planie stało działanie, tu ono spada na podrzędne stanowisko, a wysuwają się naprzód węzły charakterów, wyrobione przez całe poprzednie życie, sploty nałogów myślenia, czucia, działania. Nigdzie może nie oddano genialniéj tego przeniesienia tragizmu w głąb piersi ludzkiéj, tego osadzenia dramatu, jako na osi, na wewnętrznych walkach ludzkich żądz, pobudek, namiętności, jak w tym znanym monologu Brutusa przed pojawieniem się spiskowców, (II, 1) *„Między spełnieniem okrutnego czynu, A pierwszém jego wszczepieniem się w umysł, wszystko pośrednie jest jako fantazmat lub sen ohydny, duch wtedy odbywa walną naradę z wszystkiemi władzami. I całe wnętrzne jestestwo człowieka, jakoby małe królestwo zostaje W stanie chorobnym buntu*". Buntownik, rokoszanin — to myśl o okropnym czynie; *duch-geniusz* człowieka opiera się, zagaja sejm z władz umysłu, ale rokosz przybywa, wzbiera, burzy do góry nogami wszystko w małém królestwie, aż stawszy się maniakiem, opę-

tanym przez zmorę okrutnego czynu, człowiek pełni to, czemu dał się opanować. Największe mistrzostwo Szekspira, jak słusznie zauważył Goethe, polega na tém właśnie, że geneza czynu odbywa się w każdéj z jego osób, jak ruch kół i sprężyn w zegarku, któremu się przypatrujemy przez szklaną kopertę. Najmniéj może tragiczną ze wszystkich jego figur, a najbardziéj zbliżoną do starożytnego teatru, jest ta cnotliwa, prawie bez walki wewnątrz, z uczucia obowiązku mordująca postać Brutusa.

Jeżeli główne pole akcyi dramatycznéj przeniesione zostało w głąb piersi ludzkiéj *wolnéj i odpowiedzialnéj*, więc: *po pierwsze*, dramat snuje się byle z czego, nie trzeba wielkich dziejowych postaci, nawet poważnéj treści, lada jaki wypadek, baśń pierwsza lepsza, może posłużyć za ramę do poruszającéj nas do głębi tragedyi; *powtóre*, zadaniu nowożytnego dramatu może odpowiadać sam rozwój charakteru, przy bardzo małém działaniu lub może zgoła bez działania. Ztąd wynika możliwość nawet dramatu, jeżeli się tak można wyrazić, o ujemném działaniu, tragicznych losów człowieka, który tém zawinia, że kiedy trzeba działać, on nie działa, lecz rozmyśla i przez to wahanie się nieczynne więcéj złego i zgubnych następstw sprowadza, aniżeli energiczna zbrodnia. Największa tragedya sceny nowożytnéj, Hamlet, jest właśnie sztuką, osnutą na takiém niedziałaniu. Goethe w swojém studyum nad Hamletem w „Wilhelmie Mejstrze“, które służy za początek i punkt wyjścia krytyki, powiada: „Hamlet przedstawia się jako dusza, na którą *włożony wielki czyn, a temu czynowi ona nie w stanie podołać; jako człowiek, od którego wymaga się nie rzeczy niemożliwéj wogóle, ale niemożliwéj odnośnie do niego, ze względu na jego organizacyą*. Mamy do czynienia niby z *żołędzią, którą posadzono w kosztownym wazoniku dla kwiatów przeznaczonym. Dąb się rozrasta, puszcza korzenie i rozsadza naczynie*“. Jest-to określenie treści Hamleta bardzo trafne, bardzo jednak niepełne i niewystarczające, jak to niebawem postaram się wytłómaczyć.

*W. Spasowicz.*

*(d. n.).*

---

# Dwa listy Tadeusza Kościuszki z 1799 i 1812 r.

(do druku podał Teodor Wierzbowski).

Ponieważ każdy nowy szczegół, odnoszący się do życia lub działalności wielkich mężów, niejednego interesować może, sądzę przeto, że ogłoszenie dwóch nieznanych listów, takiéj osobistości, jak Tadeusz Kościuszko, wdzięcznie przyjętém będzie, témbardziéj że pierwszy z tych listów nie jest bez pewnego historycznego znaczenia.

List ten przepisałem z oryginału (podpis tylko na nim własną ręką Kościuszki) w Iindrzychowym Hradcu (Neuhaus), w południowych Czechach, gdzie się znajduje w bogatym dosyć zbiorze autografów posiadaczy téj miejscowości — hrabiów Czerninów; o jego pochodzeniu wiadomém jest tylko to, że przed laty kilkudziesięciu kupiony został na publicznéj licytacyi w Paryżu. Adresu list nie ma.

Drugi z podanych niżéj listów jest autografem, t. j. cały pisany ręką autora; daty na nim nie ma, wskazuje ją jednak przybliżenie pieczątka pocztowa czerwoną farbą wyciśnięta na téj stronie co i adres: „6 Septembre 1812"; na przeciwnéj adresowi (według tego, jak list do zapieczętowania był złożony) stronie, znajduje się druga pieczątka pocztowa z liczbą „73" i nazwiskiem pod spodem, z którego jednak tylko litery: „..mour" odczytać dzisiaj można. List ten do niedawna był w posiadaniu p. H. Menozzi, podbibliotekarza senatu Królestwa Włoskiego, w Rzymie, nabyty przez niego wraz z innemi papierami niewiadomo od kogo, obecnie zaś jest własnością p. Jana Smorczewskiego ze Zdannego (w pow. Krasnostawskim. gub. Lubelskiéj).

Pisownia obu listów, w niektórych miejscach niezupełnie prawidłowa, oddaną jest wiernie.

## I.

Citoyen President!

J'ai l'honneur de Vous communiquer la léttre que m'a ecrite l'Envoyé Extraordinaire de la République Helvetique, le Citoyen

Jenner, sur l'obstacle qui s'oppose a la prompte formation du Corps Polonais en Helvetie.

Vous y verrez, Citoyen President, que le retard ne provient nulment de la part du gouvernement Helvetique et que méme les Hélvetiens sentent trop bien l'avantage de la formation du Corps dont il sagit, pour ne point desirer d'y contribuer en ce qui peut dependre deux. Comme je ne doute pas qu e les motifs qui avoient decidé le Directoire Executif de la Republique Française à adopter la mesure, qui lui a été proposée a cet éffet, n'ont cessis de subsister dans toute leur force, j'ai l'honneur de lui reiterer mes instances à ce qu'il veuille bien en accelerer l'execution. C'est le desir le plus ardent des Militaires Polonais, que devoir cesser la trop penible attente ou ils se trouvent sans pouvoir combattre en faveure de la Cause à la quelle le patriotisme leur a commandé de se dévouer.

Salut et Respect

Paris 12 Floreal a^e 7 *T. Kościuszko.*

(1 Maja 1799).

II.

Mon cher Mr Molineri!

Une fiebre de quelques jours m'a empeché d'avoir l'honneur de vous repondre. Je vous remercie pour l'adresse de la Princesse Carignan que vous avez eu la bonté de m' envoyer, mais comme elle s'est chargée elle même de me l'envoyer, je l'atteind avec impatience. Vous serez aimable, si vous accompliser votre promesse de venir nous voir. Recevez en attendant mes sentimens d'estime et de ma consideration distinguée.

*T. Kościuszko.*

Mille compliments de la part
de Mr et de Madame Zeltner.
Mille chose aussi a notre bon Senateur.

Adres: a Monsieur Monsieur Molinery a Paris
rue Cerutie chez le Senateur Gregori.

# ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
## I WRAŻENIA LITERACKIE.

*Maximilian Kantecki:* Das Testament des Boleslaw Schiefmund. Seniorat und Primogenitur in Polen. Inaugural-Dissertation. Posen. Chocieszyński 1880. str. 106.

Ostatnie rozporządzenie Bolesława Krzywoustego wywołało w dziełach historyków naszych ogólny głos potępienia. Zarzucano dzielnemu zdobywcy Pomorza, że „wyjąwszy z pod władzy monarchicznéj silniejsze zawsze pod jedną głową królestwo, podał je na kilkuwieczną różnorodnych książąt szarpaninę, na wojny domowe a z nich wynikłe Szląska oderwanie i sił narodowych osłabienie“ (Nar. V. 294); — zarzucano mu, że dzieląc Polskę na cztéry części „uległ dziwnemu jakiemuś obłąkaniu“ (Lelewel: Dzieła XIII. 84). Przebrzmiało bez echa rozumne zapatrywanie Roepella (296), który w testamencie Bolesława spostrzegł właśnie dążność ku wzmocnieniu państwa; a dawne zapatrywanie przechodząc z książki do książki, stało się nawyczką, którą trudno było wyplenić bez narażenia się na zarzut krytyki. Przed cztérema dopiéro laty wystąpił prof. Małecki ze sprawiedliwém ocenieniem rozporządzenia Krzywoustego („Przewod. nauk. i literacki“ 1876). W pracy téj wykazał prof. Małecki, że podział państwa między synów—to nie wynalazek Bolesława Krzywoustego, ale zasada silnie w całéj Słowiańszczyźnie zakorzeniona,— że zaprowadzając *seniorat*, chciał umierający książę właśnie zapobiedz ewentualnościom, których doświadczyli jego przodkowie, a które i jemu także dały się we znaki. Separatyzm, jaki się po wypędzeniu Władysława między książętami wytworzył, nie był testamentem spowodowany, ale był dziełem rewolucyi.

Stanowisko, jakie zajął prof. Małecki w téj ważnéj kwestyi, jest zupełnie zgodném z zapatrywaniem Roepella; myśl jednak, którą czcigodny profesor wrocławski mimochodem niejako rzucił, znalazła gruntowne uzasadnienie w pracy prof. Małeckiego. I zdaje nam się, że sprawa ta byłaby raz na zawsze załatwioną, gdyby uczony ten

badacz wyniki, do których przez analogią doszedł t. j. przez zbadanie zasad prawa następstwa w innych krajach europejskich, gdyby te wyniki utwierdził był także dowodami z piérwszéj niejako ręki zaczerpniętemi t. j. z kroniki Wincentego, jako pierwotnego źródła dla téj kwestyi. To pominięcie współczesnego prawie świadka w pracy prof. Małeckiego spowodowało prawdopodobnie d-ra Kanteckiego do nowego zbadania myśli zawartéj w testamencie Bolesława Krzywoustego. Opierając się jednak wyłącznie na martwéj literze źródła i nie uwzględniając analogicznych stosunków we współczesnych dziejach krajów sąsiednich i wogóle europejskich, doszedł autor téj pracy do rezultatu wprawdzie zupełnie nowego, gdyż stwarza prawo następstwa zwane primogeniturą, niepomny na gruntowny wywód prof. Małeckiego, że prawo publiczne wieku XII nie śniło jeszcze o takiéj zasadzie następstwa. O ile nam wiadomo, zostało prawo primogenitury po raz piérwszy w złotéj buli Karola IV zdefiniowane.

Pierwszy rozdział pracy d-ra Kanteckiego nie nastręcza nam żadnych uwag. Że się ludy słowiańskie we wszystkich krajach dzieliły na rody, że na ich czele stali naczelnicy (starejszina), którzy na podstawie senioratu do władzy téj dochodzili— dowodzi autor na podstawie najstarszych źródeł, w których się przechowały wiadomości o Słowiańszczyźnie, a które się dziwnie zgadzają ze stosunkami, jakie po dziś dzień istnieją u Słowian w południowéj Europie mieszkających (szczególniéj u Serbów). We wszystkich krajach słowiańskich istniało paragium t. j. podział kraju między wszystkich synów i we wszystkich tych krajach, nie wyłączając i Polski, przechodziła władza zwierzchnia na zasadzie senioratu na najstarszego członka rodziny. Autor skrzętnie zebrał wszystkie szczegóły kwestyi téj dotyczące we własnych i obcych przechowane źródłach, wytwarza na podstawie tych danych z największą konsekwencyą wnioski a jasność rozumowania i bystrość, z jaką interpretuje źródła, świadczą o dobréj szkole i przynoszą chlubę autorowi. Największą trudność nastręczyły autorowi źródła polskie, ale i te trudności szczęśliwie pokonane zostały. Zupełnie nowy i bardzo przekonywający dowód istnienia senioratu w Polsce za Krzywoustego wydobył autor z bałamutnéj kroniki węgiersko-polskiéj (str. 70). Zdaje nam się, że dr. Kantecki jest piérwszym historykiem, który w téj mętnéj wodzie ułowił rybę; dotychczas bowiem była ta kronika źródłem najdziwaczniejszych domysłów i hipotez, które żadnego dodatniego nie wydały rezultatu.

W drugiéj części swéj pracy rozważa autor (na podstawie kroniki Wincentego, Baszka i szląsko-polskiéj), jakie zmiany zaprowadził Bolesław ostatniém swém rozporządzeniem. Piérwsza i bardzo za-

sadnicza zmiana w stosunkach państwowych nastąpiła z powodu przeniesienia stolicy z Gniezna do Krakowa i zawarowania każdemu księciu naczelnemu dzielnicy krakowskiéj. Drugiém a zarazem najważniejszém następstwem testamentu było zdaniem autora *zniesienie senioratu i ustanowienie prawa primogenitury*. Ten właśnie rezultat badań autora tak nowy a tak ważny spowodował nas do głębszego zbadania prawa następstwa z tych źródeł, na których się także dr. Kantecki opiera.

Nie nasza wina, że na samém czele zaznaczyć musimy odmienne nasze zapatrywanie na źródła, na których autor oparł swoję pracę. Dr. Kantecki przypuszcza bowiem istnienie dwóch źródeł, z których treść testamentu przeszła do znanych nam kronik: z źródła małopolskiego czerpał Wincenty *i Boguchwał*; na źródle szląskiém oparł się autor kroniki polskiéj. Uzasadnienia tak ważnego przypuszczenia autor nie podaje. Tyle tylko o tych nieznanych dwóch pomnikach dowiadujemy się od autora, że źródło małopolskie jest wcześniejsze i wiarogodniejsze od szląskiego, które niezawiśle od pierwszego ale późniéj powstało. Na szczęście usuwa autor, kilka wierszy niżéj, owo źródło małopolskie twierdzeniem, że *Boguchwał wypisywał z Wincentego*, który żyjąc „w najściślejszéj przyjaźni“ z Kazimierzem, najmłodszym synem Bolesława, mógł jaknajdokładniejszą miéć wiadomość o rozporządzeniu Krzywoustego. Godzimy się chętnie na to zdanie, pozwalamy sobie zarazem dodać, że tak Boguchwał jak i kronika polska polega w tych ustępach, które w pracy autora zostały zużytkowane — na kronice Wincentego. Boguchwał wypisuje go prawie dosłownie, zaś kronika polska jest tylko stylistyczną przeróbką Wincentego przeznaczoną dla tych, dla których Wincenty albo zbyt był nużącym lub, co prawdopodobniejsza,—niezrozumiałym. W kronice polskiéj są wprawdzie wtręty (uwidocznione w wydaniu prof. Ćwiklińskiego) ale nie mają one z naszą sprawą nic wspólnego, i należy takowe uważać jako ułamki odrębnego źródła, którego treścią były losy Piotra Własta, a które, zdaniem naszém, jest starszém aniżeli kronika polska. Przy sposobności porównamy te ustępy z kroniki polskiéj, którym autor wielką przypisuje wagę, z odnośnemi ustępami kroniki Wincentego, dla przekonania autora, o słuszności zapatrywania naszego na to źródło szląskie.

Uznawszy kronikę Wincentego jako wspólne źródło kroniki Boguchwała i kroniki szląsko-polskiéj, pozwolimy sobie przytoczyć brzmienie testamentu z tego pierwotnego źródła:... Qui (Boleslaus) dum fatale munus a se iam exigi sentiret, testamentales mandat conscribi codicillos. In quibus et avitarum vices virtutum et *regni successionem quatuor filiis legat*, certos tetrarchiarum limites disterminans eatenus,

ut penes maiorem natu et Cracoviensis provinciae principatus et auctoritas resideret principandi. De quo, si quid humanitus obtigisset, *semper aetatis maioritas et primogeniturae ratio litem successionis decideret.*“ (...Ten gdy czuł, że nieuniknionéj konieczności zbliża się godzina, testament sporządzić kazał, w którym i przodków cnoty i królestwa rządy czterem synom w spadku zostawia; określając pewne granice tym krajom tak, że przy najstarszym ziemia krakowska i zwierzchnictwo nad innemi pozostało; a w przypadku śmierci jego, by zawsze starszeństwo wieku i wzgląd pierworodu spór rozstrzygały...).

Na podstawie powyższych słów dowodzi dr. Kantecki, że Bolesław zaprowadził w Polsce prawo primogenitury w tém znaczeniu, jak je dzisiaj pojmujemy t. j. że naczelną władzę wraz z dzielnicą krakowską wyznaczył *tylko* Władysławowi i jego następcom na podstawie prawa starszeństwa. Uzasadnienie tego twierdzenia znajduje autor:

1) W następujących słowach Kroniki polskiéj (MP. III. 629) „seniori Silesiam et ad praeessendum aliis Cracoviam disponit, et *post illum seniori semper ducum Cracoviae gubernacula consignat.* Zdanie nasze o téj kronice wypowiedzieliśmy powyżéj; dowód zatém oparty na tém pochodném a zatém drugorzędném źródle nie może być rozstrzygającym. Przypuśćmy jednak, że słowa te rzeczywiście z owego szląskiego pochodzą źródła, o którém wyżéj była mowa, że zatém autor kroniki szląskiéj niezawisłym jest w tym ustępie od Wincentego:—nawet w takim razie dowód d-ra Kanteckiego nie może być stanowczym, gdyż słowa powyższe dwojakiéj dozwalają interpretacyi, odpowiednio do tego czy przecinek położymy po wyrazie „ducum“ lub „Cracoviae.“ Zdanie to można zatém w dwojaki rozumiéć sposób:

a) seniori semper ducum Cracoviae, gubernacula consignat.

b) seniori semper ducum, Cracoviae gubernacula consignat.

Dr. Kantecki przyjmuje pierwszą interpretacyą z tego powodu, że w Kronice polskiéj nigdy nie znachodzi podobnego przestawiania wyrazów jak „Cracoviae gubernacula,“ że autor téj kroniki powiedziałby „gubernacula Cracoviae.“ Na niekorzyść takiéj interpretacyi moglibyśmy z téj kroniki wiele przytoczyć przykładów; ale ważniejszym dowodem mylności takowéj jest fakt, że tylko *jeden był książę krakowski* i w żadnéj kronice ani nawet w Kronice polskiéj nie znajdzie autor tytułu „dux Cracoviae dla młodszych braci naczelnego władcy.

Wyraz „ducum“ odnosi się zatém do braci Władysława. Z powyższych słów Kroniki polskiéj wynika, że Bolesław wyznaczył po

śmierci Władysława najstarszemu z książąt dzielnicę krakowską, nie zaś, że najstarszemu z książąt krakowskich poruczał naczelną władzę w Polsce. W tym więc ustępie Kroniki polskiéj tkwi zasada senioratu nie zaś primogenitury.

2) W księdze III r. 30 opowiada Wincenty o pretensyach, z jakiemi wystąpili synowie zmarłego Władysława wobec naczelnego księcia Bolesława. Ten odpowiada Władysławowicom: „renunciastis hac in parte *iuri vestro*,“ wygnańcy zaś oświadczają: „renunciasse nos fatemur, sed expoliatos, sed coactos, ideoque ius restitutionis nobis competere.“ O jakich prawach tu mowa? Autor nie znajduje w Wincentym odpowiedzi na to pytanie, ale nie trudno zdaniem jego domyślić się, że Władysławowice żądają zwrotu naczelnéj władzy w Polsce. Gdy uzupełnimy cytatę podaną przez autora zdaniem poprzedzającém takową, przekonamy się, że synowie Władysława nie mieli tak wygórowanych żądań od stryja swego. Bolesław przywoławszy ich do ojczyzny z wygnania „darował“ im Szląsk— „quia vero quasdam illius provinciae urbes ad abundantiorem cautelam dominationi exceperat, *multorum ea res malorum peperit occasionem et fovit incendium* — (poczém następuje ustęp podany przez dr. Kanteckiego). Więc nie uroszczenia synów Władysława do władzy naczelnéj wywołałaby niechęć wygnańców ale *darowizna* Szląska, do którego „non beneficii titulo sed haeredibus utpote legitimis“ rościli sobie prawo, oraz uszczuplenie dziedzicznego ich kraju przez Bolesława. Wszystkie zatém wnioski, które autor wysnuł z powodu téj mylnie pojętéj renuncyacyi, są również mylne.

3) Jeden z najważniejszych dowodów autora polega znowu na Kronice polskiéj, któréj autor, zdaniem d-ra Kanteckiego, nie miał żadnego celu, aby rzecz fałszywie przedstawiać i owszem najdokładniejszą miał wiadomość o rozporządzeniu Bolesława. Zobaczymy jednak, że i w tych ustępach jest ta kronika tylko lichą kopią z kroniki Wincentego. W Kronice polskiéj czytamy: Pro quibus (filiis Wladislai) *non bello imperator sed precibus instat*, ut si non *monarchia*, saltem aliqua terrae porcione donentur.“ Piérwsze zdanie tego ustępu odpowiada słowom Wincentego (str. 372): *non minis insistit imperator, sed precibus, non armis instat sed gratia*, ut sicut in fratre delinquente districtus exstitit, sic in reliquiis eius non impius appareat, ut saltem ipsius orphanorum ipsum misereat. Widzimy przeto, że u Wincentego prosi cesarz Bolesława o litość dla sierot, w Kronice zaś polskiéj ni mniéj, ni więcéj tylko—o oddanie monarchii, a w najgorszym razie o jaką część ziemi polskiéj. Stanowczo możemy twierdzić, że to odmienne przedstawienie sprawy w Kronice polskiéj nie polega na lepszéj informacyi, ale na mylném zrozumieniu Wincentego, który

na téj saméj stronie (372) o kilka wierszy wyżéj wspomina o staraniach cesarza podjętych dla *Władysława „ut fratrem non regno sed patrimonii consortio restituat* i z tego właśnie zdania Wincentego powstało owo drugie zdanie z przytoczonego ustępu Kroniki polskiéj. W Wincentym zdanie to jest zupełnie na miejscu, gdyż cesarz mógł błagać Bolesława o zwrócenie Władysławowi naczelnéj władzy, że zaś tego nie wymagał dla synów jego, wynika jasno z powyższego ustępu kroniki Wincentego.

Drugi ustęp z Kroniki polskiéj, prawie rozstrzygający zdaniem autora rzecz, opiewa: „Tandem hii duo fratres Boleslaus et Mesico *municipia praeparantes* a patruo *monarchiam* repetunt. Quos cum *iuri primogeniturae abrenunciasse* allegaret (scil. Boleslaus) multociens cum illis pugnavit sed minus valuit. Słowa te polegają na tym ustępie kroniki Wincentego, któryśmy pod 2) streścili. Zbytnia rozwlekłość tego ustępu nie pozwala nam podać go w dosłownem brzmieniu. W ustępie tym *nie ma mowy o zwróceniu synom Władysława monarchii na mocy prawa primogenitury*, ale o zwróceniu im *całego* Szląska nie z tytułu darowizny, ale „utpote haeredibus legitimis successione legitima dictam sibi accessisse *provinciam* (a więc nie „monarchiam“). Odpowiedź Bolesława Kędzierzawego znana nam już jest z drugiego ustępu. Opowiadanie Kroniki polskiéj z tego także powodu jest mylne, że nie z bronią w ręku (*municipia praeparantes*) wystąpili z żądaniami swemi, gdyż według Wincentego dopiéro po niekorzystnéj dla nich odpowiedzi pochwycili za broń (*occupant illi municipia*). Widzimy zatém, że całe zwroty z kroniki Wincentego plączą się w Kronice polskiéj, ale mimo to zasadnicza zachodzi w przedstawieniu rzeczy różnica. Na równi obu tych źródeł traktować nie można, gdyż zależność Kroniki polskiéj od Wincentego właśnie w tych ustępach zaprzeczyć się nie da; trudniejszą jest rzeczą wyrozumiéć, co spowodowało autora Kroniki polskiéj do odstąpienia od swego pierwowzoru w téj ważnéj kwestyi. Możnaby przypuszczać, że autor téj kroniki „mala fide“ zbłądził, że ustęp ten tendencyjnie sfałszował, gdyż pisał swoję kronikę w czasie, kiedy rządy Henryka Brodatego i syna jego pod Lignicą poległego żywo jeszcze tkwiły w pamięci książąt szląskich, w czasie, kiedy Henryk Probus IV wystąpił jawnie z pretensyami do naczelnéj władzy w Polsce — zdawałoby się zatém, że nasz kronikarz jest rzecznikiem tych uroszczeń książąt szląskich. Ale takiemu rozumieniu rzeczy sprzeciwiają się te ustępy Kroniki polskiéj, które najwyraźniéj świadczą o ustanowieniu senioratu, o których niżéj wspomnę.

To, cośmy powiedzieli o stosunku Kroniki polskiéj do Wincentego, dotyczy także kroniki książąt polskich, z tą tylko różnicą, że

autor téj kroniki (żyjący przy końcu XIV wieku) kompiluje z Wincentego i Kroniki polskiéj, o czém pobieżne porównanie przytoczonego przez autora (str. 94) ustępu z temi źródłami łatwo przekonać może.

4) Gdy po śmierci Kazimierza zeszli się panowie polscy, aby nowego wybrać księcia, wystąpił biskup krakowski Pełka z mową, w którėj stara się usunąć z pod dyskusyi kwestyą wyboru, poczém wyjaśnia różnicę między prawem wolnego wyboru a prawem następstwa. Pierwsze przestrzega największą wolność w narodzie, prawo zaś następstwa – najściślejszą konieczność prawa; pierwsze wyklucza niepełnoletnich, drugie ani niemowląt, ani pogrobowców nawet nie pomija. Dr. Kantecki widzi w téj definicyi jasny dowód istnienia prawa primogenitury w Polsce, my zaś dostrzegamy w tych słowach zwykłą tylko u Wincentego chęć popisywania się znajomością prawa; że zaś powyższa definicya żywcem prawie wyjęta jest z prawa rzymskiego, wykazał Janowski a za nim Zeissberg (Archiv f. oesterr. Geschichtsquellen, tom XLII str. 101); a ponieważ zostaje w sprzeczności z rozporządzeniem Bolesława („maior natu“, „*semper* aetatis maioritas“), nie może być przeto przyjęta jako dowód istnienia zasady primogenitury w Polsce.

5) Autor przystępuje następnie do krytycznego rozbioru tych ustępów kroniki Wincentego, które „pozornie“ sprzeciwiają się jego wynikom. W jednym z tych ustępów mówi Wincenty o potwierdzeniu Kazimierza przez Aleksandra III w posiadaniu władzy naczelnéj ...divino cuius (Alexandri III) oraculo principatus Casimiro confirmatur: ne paterna illi voluntas ullum pariat praeiudicium, qua cautum fuerat, ut *penes maiorem natu* principandi resideret auctoritas, ut in principatu litem successionis ratio primogeniturae dirimeret“. Autor rozumie ustęp ten tak, że papież przeniósł zwierzchnictwo z linii Władysława na Kazimierza. Takiéj jednak interpretacyi nie dopuszcza przebieg wypadków, które to pismo papieskie spowodowały, a które w słowach „penes maiorem natu“ *tylko Mieszka* dozwalają upatrywać — nie dopuszcza także fakt, że oprócz linii Władysława istniały jeszcze dwie inne linie, które na podstawie zasady primogenitury (jeżeli tę zasadę tak pojmiemy, że można całe linie lub też pojedyńczych członków według potrzeby usuwać), mogły sobie większe do władzy naczelnéj rościć prawo aniżeli Kazimierz, a jednak o uroszczeniach takich wcale się z Wincentego nie dowiadujemy. Najlepszy jednak komentarz do tego ustępu podaje sam Pełka w dalszym ciągu swéj mowy, zalecającéj wybór Leszka: Nec impedit avita constitutio qua cautum erat, *ut semper penes maiorem natu sit principandi auctoritas*, quia per papam Alexandrum et per Fredericum imperatorem, qui ius habent et condendi et abrogandi iura, prorsus est abrogata, quando

ab utraque, *superstite seniore, scilicet Mescone,* in eodem esset principatu Casimirus et constitutus et confirmatus". Dla autora jest ten ustęp późniejszą interpolacyą, dla nas zaś bardzo ważnym dowodem, że *papież przeniósł seniorat z Mieszka na Kazimierza.* Twierdzenie zatém autora, że bullą papieską władza naczelna z linii Władysława na Kazimierza przeniesioną została — jest mylne.

Po śmierci Bolesława Kędzierzawego, który (jak udowodniliśmy) nie na podstawie zrzeczenia się praw do władzy naczelnéj, ale jako najstarszy z rodu Krzywoustego objął rządy w Krakowie, miałby na zasadzie primogenitury najstarszy syn Bolesława IV (Leszek) niewątpliwie prawo do objęcia tronu wielkoksiążęcego. Dr. Kantecki nie zaprzecza mu tego prawa, ale mimo to usuwa go od następstwa z powodu chorobliwego stanu zdrowia, niepomny, że według definicyi Pełki (którą powyżéj przytoczyliśmy, a która zdaniem autora najwyraźniéj ustanowienia primogenitury dowodzi), nawet dzieci w żywocie matki nie mogą być od następstwa wykluczone; niepomny także na to, że ów Leszek nie musiał w chwili śmierci ojca (1173) tak bardzo być chorym, skoro dopiero 12 lat późniéj życie zakończył. Bolesław IV umierając zapisał synowi swemu swoje dziedziczne posiadłości Mazowsze i Kujawy; władzą zaś naczelną nie mógł rozporządzać, gdyż istniało prawo ojcowskie, które żadnéj wątpliwości co do następstwa nie nastręczało. Objęcie naczelnéj władzy przez Mieszka Starego nie nastąpiło ani z powodu chorobliwego stanu zdrowia Leszka, ani z pogwałceniem praw jego. Dowodem następujące słowa Wincentego (str. 378) „Defuncto itaque Boleslao, successit frater eius tertius Mesco, *qui sicut erat natu fratri proximus, sic non interpellata regni successione continuus*", co znaczy, że Mieszko wstąpił po bracie jako najstarszy po nim syn Bolesława Krzywoustego z *powodu niezaszłéj zmiany w prawie następstwa.* Temi samemi słowy wspomina o następstwie Mieszka Kronika polska, z czego wynika, że ustęp téj kroniki, któryśmy pod 3 rozbierali, polega na mylném zrozumieniu Wincentego. Uprawnienie zasady senioratu w testamencie Bolesława Krzywoustego jest więc niewątpliwém. Uzupełniamy nasze zapatrywanie jeszcze jednym dowodem. W kodeksie królewieckim Kroniki polskiéj znajdujemy kilka ustępów z żywota Piotra Własta. Żywot ten zdaniem naszém napisany został wcześniéj aniżeli Kronika polska. W jednym z tych ustępów karci Agnieszka męża swego Władysława z powodu jego niedołężności i wyraża się między innemi tak: licet pater tuus ipso vivente disposuisset, quod *senior deberet dominus aliorum esse*" (MP. III, 362). Z przedstawienia naszego wynika, że wyrażenia Wincentego „semper aetatis maioritas", „natu major", „ius (ratio) primogeniturae" mają jedno i to samo znaczenie, a gdzie

je Wincenty razem używa, czyni to tylko dla dobitniejszego oznaczenia zasady starszeństwa (nie w linii Władysława ale w całym rodzie Bolesława Krzywoustego). W tém téż znaczeniu używa Wincenty (II, 28) wyrazu „primogenitura“ w liście Bolesława Krzywoustego do Zbigniewa: „decebat enim... in rei publicae patrociniis, eum praecipue principari, qui *primogeniturae praeeminet principatu*“. Nie zawadzi dodać, że słowa te skreślone są na podstawie kroniki Galla II, 34, „quoniam quidem frater, *cum sis maior aetate*, parque beneficio regnique divisione...“ Za króla Leszka II, ożenionego z siostrą Juliusza Cezara prawo primogenitury z pewnością nie było znane, a mimo to twierdzi Wincenty (I, 19) że ojciec zjedzonego przez myszy Popiela także na zasadzie primogenitury nad braćmi swymi panował. Jeśli zatém wyraz ten oznaczał w Wincentym pierwszeństwo urodzenia w obszerniejszém znaczeniu, nie dziwi nas wcale, jeśli się w téj saméj kronice Mieszko tak często na to prawo powołuje, gdyż rzeczywiście był w stosunku do Kazimierza „primogenitus“.

Gdy się umierającego króla pytano, dlaczego najmłodszemu synowi żadnéj nie zapisał dzielnicy, przepowiedzieć miał Bolesław, że Kazimierz wszystkiemi kiedyś zawładnie częściami Polski. Jeśli Bolesław rzeczywiście wyrzekł te słowa, w takim razie, godząc się na wynik dra Kanteckiego, musielibyśmy przypuścić, że umierający monarcha nie miał dokładnego pojęcia o tém, co w swym testamencie rozporządził. Ustanawiając prawo primogenitury, nie mógł robić Kazimierzowi nadziei, że kiedyś do zwierzchniéj dojdzie władzy (i nie mógł téż Wincenty takiéj przepowiedni zmyślać, jak przypuszcza autor), nierozważnemi temi słowy zniszczyłby to, co miało być niewzruszoną podstawą szczęścia Polski, co miało raz na zawsze ład i spokój w państwie zaprowadzić. Ustanawiając zaś seniorat, uczynił Bolesław wszystkich swych synów spadkobiercami państwa (*regni successionem* quatuor filiis legat), a tém samém mógł przypuszczać, że i małe pacholę przeżyje swych braci i zasłuży kiedyś na nazwę Sprawiedliwego.

W końcu zwracamy uwagę autora na bullę papieża Innocentego III z r. 1210 (Pieksiński: Kodeks Małopolski, I, 12), która niezbicie dowodzi mylności zapatrywań jego. W bulli téj czytamy: „....quod cum Boleslaus.... principalem civitatem Cracovie maiori natu reservans instituit, ut *semper qui esset de ipsius genere prior natu*, civitatem teneret eandem, ita, quod si maior decederet vel cederet iuri suo, *qui post eum* **de toto genere** *maior esset*, ipsius civitatis possessionem intraret“. Dowód zdaje mi się niezbity.

Lwów 25 października 1880 r. *Dr. Aleksander Semkowicz.*

---

*Gwara lasowska* w okolicy Tarnobrzega. Studyum dyalektologiczne Szymona Matusiaka. (Osobne odbicie z *Rozpraw Wydz. fil. Ak. Um.* VIII). Kraków 1880, 8-o, str. 109.

Praca ta obejmuje spostrzeżenia odnoszące się do języka, jakim mówi lud w trzech wsiach w okolicy Tarnobrzega, a mianowicie: w Stalach, Żupawie i Jeziorku. Dzieli się ona na trzy główne części: Pierwsza obejmuje głosownią, druga naukę o formach wraz z charakterystyką ogólną gwary lasowskiéj, trzecia zaś—wzory języka i słownik. Głosownia zawiera spostrzeżenia, tyczące się samogłosek bardzo obfite, bo prawie połowę téj pracy stanowiące, i spółgłosek, znacznie szczuplejsze. Z nauki o formach znajdujemy uwagi poczynione o tematach słownych i imiennych, o deklinacyi rzeczownikowéj, zaimkowéj i złożonéj i o konjugacyi. Po charakterystyce ogólnéj następuje krótki ustęp o analogii, jaka na utworzenie się wielu form w téj gwarze wpływ miała. Wreszcie ostatnia część zawiera pięć małych powieści ludu tego z prozy, trzy ustępy z poezyi i słownik obejmujący wyrazy już-to w języku ogólnie polskim nieznane, już-to znane, lecz w innném znaczeniu w gwarze lasowskiéj używane.

Co krok spotyka się tu materyał nader ciekawy. Tak np. spółgłoski nosowe *m*, *n*, a nawet *j* zastępujące *ń* wywierają taki wpływ na poprzedzające je *a* otwarte, że to zawsze przechodzi w *a*$^e$. W gwarze téj mówią więc: ma$^e$ma, pa$^e$nna, dyja$^e$ment, pa$^e$nceř, ja$^e$ma, via$^e$no, za$^e$na$^e$my, pa$^e$jstwo, (państwo) i t. d. Wogóle między samogłoskami ma tu stanowczą przewagę dźwięk *e*, bo nawet *i* (*y*) wymawia się jak *e* lub *é* np. lelijá (co słyszałem téż u górali tatrzańskich), nosiéł, miełość i t. p. W deklinacyi rzeczowników, przymiotników i zaimków w końcówce narzędnika l. mn. *-ami* wymawiają w téj gwarze *i* końcowe jak *y*, więc: matka$^e$my, témy, grubémy i t. d. Żaden prawie wyraz nie zaczyna się od samogłoski, bo zwykle przed *a* lub *e* początkowém stoi lekki przydech *h*, przed *o* słychać dźwięk wargowy *u*, a przed *i* spółgłoskę *j*. Samogłoski ścieśnione występują tu w całéj pełni, a zwłaszcza *á*. Szczególniejszą uwagę zwracają na się samogłoski nosowe. Nader widoczną jest tu utrata dźwięku nosowego; *ę* bowiem wymawia się po największéj części jak *e*, lub téż z pewnym odcieniem jak *ë* lub wreszcie niekiedy jak *o* lub *ó*, np. biernik l. p. rybe, duse, 1 osoba l. p. cz. ter. niese, myje; dziesiëć, chrabino, vógiel i t. p. Podobnie *ą* wymawiają Stalowcy jak *ó*, *o*, *om* a niekiedy zaś także jak *e*. Wobec téj utraty nosówek nie potrzeba *om* uważać za wyjątek, bo znajdujemy je wyłącznie prawie w narzędniku l. p. r. żeńskiego rzeczowników, zaimków i przymiotników, na co, jak słusznie autor twierdzi, wpływało poczucie końcówki *m* w tym samym przypadku r. męskiego i nijakiego. W spółgłoskach między

innemi ciekawe jest to, że *h* wymawiają tam jak *ch*, co w Krakowie i w mowie wykształconych daje się słyszeć np. chałas, *ch* zaś jak *k*, np. kvała, kvast i t. p. Spółgłoska *l* przechodzi niekiedy w *n*, np. zon (żął), zēna (żęła), dźvignon, dźvignena (dźwignął—ęła); podobnie jak *ń* na *j* np. cha^e^jba (hańba), gij (giń), jelej (jeleń) i t. p. W urabianiu tematów imiesł. bier. cz. prz. nie przechodzi w téj gwarze *e* na *o* po miękkich, jak w języku ogólnym, lecz pozostaje np. vařeny, sadzeny, nastrojeny, zakvaseny. Imiesłów cz. ter. na *cy* (t. j. właściwa forma żeńska) bywa używany także jako forma r. żeńskiéj, np. vracała z jarmarku spiewajōcy. Rzeczowniki żeńskie, zakończone w ogólnym języku polskim na miękką spółgłoskę, kończą się tu na *ja*, np. kaźnia, baśnia, vaśnia i t. p. Widocznie ukazuje się tu dążenie do końcówki *ja* mianow. l. p. r. żeńskiego, bo nawet pierw. na—ŭ r. ż. ją mają np. cerkwia. W deklinacyi uderza nas jeszcze dość wielka obfitość form staropolskich jak np. dopełn. l. p. syje, duse, cerkwie, krwie, macierze. Dochowała się również dość obficie liczba podwójna, tak w swojém znaczeniu właściwém, jak téż zamiast liczby mnogiéj. Wskutek zamiany *y* na *e* mamy tu w deklinacyi zaimków i przymiotników w miejscowniku i narzędniku końcówki: *-ém*, *-émy*, *-éch* bez odróżnienia rodzaju męskiego od nijakiego. W konjugacyi ważne jest zachowanie się sufiksu *-lъ* w imiesłowie czynnym cz. przeszł. w urabianiu czasu przeszłego: już-to ginie jak w przeważnéj części tematów spółgłoskowych klasy I np. rzegem (rzekłem), pluodem (plotłem), niuozem (niosłem), marem (marłem); już-to zamienia się na *n*, np. piônem sie (piąłem się), dźwignionem (dźwignąłem); już-to pozostaje, jak: brałem, uobułem, dziełałem, kwalełem. Takie znikanie jednak ma miejsce zwykle tylko w 3 pierwszych osobach l. p. r. m., zresztą zaś wracają takie formy jak w języku ogólnym.

Wogóle zebrano tu bardzo wiele nader ciekawego materyału, lecz nie wszystko dość jasno przedstawiono. Tak np. nie wiemy dokładnie, jak słowa ogólno-polskie na *-ywać* w téj gwarze się kończą. Raz bowiem dowiadujemy się, że kończą się one tak jak w staropolskim na *-ować* (§. 20), to znowu na *-éwać* (§. 68), to wreszcie na *-ować* i *-éwać* (§. 44, 3). W każdym razie domyślamy się, że obie te końcówki panują, ciekawe-by jednak było, gdyby wykazano, jaka grupa słów ma każdą z tych końcówek i która z nich przeważa. Sądzę, że w zakończeniu *-éwać* należy tylko upatrywać dążenie do głosu *e*, charakteryzujące po części tę gwarę, że więc nowopolskie *-ywać* przeszło tu tak na *-éwać*, jak zakończenie w deklinacyi zaimków i przymiotników *-ym*, *-ymi*, *-ych* na *-ém*, *-émi*, *-éch*. Dział samogłosek nosowych jest dość obszerny, jakkolwiek mniéj dobrze opracowany. Dzieli tu autor spostrzeżenia swe na następujące działy:

1) starosł. ѧ, ogól. pol. ę gw. lasow. ĕ (§. 46).
2) „ ѫ, „ „ ę „ „ ĕ (§. 47).
3) „ ѫ, „ „ ą „ „ ô (§. 48), o (§. 49), om (§. 50) ô (§. 51).
4) „ ѧ, „ „ ą „ „ ô (§. 52, 53).
5) „ ѫ, „ „ ą „ „ ô (§. 54).

Podział ten jest zupełnie chybiony, bo nie jest ściśle systematyczny. Piątéj kategoryi tu żadnéj nie ma, bo ta się już mieści w trzeciéj. W oznaczaniu dźwięków ogólnie polskich jest wielka niedokładność, bo starosłowieńskiemu ѧ odpowiada w polskim języku ę i ą z poprzedzającą zmiękczoną, co możnaby oznaczyć przez ję i ją. Wogóle w podziale tym brak jasnego, naprzód ułożonego planu; dlatego-téż i w szczegółach jest zamieszanie. Jakkolwiek podstawą porównania jest tu język starosłowieński i ogólny polski, to jednak niekonsekwencyą spotykamy na każdym prawie kroku. Tak np. ponieważ starosłowieńskiemu ѧ (pols. ję) ma w téj gwarze odpowiadać jĕ, przeto znajdujemy w téj kategoryi rozmaite zjawiska, w których występuje nawet takie jĕ, które tego ѧ starosłowieńskiego refleksem nie jest. Tyczy się to imiesłowu teraź. spievajĕcy, chuodzĕcy, muoviĕcy i t. p. które odpowiadają og. polskim: śpiewając, chodząc, mówiąc. Ponieważ zaś w nich są refleksy starosłow. ѫ, więc fałszywie wliczone są między refleksy starosłowieńskiego ѧ (pols. ję str. 25). Dlatego jeśli je przestawimy na właściwe im miejsce, dowiemy się, że polskim imiesłowom na -ąc odpowiadają w gwarze lasowskiéj formy na -ôcy i -ĕcy, że więc starosł. ѫ ma w téj gwarze nietylko refleks ô, lecz także i ĕ, o czém jednak żadnéj wzmianki w odnośném miejscu nie ma. Podobnież niekonsekwentne jest umieszczenie form imiesł. biern. cz. przeszł. słów klasy 2 (str. 25) t. j. urobionych zapomocą sufiksu -Nѫ- między te, które odpowiadają starosłow. ѧ (og. pols. ję), daléj form jak: za'ńe (za nią), jô lub jam (ją) (str. 30) między te, które odpowiadają starosłowieńskiemu ѫ (og. pols. ę). Refleksy samogłosek nosowych w wyrazach: vnôtře (wnętrze), vôgel (węgiel), pôd (pęd), uobrôb'ac (obrębiać) (§. 48) nie odpowiadają starosłowieńskiemu ѫ=(og. pols. ą), lecz starosł. ѫ=(og. pols. ę). I tu pogląd nasz na samogłoski nosowe w téj gwarze wzbogaca się, bo dowiadujemy się, że prócz ĕ odpowiada starosłowieńskiemu ѫ (og. pol. ę) także ô, o czém jednak nam autor nigdzie nie wspomina. To samo zjawisko spotykamy nietylko w pierwiastkach lecz i w wyrazach, a mianowicie w formach biernika l. p. r. ż. chrab'ino, kśĕzno. Jakkolwiek te w gwarze lasowskiéj mają w mian. l. p. á (ścieśnione), to jednak nie można ich zaliczać między te przykłady, które mają w bierniku l. p. refleks starosł. ѫ= (og. pols. ą) jak to w rozprawie téj (§. 48) niewłaściwie znajdujemy, zwłaszcza gdy zważymy, że w og. polskim biernik nie brzmi: hrabiną,

lecz hrabinę. Potwierdza to samo wyraz *łabôdz* (łabędź), który również nie wiedzieć jakim sposobem dostał się miedzy refleksy starosłowieńskiego Ѫ=(og. pols. ą jako natężenie brzmienia samogłoski ę) (str. 54). Pomiędzy szczegółami zwraca jeszcze na się uwagę forma před buřo (§. 49, 1) którą mojém zdaniem w żaden sposób za biernik poczytać nie można. Trudno nawet rozstrzygnąć (!), jaka to jest forma, wobec tego, że narzędnik jest před buřom (§. 50, 6). Po rozpatrzeniu więc szczegółów nabraliśmy innego nieco poglądu na stan samogłosek nosowych w gwarze lasowskiéj. Uwidoczni nam go następujące zestawienie:

1) starosłow. Ѧ, = og. pols. ję, odpowiada w gw. las. jë,
2) „ Ѫ, = „ ę, „ „ „ ë; ô, o,
3) „ Ѧ, = „ ją, „ „ „ jô,
4) „ Ѫ, = „ ą, „ „ „ ô, o, om; ë.

I w innych działach téj rozprawy powtarza się często niekonsekwencya, jakiéj już kilka widzieliśmy przykładów. Tak np. wobec reguły, że *ch* przechodzi na *k* (str. 42) jak w wyrazie: kvilka zaraz na następnéj stronicy znajdujemy „chvilka“. Niezrozumiałe i niedokładne wydaje mi się prawidło: „rs, rś, rš zlewa się w ř przed suf. -stwo; lekařtvo (lekarstwo), pisařstwo i t. p. (§. 59). Sądziłbym, jeślim zrozumiał, o co tu chodzi, że lepiéj-by było tak rzecz tę wyrazić: r przed sufiksem -ьstwo przechodzi na ř, przy czém następna spółgłoska zostaje, np. pisařstvo, lub téż ginie np. lekařtvo. W §. 62 czytamy, że s (og. pols. š) przechodzi przed l i l' na ś. Po przykładach jak: śli, śl'achcic, ślam, cytuje autor śtuka. Czyż tu ś stoi przed l? W wyrazie *chto* nie *t*, lecz *kt* przeszło na *cht*, w wyrazie zaś *cztery* nie tkwi *ct* lecz *čt*, i to właśnie przeszło na *śt* (§. 66). W ustępie o urabianiu tematów słownych (§. 67) pomieszane są czasowniki trzech rozmaitych kategoryj, a to klasy III, z tematem infin. na -ı-є, klasy IV, a) z tém inf. na -и- i IV b) z tematem inf. na ѣ. Skutki tego widać zaraz na następnéj stronicy (§. 70), gdzie jakkolwiek autor twierdzi, że w § 67 słowa przytoczone tworzą imiesłów czynny cz. przeszł. jak w ogól. pols. np. zieleniał, zardzewiał, i t. p. to jednak nie napisał, że będzie téż forma čczał, jakkolwiek čczyć znajdujemy téż w §. 67. Możnaby tu jeszcze zwrócić uwagę, że rzeczownik *wól* nie jest pierwot. tematem męskim na -a, lecz na -u; rzeczowniki zaś męskie jak starosta liczą się zwykle do tematów na -ā (żeńskich), bo tak samo jak te się odmieniają.

Jakikolwiek mianownik l. p. tkwi w formie: kuosema (str. 63) czy kosa, czy kłos, trudno go wliczać do tematów na -ja męskich: krajema, kuoniema, uojcema. Formę: bratuowie (§. 88) uważam za mianownik l. mn. od rzeczownika brat, a nie od zbiorow. bracia. Końcówki mianow. l. mn. *-owie* nie można nigdy uważać za pierwotną

(§. 89) w tematach na *-a* męskich, choćby te były imionami zwierząt; wiadomo bowiem, że końcówka ta jest pierwotnie właściwą tematom męskim na *-u*. Przykład „nie *chcôcy* go pchnônem (§. 106) wcale nie popiera tego, że imiesłów czynny cz. ter. na -cy używa się w znaczeniu r. żeń. Zresztą konjugacya znacznie lepiéj i dokładniéj jest opracowana niż deklinacya. Dziwna jednak, że, jakkolwiek autor przyjął podział *Leskien'a*, to przecież niekiedy ucieka się do podziału Miklosić (§. 20). Wogóle wreszcie nasuwa się tu spostrzeżenie, że autor téj zresztą bardzo cennéj rozprawy nadto ściśle trzymał się pierwowzoru w badaniu dyalektologii polskiéj, t. j. rozprawy prof. L. Malinowskiego „Ueber die oppelnsche Mundart." Ponieważ zaś miał pod ręką materyał innego rodzaju, bardzo często nie wiedział, gdzie przyłączyć takie zjawiska, o jakich we wspomnianéj rozprawie wzmianki być nie mogło.

Mimo to wszystko zasługuje autor na zupełne uznanie, iż wziął się do badania dyalektologii polskiéj, w któréj wiele jeszcze cennych i nieznanych kryje się rzeczy, mogących niejednę zawiłą kwestyą gramatyczną wyjaśnić. Największą zaletą téj rozprawy jest bogaty materyał, najdokładniéj przez autora przedstawiony pisownią organiczną i sumienne jego opracowanie. Że autor mógł wiernie każde zjawisko zapisać, dowodzi to, iż językiem lasowskim sam dzielnie gwarzy; że chciał to zrobić i że mu się jak najlepiéj udało, widzimy na pięknym owocu pracy jego. *Jan Hanusz.*

---

*O niektórych błędach w teoryi Darwina. Napisał Dr. A. Chałupczyński. Warszawa* 1880. 8. str. 95.

Aby ocenić jak najtreściwiéj, ile zaważy książka, o któréj mówimy w liście zarzutów przeciw darwinizmowi podnoszonych, dosyć będzie, jak się nam zdaje, powiedzieć, że nie opiera się ona zgoła na żadnych spostrzeżeniach, nie przytacza żadnych prawie faktów; przeciw ciężkiéj artyleryi Darwina autor występuje nader lekko uzbrojony. W poglądach jego fakta zdają się podrzędną bardzo rolę odgrywać; jest on stronnikiem ewolucyi czyli stopniowego rozwoju gatunków, ale jedynie ze względu na logiczność wywodów (str. 5), nie zaś dlatego, aby teorya ta miała być udowodnioną przez niezbite fakta. W naukach wszakże przyrodzonych fakta stanowią jedyną logikę przekonywającą, bo tam nawet, gdzie śmiały polot genialnéj myśli jednym ruchem tworzy olbrzymią hipotezę ciążenia powszechnego lub teoryą światła, to wartość im nadaje jedynie to, że obejmują ogół faktów znanych i nowo poznawanych, a najdrobniejszy fakt w sprzeczności z niemi będący już do rozsypania ich w gruzy wystarcza.

Autor, jake-śmy już wspomnieli, jest gorącym stronnikiem postępowego rozwoju istot, ale zaciętym przeciwnikiem dróg, któremi Darwin zagadkę tego rozwoju stara się wytłómaczyć. t. j. doboru naturalnego i walki o byt.

Już na str. 11 „streszczając wszystkie uwagi dotyczące przyczyn transformizmu“, autor mówi, że nie można przyjmować ani naturalnego doboru ani walki o byt w granicach, w jakich je Darwin wprowadzić usiłuje; gdy się jednak pytamy dlaczego, — odpowiedzi na to nie znajdujemy. Zdaje się, że autor zanadto wielką wagę przywiązuje do saméj nazwy, która niejako każe się domyślać świadomego wyboru ze strony roślin i zwierząt, ale taktyka ta sięga zaledwie nazwy nie rzeczy, a to tém dziwniejsza, że autor sam przytacza słowa Darwina, objaśniające, że nazwa ta ma tylko takie znaczenie, jak każdy inny wyraz techniczny w nauce używany. W filozofii, któréj treść więcéj jest oderwaną, łatwiéj pojmujemy spory o nazwy, ale w naukach przyrodzonych oddawna już nazwiska stanowią sprawy tak podrzędne, że zgoła pojąć nie można walk o nie toczonych. Dlatego nie rozumiemy téż, co autor zyskuje, gdy w miejsce zmienności gatunków stawia *płodozmian postępowy ustrojów* (str. 24), która-to nazwa ma niby dosadniéj streszczać zawartą w niéj myśl. Nie sądzę, aby wyrażenie to było szczęśliwém, ale choćby nawet autor obmyślił nazwisko stokroć lepsze, to zakresu wiedzy naszéj ani o krok nie posunie.

Dowody, które Darwin czerpie z doboru sztucznego w hodowli zwierząt domowych na poparcie doboru naturalnego, autora nie przekonywują zgoła, „bo nie znajdujemy ani zmiany ani przybytku żadnego narzędzia lub części ciała, któraby mogła byt swój zawdzięczać usiłowaniom hodowcy“ (str. 17). Ale w takim razie, nie jest-to odparcie jedynie tylko doboru naturalnego: przeciwnik transformizmu daleko lepiéj widziéć-by mógł w tém dowód przeciw postępowemu rozwojowi istot wogóle.

Jako argument przeciw doborowi naturalnemu przytacza p. Ch. przykład rozwoju języków i rozdziału ich na gałęzie wspólnego szczepu, a które nie utworzyły się przez dobór naturalny i walkę o byt (str. 10). Ale o powstawaniu języków mniéj jeszcze wiemy, niż o rozwoju gatunkow, i znów mamy tu do czynienia z taktyką niezwykłą, tłómaczenia rzeczy nieznanéj inną mniéj jeszcze znaną. Również nieuzasadnione wydają się zarzuty przeciw doborowi naturalnemu, z powodu, że nie obejmuje całości zjawisk w sposób dosyć ogólny (str. 25). Pod tym względem, przyznać należy, przesadni stronnicy darwinizmu złudzili opinią publiczną, porównywając go do Newtonowéj teoryi ciążenia; darwinizm bowiem ma na celu jedynie wykazanie mechani

cznego przyczynowego związku między zjawiskami biologicznemi, a nie kusi się zgoła o ich ostateczne wytłómaczenie, któreby się musiało oprzéć jedynie na podstawach fizycznych i chemicznych.

Ale i p. Ch. nie sięga tak daleko, lubo sądzi, że zagadkę rozwoju gatunków rozwiązuje stanowczo, stawiając jako jéj ostateczną przyczynę wrodzoną dążność materyi do stopniowego postępu. Pewną rolę odgrywać mogła wprawdzie i emigracya gatunków i hibrydyzm t. j. mieszanie się płciowe różnych gatunków (str. 7), ale główny nacisk w różnych miejscach kładzie autor na owę wrodzoną postępowość materyi (str. 15). Ale postęp ten nie jest nieograniczonym: „Zmiany w rozwoju nieorganicznych tworów przez chemizm szły we wzrastającym postępie, a potém wyczerpane ustąpiły miejsca wzrostowi organicznych tworów i przyjęły kierunek zwrotny"; tak samo „postęp tych ostatnich szedł również co raz wyżéj... aż do nastania.. człowieka, poczém znów wstecz cofać się zaczął... ustępując miejsca postępowemu rozwojowi duszy, a następnie i ducha ludzkiego" (str. 11).

Samorodztwo nie ulega dla autora żadnéj wątpliwości, lubo rozumie się dowodów na poparcie nie przytacza żadnych, bo ich nauka dotąd nie posiada. Pogląd ten zresztą jest logicznym wynikiem postępowego rozwoju istot, ale nie pojmujemy, dlaczego ma ono być objawem „sił powinowactwa chemicznego osłabionych w działaniu" (str. 12), gdy przecież zdawaćby się raczéj mogło, że tu nastąpić musiało jakieś wzmożenie chemiczne. Ale dziwniejsze jeszcze jest zapatrywanie się autora na wytworzenie się zwierząt z roślin. Formę przejściową stanowić mają zwierzokrewy, a „cała ta metamorfoza i metastaza stała się skutkiem losowego wypadku przez nacisk wód morskich na rośliny w powietrzu żyjące, które były dość silne, aby pod tym naciskiem nie zniszczéć.... Kondensacya czyli zwarcie sie materyi, a razem koncentracya czyli spotęgowanie sił roślinnych na mniejszéj przestrzeni wytworzyły ów ruch falowy ramion czy całego ciała zwierzokrzewów, który niegdyś za czasów życia roślinnego zależnym był od zmiany dobowéj sił słońca, a późniéj stał się siłą własną osobników żywych" (str. 69). Jeżeli to kto zrozumie, to z pewnością nie naturalista; dla zoologa zresztą zwierzokrzewy są istotami, stosunkowo wysoko na drabinie jestestw stojącemi, a wspólności życia roślinnego i zwierzęcego szukać należy o wiele niżéj, śród tworów daleko prostszych; ale cóż kiedy „pasorzyty i wymoczki" mają być istotami rozpadowemi, wynikiem tworzenia się form coraz bardziéj wstecznych (str. 19). Wsteczności téj jednak, która w pomysłach autora znaczną odgrywa rolę, nauka wogóle nie zna, wyjąwszy chyba tego szczegółu, że w istotach żywych napotykamy tak ważne organy

szczątkowe czyli zarodkowe, lub téż tego rzadkiego dosyć zjawiska, które właściwie w nauce nosi nazwę *zmienności wstecznéj*, a polega na tém, że zwierzę dojrzałe uorganizowane jest prościéj niż było w stanie młodzieńczym, co ma miejsce u niektórych skorupiaków, u wąsopławów np., ale te właśnie zjawiska zgadzają się wybornie z wymogami teoryi doboru naturalnego.

Zarzuty autora wciąż obracają się w tém kółku, jakoby dobór naturalny wymagał świadomości ze strony istot mu ulegających, dlatego jako istotne odkrycie naukowe wprowadza on pojęcie *przymusu naturalnego* (str. 25), który zmusza zwierzęta do stosowania się do nowych warunków, w których je wypadki losowe umieszczają; w gruncie rzeczy jest-to jednak tylko zmiana nazwy, zgoła istoty rzeczy nie sięgająca.

Tak bez mozołu załatwiwszy się z doborem naturalnym, autor mniéj jeszcze znajduje trudu w odparciu walki o byt. Jeżeli na jednym gruncie rośliny jedne rosną bujniéj niż inne, to za tém nie idzie, mówi autor, aby to się dziać miało kosztem słabszych, „ale poprostu dla tych samych powodów, dla jakich ciało cięższe... wypycha z pewnéj przestrzeni ciała płynne lub gazowe (str. 48), t. j. jak to objaśnia dopiero na str. 62, z „powodu nieprzenikliwości przestrzeni i mechanicznéj do życia przeszkody“. I tu, jak w całéj książce, autor toczy spór o nazwę a nie o rzecz, i znów jako ważne odkrycie stawia w miejsce walki o byt *troskę o byt*, która podsyca działalność umysłową zwierząt i czynnościami ich kieruje. Nie jest-to wszakże zgoła nowe pojęcie, bo i walka o byt powołuje działalność intellektualną tworów, w których rozmysł już istnieje.

Cały dobytek, jaki do nauki wprowadza, polega na obmyśleniu kilku nazw, które wiedzy naszéj zgoła nie bogacą, i śmiało zwrócić przeciw niemu można słowa, które on przeciw Darwinowi stawia, „że nie grzeszy on zbyt ścisłą konsekwencyą w tworzeniu praw i hipotez, które go niewiele kosztują“. Kto zoologa chce pokonać, to, mówiąc słowami poety, winien niezawodnie po kraju zoologa wędrować, ale w dziedzinę tę p. Ch. zgoła się nie wdziera, — broń jego prochem tylko nabita i przeciwnika zgoła nie razi.

Ale, jak się zdaje, i panu Ch., jak innym naszym przeciwdarwinistom nie tyle idzie o naukę, co o etyczne względy, które na niwie téj rozplenić się mogą. Darwin bowiem pierwszy „pokusił się o obalenie wszystkich ideałów“ praktycznéj moralności (str. 82). Wprawdzie nie zajmuje on stanowiska samotnego, Anglia oddawna już grozi moralności publicznéj teoryami naukowemi, które mają być jakoby obrazem jéj życia społecznego i politycznego. A początek wszystkich tych klęsk mieści się—trudno uwierzyć! w bolesném py-

taniu nieszczęśliwego księcia duńskiego — „być albo nie być“ (str. 22). Rodowód odtąd ciągnie się bez przerwy: Szekspir spłodził Newtona (prawo ciążenia—uzmysłowienie zaborczości angielskiéj) i Malthusa, a Malthus spłodził Darwina i Buckle'a i bracią ich — determinizm i niepoczytalność wszelkich karygodnych czynów, prawo pojawiania się występków w stałych procentach a nakoniec i *self-help* (str. 84), bo i to do czarnych plam czasów naszych ma należéć...

Ale snać wszystkie te zamachy na moralność społeczną nie są dosyć silne, bo sam autor przyznaje że zwierzęca walka o byt coraz więcéj przez sumienie i moralność potępianą bywa (str. 94). A to jedno wystarcza zapewne do uspokojenia zatrwożonéj opinii publicznéj, wskazuje bowiem, że wszelkie teorye naukowe, jakiekolwiek noszą nazwiska, nie zdołają zachwiać porządkiem społecznym, choćby lekkomyślność lub zła wola stawiała je jako sztandar, osłaniający niecne pobudki i czyny.

Niezupełna wszędzie jasność i niesystematyczny układ książki pana Ch. czytanie jéj znacznie utrudniają.

*S. Kramsztyk.*

---

Wacław Potocki: *Wojna Chocimska* poemat w 10 częściach — Merkuryusz nowy.— Pełna. — Peryody. — Wiersze drobne. Warszawa, r. 1880. Nakład S. Lewentala.

Jeśliby z ilości przedruków dzieł epoki dawniejszéj można było wnosić o usposobieniu ogółu naszéj publiczności względem literatury ubiegłych stuleci, o stopniu, w jakim rozpowszechnioną jest znajomość jéj dziejów i rozbudzone pragnienie poznania pism dawnych poetów, dziejopisów i publicystów w całości nie zaś drobnych wyjątkach;— sąd nasz musiałby wypaść bardzo niekorzystnie.

Od chwili zawieszenia wydawnictwa Turowskiego a więc od lat dwudziestu, pomimo niewątpliwego podniesienia się poziomu umysłowego, rozszerzenia koła kupujących i czytających książki, wzmożenia się ruchu wydawniczego, zajęcie dla pomników dawniejszéj literatury nietylko nie zwiększyło się, ale zmalało i znikło prawie zupełnie. Nie będziemy tu wyszukiwać wszystkich przyczyn tego zjawiska, lecz poprzestaniemy na zaznaczeniu najważniejszéj i najgłębszéj niezawodnie, jaką stanowi przewrót dokonany w ciągu ostatnich lat piętnastu w naszych pojęciach i uczuciach z jednéj a stosunkach społecznych z drugiéj strony.

Sądy nasze o przeszłości zmieniają się z każdém pokoleniem; występujące w nich różnice zależą nietylko od czasu — bo średnia długość istnienia następujących po sobie pokoleń jest niemal jedna i ta sama, ile od sumy przekształceń w umysłowym, społecznym

i ekonomicznym ustroju narodu, od stopnia, w jakim nowe pojęcia, dążenia, obyczaje rozszerzyły się i utrwaliły śród niego. Gdy w poprzednich wiekach potrzeba było pracy kilku pokoleń dla sprowadzenia wybitniejszych zmian w przekonaniach, uczuciach lub stosunkach warstw społecznych, dziś jedno dziesięciolecie sprowadza więcéj różnic niż dawniéj półwieku. Przed r. 1860 przesadzano u nas pochwałami i uwielbieniem nietylko dla pierwszorzędnych pisarzów ale i drugorzędnych talentów jak np. Miaskowski, Grochowski, Twardowski; dziś natomiast wystąpiło lekceważenie i obojętność, wypływające zarówno z nieznajomości dawniejszéj literatury jak i z pesymistycznego zapatrywania się na całą naszę przeszłość, skutkiem którego wydaje się nam ona coraz bardziéj obcą, niezrozumiałą, obojętną.

Ojcowie nasi w swém dzieciństwie i młodości stykali się jeszcze bezpośrednio z ostatniém pokoleniem Rzeczypospolitéj; miłość i cześć dla przeszłości była u nich naturalnym wynikiem wdzięczności i przywiązania dla tych, co ich pielęgnowali, co kształcili im serca i umysły. Tradycye przeszłości powiązały się u nich nierozerwalnemi węzły ze wspomnieniami młodości; nic więc dziwnego, iż z taką miłością przedstawiali i idealizowali tę przeszłość; w obrazach kreślonych przez poetów i powieściopisarzy odnajdywali oni postacie, pojęcia, obyczaje łączące się z najszczęśliwszemi chwilami wiosny ich życia. Dawna literatura była dla nich tém droższą i zrozumialszą, że sami kształcili się na tworach Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego, Karpińskiego, którzy byli o wiele bliższymi pisarzami w. XVI niż o ćwierć wieku późniejszego od nich Mickiewicza. Między poetami naszymi z XVI, XVII a w części znacznéj i XVIII w. główną różnicę stanowią wzory, jakie naśladowali i mniejszy lub większy stopień wyrobienia formy, najmniéj zaś stosunkowo oddalają się od siebie pojęciami i charakterem utworów. Satyra polityczna i obyczajowa, pieśń z barwą moralno-religijną, społeczną lub miłosną, tren, fraszka, poemat historyczny, religijny lub panegiryczny—oto rodzaje ulubione przez poetów zarówno złotego wieku jak czasów Jana Kazimierza i Stanisława Augusta. Nie przedstawiają one ani w formie ani w treści innych różnic prócz tych, które sprowadził rozmaity stopień talentu i zmiany zaszłe w życiu i obyczajach.

W inném położeniu względem dawniejszych pisarzów znajduje się obecne pokolenie wykarmione na utworach świetnéj plejady poetów z epoki Mickiewiczowskiéj, z którymi zapoznawało się zwykle poza obrębem szkoły, co, pominąwszy już inne okoliczności, niezmiernie potęgowało wpływ tych utworów na wrażliwe umysły. Młody czytelnik obcował tu bezpośrednio z poetą; ani ognistych jego uniesień ani po-

rywów łatwo zapalających się serc i wyobraźni młodocianych nikt tu nie chłodził i nie miarkował. Analiza i chłodna krytyka były przez długi czas niemożliwemi. Rzecz naturalna, iż po Mickiewiczu lub Krasińskim każdy poeta czy-to z wieku XVI czy z XVIII wydawał się nudnym wierszopisem i cała dawniejsza poezya zimnêm rymotwórstwem, nie mogącém ani w małéj cząstce odpowiedzieć popędom serca i polotowi wyobraźni czytelnika nowoczesnego. Szybkie i świetne przekształcenie i udoskonalenie języka, odpowiadające rozbudzeniu i wielostronnemu rozwinięciu życia duchowego spotęgowało jeszcze ten rozdział między dawniejszą a nową literaturą, utrudniając czytanie i rozumienie pisarzów epok poprzednich. Ustrój społeczny również uległ w ciągu ostatnich lat dwudziestu ogromnym zmianom, sprawiającym, że śród inteligencyi naszéj zwiększa się coraz bardziéj koło ludzi, dla których obcemi są, mniéj lub więcéj, tradycye szlacheckiéj przeszłości, którzy choć się poczuwają do solidarności z dzisiejszemi interesami i dążeniami społeczeństwa naszego, nie mogą przecie żywić względem przeszłości téj czci i przywiązania, jakie zaszczepić może jedynie tradycya starannie pielęgnowana i przekazywana w kołach rodzinnych.

Brak téj tradycyi można w części zastąpić przez zapoznanie się z dawném życiem, pojęciami i obyczajami za pośrednictwem literatury, która powinna służyć za cement duchowy spajający odległe czasem, różne krwią i obyczajami, obce sobie pojęciami i ustrojem społecznym pokolenia jednego narodu.

Doniosłość tego wpływu przemawia najwymowniéj za potrzebą rozpowszechniania dzieł pisarzów dawnych, przez dostarczanie publiczności naszéj nowych, odpowiednio opracowanych wydań.

Przedruki Turowskiego wystarczały naszym ojcom, którzy je nabywali i czytali więcéj przez patryotyczną żarliwość i miłość dla przeszłości niż w skutek potrzeby lub chęci wniknięcia w tajniki dawnego życia i sformułowania sobie jasnego, krytycznego sądu. Dla dzisiejszego czytelnika nie wystarcza już samo miano poety lub pisarza polskiego z w. XVI lub XVII; patryotyczna struna, którą tak łatwo było niegdyś poruszać w sercach naszych, dziś stężała śród ciężkich doświadczeń; publiczność dzisiejsza innych jeszcze potrzebuje bodźców. Pragnie ona wiedzieć pierwéj, dlaczego ma czytać i uwielbiać, jaką korzyść umysłową, jakie wrażenia estetyczne wyniesie z przeczytania zalecanego jéj autora. Dziś nie wystarcza sam przedruk, lecz potrzeba wydań podających nietylko tekst ale i środki do zrozumienia i oceny tekstu;—potrzeba przed czytelnikiem usprawiedliwić niejako konieczność przedruku i dopomódz mu do wytworzenia sobie jasnego i trafnego sądu o samym utworze, przekonać, że

książka warta czytania nietylko dlatego, że jest utworem dawnego polskiego pisarza, ale że przedstawia bądź w treści, bądź w formie trwały, ogólniejszéj natury interes już-to jako obraz dawnego życia, już-to jako wybitny wyraz pojęć lub uczuć człowieka żywiéj czującego i daléj widzącego niż współcześni, już téż wreszcie jako ciekawe świadectwo smaku i upodobań pewnego pokolenia.

Nie należy przytém spuszczać z uwagi, iż nasza publiczność nie zna i niełatwo może poznać dzieje własnéj literatury. Liczne lecz małéj wartości podręczniki nie dostarczają należytych wskazówek i objaśnień, ułatwiających zarówno wybór odpowiednich dla dzisiejszego czytelnika utworów jak i zrozumienie takowych.

W niewielkiéj liczbie tworów dawniejszéj literatury, mogących zainteresować nawet najobojętniejszych i przekonać najbardziéj uprzedzonych, jedno z pierwszych miejsc należy się niewątpliwie dla „Wojny Chocimskiéj“ Wacława Potockiego. Rehabilituje ona świetnie nietylko niesłusznie potępioną literaturę drugiéj połowy wieku XVII, ale i do pewnego stopnia całą przeszłość dziejową, któréj ideje i ideały tak wymownie przedstawia poeta, nie szczędząc jednocześnie jaskrawych barw dla ujemnych stron samego społeczeństwa. Poemat ten tém większe ma znaczenie jako wymowna apologia przeszłości, że nie wyszedł z pod pióra gienialnego wieszcza, który najprostszéj scenie z życia codziennego nadaje cechę wielkości potęgą swego talentu, ale jest tworem skromnego rymopisa, który jedynie podniosłością podjętego zadania, miłością dla opiewanych faktów i idei, religijno-obywatelską żarliwością staje się wymownym, silnym a niekiedy natchnionym i porywającym.

Prawdziwą przysługę wyświadczyła redakcya i wydawca „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj,“ podejmując nowe wydanie tego poematu bardzo mało u nas znanego, pomimo szczodrze sypanych mu pochwał i uwielbień, ponieważ pierwsze i jedyne dotychczas wydanie lwowskie nie rozchodziło się u nas wcale. Pojmując potrzeby dzisiejszych czytelników, redakcya „Biblioteki“ starała się ułatwić zrozumienie samego utworu, przez zamieszczenie starannie uzupełnionego słowniczka wyszłych z użycia wyrazów, dodanie przekładu polskiego licznych cytat łacińskich, któremi tak gęsto naszpikował Potocki swą obszerną a ciekawą przedmowę, wreszcie przez dołączenie rozprawki Al. Tyszyńskiego, przedstawiającéj w krótkim zarysie obraz całéj literackiéj działalności autora „Wojny Chocimskiéj.“

Szkoda tylko, że temu „wizerunkowi“ nie możemy przyznać zalety podobieństwa, że mimo całego uznania dla zdolności i sumienności zmarłego niedawno krytyka, nie możemy się zgodzić z jego za-

patrywaniem się na literaturę wieku XVII i uważać tę epokę za „moment przeczący“ w rozwoju poezyi polskiéj, a panegiryzm i napuszoność deklamacyjną w utworach przypisywać zewnętrznym wpływom. Jesteśmy pewni, że sama redakcya „Biblioteki“ nie podziela tych poglądów i załączyła pracę Tyszyńskiego nie jako wyraz własnych sądów o Potockim, lecz więcéj w charakterze wstępu informującego i polecającego zarazem dla szerszéj publiczności utwór mało znanego jéj pisarza.

Największa przecie wdzięczność ze strony miłośników literatury należy się redakcyi „Biblioteki“ za ogłoszenie pod skrzydłami „Wojny Chocimskiéj“ kilku mniejszych mało znanych a po części i całkiem nieznanych utworów Potockiego, które pozwalają czytelnikowi wytworzyć sobie jasne pojęcie o różnych stronach talentu poety i dostarczają ciekawych rysów do charakterystyki téj tak sympatycznéj postaci.

Z utworów tych „Pełna“ i „Merkuryusz“ były już wprawdzie drukowane w całości a „Peryody“ w znacznéj części; ale pomieszczono je w wydawnictwach zbiorowego charakteru mało znanych i niedostępnych dla szerszego ogółu. Po raz piérwszy właściwie ukazują się cztery „Peryody“ (II, IV, IX, XIV) tudzież „Wety parnaskie“ (1) tryskające życiem i tą zamaszystą, szlachecką wesołością, któréj tradycya zaciera się coraz więcéj w obyczajach naszych. Zebranie i przygotowanie do druku tych drobnych kawałków wymagało o wiele więcéj trudów i zachodów niż przedruk saméj „Wojny Chocimskiéj“ i daje wymowne świadectwo o sumienności i gorliwości redakcyi, która przy poparciu ze strony publiczności obdarzy nas niezawodnie całym ciągiem równie starannych i trafnie wybranych przedruków dzieł pisarzów dawniejszych.

*Bronisław Chlebowski.*

---

Pogadanki z dziećmi ułożone metodą poglądową przez Z. Morawską. Część I dla dzieci od lat 5 do 7, str. 38, tablic kolorowanych V; — Część II dla dzieci od lat 7 do 10, str. 111, tablic kolorowanych VII i drzeworyty w tekście.

Nigdzie podobno nowe pomysły i nowe metody nie wchodzą w zastosowanie praktyczne tak trudno jak w wychowaniu. Tu większość mówi sobie z zupełną otuchą: dlaczegóżbyśmy mieli zmieniać sposób edukacyi, kiedy przecież ojcowie i dziadowie nasi wychowy-

---

(1) Jest-to zbiór „Fraszek,“ z których kilkanaście weszło do innego zbioru ogłoszonego p. t. „Jovialitates“ w r. 1747; przeważna jednak część wydana została teraz dopiéro z rękopismu znajdującego się w Bibliotece Jagiellońskiéj.

wali się i było im dobrze, wychodzili na ludzi, chociaż nikt ich według nowych metod nie kształcił... Jeżeli nie stare ideały, to stara rutyna ma nieprzeparty urok dla ogółu, bo się gruntuje na przyzwyczajeniu, na nałogu, który, jak wiadomo, rządzi przeważnie postępowaniem naszém. Dla przekonania się o tém czyż potrzeba wyszukiwać przykładów? Nie, nastręczają się one same... Od lat już kilkudziesięciu, nawet u nas, zalecają pedagogowie metodę doraźnego czytania, a wszakże bezwarunkowa większość uczy się dotychczas sylabizować postaremu. Metoda poglądowa sięga początkami swojemi wieku XVII, kiedy ją zalecał wielki mistrz czeski Amos Komensky; mimo to, u nas przynajmniéj, pozostała ona dotąd właściwie w dziedzinie teoryj i pragnień wychowawczych, nie zamieniwszy się w praktykę. Mamy kilka rozprawek o potrzebie uczenia dzieci za pośrednictwem metody poglądowéj, ale nie mamy dobrego choćby przewodnika, któryby ogółowi objaśnił, jak wskazówki teoretyczne ma się stosować w wychowaniu i w wykształceniu. Dwa podręczniki dotychczas istniejące („Nauka o rzeczach“ Henryka Wernica, „Świat i dzieci“ Augusta Jeskego), pomimo zalet niektórych, nie posiadają, powszechném zdaniem pedagogów, zalety najważniejszéj tj. praktyczności, nie mogą się zatém stać dobremi, wypróbowanemi przewodnikami dla mało przygotowanych do samodzielnéj pracy wychowawców, np. rodziców, bon, nauczycielek.

Czy przedsięwzięte przez p. Z. Morawską wydawnictwo uczyni zadość potrzebom a raczéj wymaganiom pedagogicznym?

Zdaje się, że książki jéj mogą liczyć na szerokie rozpowszechnienie, gdyż autorka nie tyle starała się o przyswojenie sobie wyników najnowszych w sprawie wprowadzenia metody poglądowéj do wychowania, ile usiłowała rozwinąć to, co już dawniéj u nas się praktykowało. Dwie dotąd wydane części „Pogadanek z dziećmi“ są raczéj dalszém udoskonaleniem „Rozmów mamy z Józią“ Jachowicza lub początkowych rozdziałów „Wykładu nauk“ Żmichowskiéj, aniżeli czémś nowém, coby konsekwentnie zasady metody poglądowéj urzeczywistniało. Autorka pojmuje bardzo dobrze potrzebę naocznego przypatrywania się przedmiotom, w *uwagach* niejednokrotnie przypomina wychowawcom, że obowiązkiem ich jest pokazywać rzeczy w naturze; sama wszakże w wykładzie swoim nieraz zapomina o kardynalnych warunkach metody poglądowéj. Objaśnienia jéj w wielu wypadkach są czysto wyrazowe, wzbogacają słownik dzieci, ale nie dają im głębszego rozumienia natury przedmiotu, o którym słyszą lub na który patrzą. Takiém jest określenie ciała stałego („*co stoi w miejscu* i ma kształt oznaczony np. stół,“ II str. 85), takiém jest określenie ognia („jest-to bardzo dobroczynny żywioł, który nam

daje światło i ciepło," II, 59), takie są prawie wszystkie określenia gramatyczne (II, 81—85), taką jest odpowiedź na pytanie, czy powietrze można zważyć („powietrze można zważyć tak jak każde inne ciało," II, 88). Wogóle trzeba zauważyć, że w drugiéj mianowicie części więcéj autorka daje takich wiadomości, których dziecko musi wyuczyć się *na pamięć* aniżeli takich, któreby zdobyć mogło własną obserwacyą lub własném doświadczeniem. Wstępem do szeregu takich niewłaściwości jest już lekcya XXI w cz. I o pierwszych ludziach, gdzie się zadaje 7-letniemu dziecku pytanie: czy przed nami dużo żyło ludzi? na które-to pytanie dziecko oczywiście nic samo odpowiedziéć nie może i musi przyjąć do skarbnicy pamięci swojéj tę tylko monetę, jaką mu wychowawca poda. Podobnież na wiarę tylko przyswajać sobie będzie dziecko wszystkie zupełnie w tym wieku (do lat 10) niezrozumiałe i niepotrzebne rozprawy o równiku, równoleżnikach, zwrotnikach, tudzież wszystkie wiadomości z fizyki, które w takiéj formie, jak są przez autorkę przedstawione, nie mają nic spólnego z metodą poglądową, ale chyba tylko z metodą pamięciową. Nauka o zdaniu należy także do najmniéj udatnych, jakie się w II części znajdują.

Zupełnie chybioną są: lekcya IV (*Ubranie*, *jego pochodzenie*) i lekcya VIII (*Pościel*, *sprzęty w pokoju*), a chybione są dlatego, że autorka źle w nich postawiła pytania. Pierwszém jest pytanie: „Z czego jest zrobiona koszula i *od czego pochodzi* czyli *jakie ma pierwiastki?*" Na to odpowiedziéć ma dziecko: „Koszula jest zrobiona z płótna, a płótno uprzędzone ze lnu, który jest rośliną, koszula więc moja ma *pierwiastek roślinny*" (II, 9). Najprzód nikt tak nie mówi, że koszula „ma pierwiastek roślinny," a powtóre, że koszula ma także guziki, które mogą być płócienne, ale mogą być także metalowe, więcby koszula miała także „pierwiastek mineralny..." Takie objaśnienia, że łóżko ma pierwiastek roślinny, albo mineralny, że kołderka ma pochodzenie roślinne i zwierzęce, że materace mają pochodzenie zwierzęce i td. i td. gmatwają tylko pojęcia dzieci, a zatém są przeciwne dydaktyce. Zamiast mówić o „pierwiastku" i „pochodzeniu" byłoby i prościéj i jaśniéj pytać się, z czego owe przedmioty są zrobione, pokazać, że w skład ich wchodzi nieraz bardzo wiele rzeczy, *przerobionych* z tego, co w naturze się znajduje.

Obok wiadomości niewłaściwych i chybionych są także w książkach p. Morawskiéj i nieprawdziwe. Do takich zaliczam najprzód zarówno w części I jak i II znajdujące się twierdzenie, że członki nasze *nie żyją*, tylko *my* żyjemy. Twierdzenie to fałszuje pojęcie organizmu wogóle i może stać się podstawą mnóstwa błędów; roztropne dziecko mogłoby spytać nauczycielkę, czy żyć jeszcze będzie-

my, kiedy wszystkie członki nasze pokolei odejmiemy... Nieprawdziwém również jest mniemanie, jakoby zwierzęta nie mogły sobie nic wyobrażać i myśleć (II, str. 4), gdyż to się sprzeciwia najprostszemu spostrzeżeniu, jakie każde dziecko zrobić może. Nieprawdziwém jest zatém i zdanie, jakoby pies psa niczego nauczyć nie mógł (I, 32). Nieprawdziwém jest dalej objaśnienie, dlaczego nie czujemy ciężaru powietrza (II, 88: „bo ze wszech stron nas otacza, jak nie czujemy ciężaru sukni, bo ona jest naokoło nas"). Nieprawdziwém rówwnież jest objaśnienie, jakobyśmy krążenie krwi utrzymywali przez ruch (II, 37); niech-noby kto sprobował utrzymać krążenie krwi ciągłym ruchem nic nie jedząc i nie pijąc...

Zwróciłem tu głównie uwagę na braki książek p. Morawskiéj ze względu na to, że mają one widoki rozpowszechnienia; wypadało więc wskazać, jakie przedewszystkiém poprawki zrobićby należało, ażeby pożytek przynieść mogły. Pierwsza część wymaga ich najmniéj, druga natomiast wymagałaby całkowitéj prawie przeróbki, jeżeli ma być przewodnikiem mającym za drogowskaz metodę poglądową. Ryciny wypadałoby również odmienić; tak jak są, przedstawiają nie przedmioty z natury, ale jakieś wymyślone tylko; kształt ich i barwa są częstokroć zbyt dowolne (wilk, niedźwiedź i wieprz jednakowego koloru, podobnież grzyb i rydz i td.).

Nie powinna jednak autorka zrażać się trudnościami; w wielu miejscach okazała jasne pojmowanie zasady poglądowéj, wiele dała trafnych objaśnień; że nie wszystko, co dobrze pomyślała, dobrze się przedstawia w wykonaniu, to pobudzać jedynie może do dalszéj pracy nad sobą, do lepszego stosowania uznanéj zasady w praktyce wychowawczéj.

---

Zbiór powieści dla dzieci i młodzieży wybranych przez Waleryą Marrené. I. Kazio. Warszawa, druk Emila Skiwskiego, 1881, str. 109.

Od lat kilku dawały się już słyszéć w prasie peryodycznéj głosy doradzające urzeczywistnienie pomysłu, który o ile z tytułu wnosić można, stanowi gwiazdę przewodnią powyższego zbiorku. Istotnie, wobec posuchy albo jałowości na niwie belletrystyki dziecięcéj, wobec niejednokrotnie uwydatnionych skarg i utyskiwań na brak właściwéj karmi powieściowéj z naszych własnych materyałów przyrządzonéj tudzież na brak wyboru w materyałach obcych, wypadło koniecznie, dla zaradzenia naglącéj potrzebie, pomyśléć o takiém wydawnictwie, któreby zgromadziło w jednę całość, w jeden księgozbiór, wszystkie porozpraszane zarówno w publikacyach oddzielnych jak i w czasopiśmiennictwie utwory, odpowiadające i wymaga-

niom dzisiejszéj pedagogiki i wymaganiom umysłu dzisiejszych pokoleń. Należałoby więc rozpatrzéć się należycie w tém, co nam przeszłość pozostawiła i roztrząsnąć gruntownie, jakie mianowicie utwory z pism Tańskiéj, Jachowicza, Krakowowéj, Skimborowiczowéj nadają się jeszcze i teraz do czytania, któreby nie tylko miało na celu wyryć w sercu nazwiska zasłużone, ale któreby zostawiło w duszy zarówno pożytek jak i zadowolnienie estetyczne. Należałoby daléj przejrzéć główniejsze przynajmniéj czasopisma dla dzieci jako to: *Zorzę* z r. 1844, *Rozrywki dla młodocianego wieku* wydawane przez Sewerynę Pruszakową, *Zabawy przyjemne i pożyteczne dla młodocianego wieku* ogłaszane przez Józefę Śmigielską, *Przyjaciela dzieci* i inne, ażeby wydobyć na jaw i skupić to, co ze względów pedagogicznych na przechowanie i na pamiętanie zasługuje. Nie można się tu naturalnie spodziewać odkrycia skarbów kalifornijskich; w każdym atoli razie praca podjęta opłaciłaby się niewątpliwie: choćby się z czasopism n. p. miało wydostać dwadzieścia tylko powieści dobrych a naszych własnych, już-by nieżal było trudu, któregoby się „dla dobra dzieci" podjęło. Czy taki jest zamiar pani Waleryi Marrené, nie wiem; a jeżeli rzuciłem tu myśl wyzyskania dawnéj literatury naszéj dla dzieci, to jedynie ze względu na wyrażenie tytułowe, które zapowiada, że „Zbiór powieści" ma być skupieniem „wybranych" utworów, a zatém nietylko przez samę redaktorkę napisanych, ale i innych, pomiędzy któremi i powieści z dawniejszą datą pomieścić się oczywiście mogą. W takim „zbiorze" nie może n. p. brakować osobnego wydania „Listów Elżbiety Rzeczyckiéj" lub „Dziennika Franciszki Krasińskiéj"— z odpowiedniemi objaśnieniami.

Pozostawmy jednak rozwój wydawnictwa saméj redaktorce i przyklaśnijmy z serca urzeczywistnieniu dawno projektowanego przedsięwzięcia. P. Marrené rozpoczęła „zbiór" swój od własnéj powiastki p. n. *Kazio*. P. Marrené nie jest debiutantką w zawodzie beletrystyki dziecięcéj. Znamy już dwie jéj powiastki: *Fortepian Helenki*, *Z pamiętników pensyonarki*, a obie mają zalety niepowszednie. Zalety te odnajdujemy i w *Kaziu*. Przedewszystkiém zasługuje na najwyższe uznanie dążność powiastki, która przedstawia powolne hartowanie się charakteru, zmuszonego okolicznościami do oparcia się na samym sobie, do zwyciężania siebie, do wyrabiania w sobie samodzielności od samego dzieciństwa. Nie romantyczne przygody, nie życie błyskotliwe, nie pieszczenie się z boleścią własną, ale konieczność twardéj, wytrwałéj, ustawicznéj pracy jest tu tłem całego szeregu nie wypadków, lecz myśli, pragnień i postanowień. Podupadłe, zubożałe, osierocone rodzeństwo mieszka na poddaszu i w walce życiowéj chce byt swój ustalić. Brat najstarszy i siostra muszą

myśléć o wyżywieniu i wykształceniu dwojga młodszych; pracują aż do znużenia, aż do bladości i potu. Siedmioletni Kazio rozpieszczony dawniejszym dobrobytem nie może się pogodzić z nowym trybem życia, kaprysi ciągle i zatruwa niejednę chwilę starszemu rodzeństwu. Potrzeba było dużo cierpliwości a zwłaszcza dużo taktu, ażeby mu dać poznać, że co było dawniéj, to teraz być już nie może, że po latach próżnowania i dogadzania sobie we wszystkiém muszą nastąpić lata pracy i cierpień. Autorka powolne to działanie skupiła w jednę scenę, w któréj miłość dla siostry odniosła w sercu malca zwycięstwo nad zachceniami. Jeżeli pod tym względem czytelnik dojrzały uczuwa niejaki brak prawdopodobieństwa, to przeprowadzenie téj poprawy Kazia, który narażony był na kilka silnych pokus, śmiało nazywać się może wyborném. Autorka rozumie doskonale, że zwycięstwo nad sobą zarówno u starych jak i u młodych przedstawia trudności olbrzymie; a w skutek tego z całą prawdą wystawia wahania się duszy dziecięcéj. A jak pięknemi środkami poprawy dokonywa!... Nie ma tu gróźb i kar, nie ma nawet pochwał i nagród; działa tu na siedmioletniego chłopca serce tylko i poczucie godności. Kazio chce bądź-co-bądź pozyskać zaufanie starszego brata Juliana i pragnie oszczędzić zmartwień siostrze: te uczucia są dźwignią jego postępowania. W tém leży nietylko nauka dla dzieci, ale i dla rodziców, którym potrzeba przypominać na każdym kroku, że nie poniżanie godności dziecka, nie fukanie, łajanie, groźby i kary są skutecznemi środkami poprawy, ale właśnie rozdmuchanie w młodém serduszku tych uczuć szlachetnych, które wykazują całą dostojność człowieka...

Kazio idzie do szkoły, doznaje prześladowania ze strony niektórych uczniów, z początku płacze tylko i nie umie sobie dać rady z urwisami; lecz nauczony i pokrzepiony jedném słowem starszego brata, zwycięża potém trudności a nawet wznosi się do bohaterstwa dziecięcego: woli wycierpiéć karę, a nie chce „skarżyć“ na tego kolegę, co go obraził. Prawdziwie wzruszającą jest scena, w któréj Kazio doznaje i bólu i rozkoszy zarazem, czując że cierpi, lecz cierpi dlatego, iż pokonał w sobie uczucia samolubne.

P. Marrené obiecuje opowiedzićć dalszą historyą Kazia; nie wątpię, że młodzi czytelnicy jéj „Zbioru“ z utęsknieniem oczekiwać będą spełnienia téj obietnicy. Co do mnie, to-bym zwrócił uwagę autorki na to, że Julian i Jadwiga są zbyt doskonali, że takich w życiu nie napotykamy, a nadto uważałbym za niezbyt prawdopodobny dowcip ucznia *pierwszéj* klasy o kapeluszu Kazia (str. 72, „jest-to okaz jedyny, pan N. weźmie go za temat przyszłéj lekcyi historyi starożytnéj“). Wszystkie zresztą sceny są pełne prawdy; tylko ro-

zumowania Juliana są czasami zbyt zawiłe, nie zastosowane do umysłu 7-letniego, do którego przemawia.

Co do języka jest on wszędzie poprawny; raziło mię tylko częste użycie przysłówka *więcéj* z francuska po słowach z przeczeniem. Wydanie „Zbioru" jako wydawnictwa taniego jest skromne, ale dość staranne; potrzeba wszakże dbać więcéj o przestankowanie, które w „Kaziu" jest wielce zaniedbane. Wobec jednak zalet treści nikną te usterki; śmiało też książeczkę tę polecamy, wyrażając zarazem życzenie, ażeby dalsze tomiki nie dały czekać na siebie zbyt długo.

---

Mikołaj Rej z Nagłowic i ks. Józef Wereszczyński. Ustęp z większéj całości przez Stanisława Ptaszyckiego. Wilno 1880.

W pracy pana Ptaszyckiego otrzymujemy zajmujący przyczynek do historyi wpływu Reja na losy naszego piśmiennictwa. Jeżeli dawniéj wiadomo nam było, że np. *Postylla* jego, w duchu protestanckim napisana, służyła niejednokrotnie za podręcznik, z którego duchowni katoliccy treść i formę do swoich kazań brali; to obecnie, dzięki pilnemu rozczytaniu się p. Ptaszyckiego w kilku pismach jednego z dosyć głośnych swojego czasu autorów, otrzymujemy dowód niezbity, namacalny a nawet krzyczący, że i najznakomitsze dzieło protestanta Mikołaja Reja, znane powszechnie pod nazwą „Żywota człowieka poczciwego", nader ważną odegrało rolę w karyerze literackiéj księdza katolickiego.

Kiedy Julian Bartoszewicz w swojéj: „Historyi literatury polskiéj" pisał o Wereszczyńskim, wszędzie mu się nawijał pod pióro Rej do porównania; autor instynktem, że tak powiem, przeczuwał jakieś powinowactwo między obu temi pisarzami, ale mu nie przyszło na myśl posądzić biskupa kijowskiego, żeby się zapożyczał u Reja; owszem uznając podobieństwo w stylu, w „ślicznym języku", mówi że ksiądz biskup przewyższał naszego Mikołaja wykształceniem naukowém. Wielką sympatyą dla téj „ślicznéj postaci" przejęty, rozpływał się w pochwałach.

Tymczasem p. Ptaszycki, rozpatrując się w „Regule to jest nauce albo postępku dobrego życia króla każdego chrześciańskiego", którą ks. Wereszczyński ogłosił w Krakowie w r. 1587, przekonał się, że jest-to nietylko „wizerunek dobrego króla *w tym rodzaju*, w jakim Rej skreślił wizerunek poczciwego człowieka", jak utrzymywał Bartoszewicz, ale że ów wizerunek Wereszczyńskiego został skalkowany poprostu z wizerunku utworzonego przez Reja. Jakoż najprzód plan jego ogólny odpowiada temu, co Rej nakreślił w rozdziale trzecim

księgi drugiéj; daléj całe ustępy są albo żywcem albo z nader małemi zmianami wzięte z tego rozdziału; następnie, kiedy już wyczerpnął autor wszystko z tego rozdziału, co się tylko wyczerpnąć dało, szukał po całém dziele Reja już-to zdań całych już téż frazesów; wreszcie sklejał z kawałków, rozproszonych na różnych miejscach u Reja, pewne całostki. Naturalnie obok wziętych u Reja ustępów są w „Regule" i własne myśli autora a przynajmniéj takie, których zródła dotychczas nie odnaleziono; ale kapitał ten w porównaniu z długiem wyda się nader szczupłym.

Mamy więc w „Regule" plagiat, gdyż Wereszczyński nie cytuje tu Reja wcale, chociaż go przepisuje wiernie. Ta dążność do przepisywania uwydatnia się tu tak silnie, że nawet cytaty z Pisma św. umieszczone są tak, jak się u Reja znajdują. Jak w „Regule", tak i w kilku innych pismach, chociaż nie w tym stopniu, dążność ta odbiła się wyraźnie. P. Ptaszycki przytoczywszy dowód talentu w układaniu mozaiki, że na 25 wierszy str. 140 „Reguły" złożyło się aż pięć stron „Żywota", wyraża zdziwienie swoje: „Czy można przypuścić, że (Wereszczyński) przewracał karty *Żywota* i wyszukiwał zdań odpowiednich? Na tém przypuszczeniu nawet nie ośmielamy się zatrzymać; oznaczałoby ono ostateczną nędzę umysłową, czego w uczonym prałacie ani na chwilę przypuścić nie możemy". Niezbyt dawny przykład podobnego układania historyi literatury przez pana Leonarda Sowińskiego powinien był autorowi ułatwić zrozumienie takiéj metody pisania, z któréj dzisiaj niektórzy pisarze chluby nawet szukają.

Przed ośmiu laty p. Stanisław Tarnowski poświęcił był księdzu Wereszczyńskiemu bardzo ładnie napisaną gawędę („Biskupa Wereszczyńskiego pisma politycznéj treści" w „Przeglądzie polskim" 1872, zeszyt kwietniowy). Jest tam mowa i o „Regule", którą nazywa „nauką moralną, kazaniem dla królów", w którém-to kazaniu jednak „są ustępy godne wzmianki i pamięci, bardzo oryginalne przez połączenie jakiéjś szorstkiéj, żołnierskiéj, prawie brutalnéj energii z tą wymową prostą a silną, jaką daje prawdziwa i wielka żarliwość". Na potwierdzenie swego zdania przytacza z „Reguły" kilka wyjątków i to tak szczęśliwie, że chociaż o pochodzeniu „Reguły" od „Żywota" nic nie wspomina, dwa tylko ustępy Rejowskie wziął za własność Wereszczyńskiego. Dowodzi to niewątpliwie, że p. Tarnowski, chociaż nie zawsze krytycznie rozbiera autorów, ma jednak niepospolite *poczucie* krytyczne. Postać cała ukazuje się w jego pracy bardzo sympatycznie, bardzo zajmująco: „jest w niéj mnich, jest żołnierz, jest biskup i krzyżowiec, jest kaznodzieja i mistyk i jest szlachcic, jest Rusin i Polak w tym śmiałym, ognistym, namiętnym i szorstkim księ-

dzu, który niezaprzeczenie ma prawo liczyć się do wybitniejszych postaci duchowieństwa polskiego".

Pan Stanisław Ptaszycki dopełnił ten portret jednym jeszcze rysem, że jest w téj postaci i pisarz, który się lubi bawić w bezimienne pożyczki. Rys ten nie zmienia oczywiście charakterystyki człowieka i księdza; człowiek i ksiądz mógł być tém wszystkiém, czém go wystawia p. Tarnowski; rys ten mówi tylko, że dla oddania zapału, namiętności i szorstkości potrzeba było Wereszczyńskiemu pomocy Reja i że jako autor, jako stylista nie może zajmować zbyt wybitnego stanowiska w dziejach literatury naszéj.

---

== 1) **Erazm Otwinowski i pamiętnik jego do panowania Augusta II**. Studyum literackie; napisał *Felicyan Suryn* (w „Tygodniku illustrowanym" 1880. N. 236 — 240). — 2) **Książęta Jabłonowscy w literaturze** przez dra *Artura Wołyńskiego.* (Tamże N. 241—249). W obu tu wymienionych szkicach, studyami bowiem nazwać prac tych niepodobna, starano się rozjaśnić niektóre punkta naszych dziejów wewnętrznych przeważnie z pierwszéj połowy XVIII stulecia; w obu ogólny punkt zapatrywania się na wypadki i ludzi jest wprost przeciwny temu, jaki dość długo panował w naszéj literaturze nie tyle może historycznéj, ile belletrystycznéj; w obu czasy saskie przedstawiają się nam jako okres upadku nietylko potęgi politycznéj, nietylko smaku literackiego, ale także i moralności zarówno publicznéj jak prywatnéj. Obrazy tego upadku i tego zepsucia nakreślone są przez autorów rysami grubemi, które wprawdzie jaskrawo odtwarzają ujemne strony ówczesnego bytu i obudzić mogą wstręt do nich stanowczy, ale pozbawione będąc wszelkiego cieniowania, nie sprawiają estetycznego zadowolnienia – o co mniejsza, i niereprodukują, jak się zdaje, całéj prawdy o owych czasach, dosyć już od nas odległych, ażeby mówić o nich bezstronnie. Jako przeciwnicy bezrządu, autorowie są wielbicielami „reformatorów," których postaci otaczają blaskiem zasługi i poświęcenia. Zauważyć tylko trzeba, ża dr. Artur Wołyński jest zdeklarowanym przeciwnikiem Familii w jéj polityce, tak że przy każdéj sposobności stara się ich postawić w stanie oskarżenia, czy-to gdy wzmiankuje o niemoralnych środkach, których używali dla przeprowadzenia swoich planów na sejmikach, czy téż gdy mówi o nieprzyjaznem zachowaniu się Czartoryskich w sprawie oddania Biblioteki Załuskich na rzecz dobra powszechnego. Tyle o ogólnych poglądach autorów. Co do specyalnego zadania, jakie sobie założyli, nie można powiedzieć, ażeby w zupełności zadowolnić mogli słuszne wymagania krytyki. Otwinowski zasługiwał niewątpliwie na rozbiór

szczegółowy. Nie znaleziono wprawdzie ani nowych dokumentów, któreby nam wyjaśniły życie autora „Pamiętników“ znanych pod nazwiskiem Otwinowskiego, ani téż takich materyałów, któreby do kontroli opowiadania w tych „Pamiętnikach“ zawartego posłużyć mogły; ale ponieważ nie było do téj pory żadnego większego studyum wyświetlającego znaczenie i wartość tego opowiadania, można więc było z pożytkiem dla literatury pracy téj się podjąć. Autorowi jednakże obecnego „studyum“ więcéj chodziło o wypowiedzenie swego poglądu na czasy Augusta II, na partyą Leszczyńskiego, na konfederacye, na sprawę toruńską, aniżeli o dokładne scharakteryzowanie pisarza „Pamiętników“ i wiarogodności faktów przezeń podanych. To téż z jego charakterystyki dowiadujemy się tyle tylko, że był-to konserwatysta religiant, wyobrażający sobą przekonania większości szlachty, stojący silnie w obronie swoich zasad, które w idei „złotéj wolności“ mają swe źródło; że zajęty sprawami zewnętrznemi o wewnętrzne się nie troszczy, że styl jego odznacza się godnością i prostotą i że dzieło jego jest wyjątkowym utworem owéj epoki, odczytującym się z zajęciem. Na szkic to dosyć, na studyum — za mało. „Książęta Jabłonowscy w literaturze“ jest to zbiór notatek biograficzno-bibliograficznych, najeżonych mnóstwem nazwisk, dat, tytułów przeładowanych wiadomościami, nie mającemi ścisłego związku z podjętym tematem, a okolicznościowo tylko z powodu jakiego drobnego faktu przyłączonemi do opowiadania o literackich zasługach rodziny Jabłonowskich. Jaki np. bezpośredni związek ma ogólna charakterystyka czasów Saskich z tém, co autor mówi o Janie Jabłonowskim? Gdyby p. W. rozbierał szczegółowo jego „Skrupuł bez skrupułu“, charakterystyka taka byłaby zapewne bardziéj usprawiedliwiona; ale wobec czysto-biograficznego i bibliograficznego sprawozdania przedstawia się jako luźny epizod jedynie. Toż samo można powiedzieć o całym ustępie, przytoczonym zresztą z pracy ks. Krupińskiego o znaczeniu i działalności Konarskiego, kiedy autor mówi o Józefie Aleksandrze Jabłonowskim. Znajdują się tu wszakże i rzeczy bardzo dobre; do takich mianowicie zaliczyć można wyróżnienie i dokładne określenie bibliograficzne dzieł, napisanych przez różnych członków rodziny Jabłonowskich. Wiele innych szczegółów nabrałoby wartości, gdyby je popierały cytaty, wykazujące, zkąd autor czerpał wiadomości swoje, i gdyby nadto była pewność co do należytego i niemylnego wydrukowania dat w ciągu opowiadania gęsto rozsianych. Zasługą pracy pana Wołyńskiego może być to, że zachęci innych do opracowania pod względem wewnętrznym tych dzieł, które tu zewnętrznie tylko są opisane, i do wniknięcia w głąb duszy ich twórców.

= **Encyklopedya wychowawcza** ukazuje się nieprzerwanie; dotychczas otrzymaliśmy 5 zeszytów, z których ostatni kończy się wyrazem *Arytmetyka.* Powołując się na poprzednio w *Ateneum* zamieszczoną wiadomość o dwu pierwszych zeszytach, miło nam zaznaczyć, że to nader pożyteczne wydawnictwo rozwija się coraz lepiéj, mieszcząc prace wielce pouczające a gruntownie opracowane. Zaraz w *trzecim* zeszycie zwracają na się uwagi dwa artykuły historyczne pana J. K. P. Jeden z nich przedstawia rozwój działalności *Aleksandryjskiéj szkoły katechetów*, drugi zaś odtwarza postać jednego z najuczeńszych mężów VIII stulecia, *Alkuina*, zwanego „mistrzem Francyi". Daléj zasługuje na wyszczególnienie rzecz p. Juliana Ochorowicza o *Ambicyi* podająca bardzo trafne wskazówki, jak z tém tak ważném w wychowaniu uczuciem się obchodzić, ażeby go nie wykrzywić i nie sfałszować. — W zeszycie *czwartym* rozprawka p. K. Kaszewskiego o *Analizie*, pięknie napisana, ma raczéj ogólnie filozoficzne niż szczegółowo pedagogiczne znaczenie, co rozumiał niewątpliwie sam autor, gdyż dodał króciutki artykulik: „Analiza i synteza jako metody nauczania". Treściwym, jasnym i dobrze obmyślanym jest artykuł p. Lutostańskiego o *Antropologii*. Do rozpraw napisanych z werwą należy rzecz o *Arabach* przez p. Juliana Adolfa Święcickiego. Artykuł ks. Stefana Pawlickiego o *Arystotelesie*, dokończony w zeszycie piątym, sprawia takie wrażenie, jakby autor użył tylko Arystotelesa za pokrywkę do wypowiedzenia pewnego wstrętu względem nauczania świeckiego i uchylania się szkoły z pod nacisku kościoła. Wydanie wogóle jest staranne; możnaby jednakże było uniknąć takich np. omyłek, że taż sama osobistość nazywa się na str. 285 Aleksandrem *Afrodyzyaszem* (co jest błędem), a na str. 328 Aleksandrem z *Afrodyzyi* (jak być powinno); daléj możnaby było zapobiedz niewłaściwości nazywania szkół arabskich imionami łacińskiemi (str. 286, 287); należałoby uchylić sprzeczność w zdaniach o znaczeniu cywilizacyjném Arabów (str. 201 i 281), należałoby sprostować nielogicznie ułożony frazes: „*Rzut oka* na podobny dyalog, mający być środkiem nauki szkolnéj, *nie ma pod względem pedagogicznym żadnego znaczenia* (str. 204; ma to zapewne znaczyć, że *dyalog* nic ma... znaczenia). — O artykułach treści matematycznéj zawartych w *Encyklopedyi* podamy niebawem szczegółowe sprawozdanie.

= Od marca roku 1880 wychodzą w Warszawie **Dzieje literatury powszechnéj z illustracyami**, należące do zbioru p. n. „Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiéj". Do téj pory pojawiło się 16 arkuszy, zawierających oprócz wstępu, który pojęcie dziejów literatury według Hipolita Taine'a objaśnia, obrazy literatury *chińskiéj*

przez Juliana Adolfa Święcickiego, *indyjskiéj* przez Teofila Krasnosielskiego, *egipskiéj* i *babilońsko-asyryjskiéj* przez Ignacego Radlińskiego. O ile z tego początku wnosić można, dzieło to, na obszerną pomyślane skalę, zapełni wybornie dotkliwy brak podręcznika, któryby zaznajamiał nietylko z nazwiskami autorów i napisami ich dzieł ale i z treścią także tych dzieł. Zaletą tych *Dziejów* najważniejszą jest to, że są opracowywane nie przez jednego literata ale przez kilku pisarzów, którzy poświęcając się specyalnie pewnym literaturom dają gwarancyą, że wiadomości ich nie są przestarzałe i że nie są brane z dziesiątéj ręki. Powtóre sposób opracowania dziejów zasługuje na całkowite uznanie. Autorowie i książki nie pojawiają się tu osamotnieni, zamknięci w jakiémś papierowém więzieniu, ale przedstawiają się nam zawsze w związku z usposobieniem i charakterem narodu, tudzież z epoką, w któréj pojedyńcze utalentowane jednostki występowały. Nie jest-to zatém historya książek, ani téż nawet historya indywiduów, lecz dzieje uczuć, myśli i dążności narodów, prawdziwe dzieje literatury na tle cywilizacyi ogólnéj. Illustracye zawierają, jak dotychczcs, próbki pisma używanego przez te narody, których się literaturę przedstawia, pomniki rzeźby i architektury uzmysłowiające te szczegóły, jakie w obrazie oświaty i kultury są podawane. Illustracye te są zarówno uwydatnieniem i unaocznieniem tekstu jako téż miłym wypoczynkiem dla umysłu, gdyż i pod względem artystycznym po większéj części zadowalniają. Ze względu na wewnętrzną wartość książki życzyćby chyba jeszcze wypadało, ażeby papier był lepszy; ten jaki jest, nie należy wcale do złych; sądzimy jednak, że gdyby był cokolwiek grubszy, lepiéjby odbijały się na nim drzeworyty.

= Z dziedziny **historyi polskiéj** wyszło w ostatnich miesiącach kilka bardzo interesujących utworów, które na tém miejscu zaznaczymy jedynie, ażeby następnie dać ich ocenę krytyczną. Przedewszystkiém wymienić wypada: „Historyi polskiéj ksiąg dwanaście“ przez profesora uniwersytetu Jagiellońskiego Józefa Szujskiego, daléj drugie wydanie „Dziejów Polski w zarysie“ przez Michała Bobrzyńskiego (dotychczas wyszedł tom I). Wielce zajmującemi są „Szkice historyczne“ Ludwika Kubali (2 części, we Lwowie), obrazujące niektóre wypadki i osobistości z wieku XVII; jest-to zbiór prac dawniejszych, drukowanych zazwyczaj od roku 1874 w „Przewodniku naukowym i literackim“ wychodzącym we Lwowie.— W drugiém powiększoném wydaniu pojawiły się „Zameczki podolskie“ przez Antoniego J. (Józefa Rollego), które po raz pierwszy ukazały się przed laty dziesięciu przeszło w „Przeglądzie polskim“ i zjednały autorowi, znanemu natenczas tylko z prac i pism lekarskich, zaszczytne miejsce w rzędzie opowiadaczy historycznych.— W drugiém również bardzo

powiększoném i przerobioném wydaniu wyszła praca p. Klemensa Kanteckiego, pomieszczona w *Ateneum* z r. 1876, p. n. „Stanisław Poniatowski. kasztelan krakowski, ojciec Stanisława Augusta“. Jak sam autor powiada, do pracy téj weszła zaledwie „mała cząstka dawnéj rozprawy“ a pogląd ogólny na charakter i znaczenie „ojca Stanisława Augusta“ uległ radykalnéj zmianie. „Gruntowniejsze studya nad epoką i nad rolą, jaką w niéj odegrał Poniatowski, powiada p. Kantecki, nie mniéj rosnące doświadczenie i dokładniejsze obeznanie się z ogólnym tokiem politycznych wypadków, wpłynęły na zmianę moich zapatrywań, kazały już-to złagodzić, już-to cofnąć sąd zbyt surowy i przedwczesny, wydany z tą stanowczością, jaka cechuje umysły młodociane, lubiące jednym zamachem przecinać węzły gordyjskie, a uważające głos uczucia za najwłaściwsze kryteryum w ocenianiu ludzi i faktów dziejowych. Zdobywszy się na uznanie krzywdy, wyrządzonéj mimowolnie pamięci wielkiego męża, poczytywałem sobie za obowiązek naprawić ją, dając popełnionéj omyłce jawny i głośny wyraz“. Wyznanie to świadczy wymownie o sumienności badacza, który potoczystością stylu i umiejętnością grupowania zyskał już sobie chlubne uznanie.

= **Rozpraw i sprawozdań wydziału filologicznego** Akademii Umiejętności w Krakowie wyszedł tom VII i zawiera trzy studya z zakresu filologii klasycznéj. Zajmującą, chociaż najmniéj naukowo opracowaną, jest rzecz Karola Mecherzyńskiego „O poemacie filozoficznym Lukrecyusza de Natura rerum uważanym ze strony estetycznéj“; wielce ciekawemi a źródłowo obrobionemi są rozprawki dra Kazimierza Morawskiego: „Studya nad historyą greckiéj wymowy“ i dra Bronisława Kruczkiewicza: „O różnicy, która zachodziła w złotym wieku literatury rzymskiéj między łacińskim językiem gminnym a poprawnym czyli klasycznym“. Oprócz tego znajduje się tu dra Edwarda Jelinka (Czecha): „Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich dotyczących rzeczy polskich“; dra Antoniego Kaliny: „Artykuły prawa magdeburskiego z rękopismu około r. 1500 i dra Lucyana Malinowskiego: „Ślady dyalektyczne w oznaczeniu samogłosek nosowych w kilku zabytkach języka polskiego z wieku XV i XVI.

= Wspomnimy tu jeszcze kilka rozprawek z działu **lingwistyki**, napisanych przez młodych pracowników. P. Jan Hanusz wydał a) pierwszy zeszyt „Materyałów do historyi form deklinacyjnych w języku staropolskim (wiek XIV i XV); w zeszycie tym przedstawił autor wykaz form przypadkowych: 1) w ułamku starożytnego kazania o małżeństwie, 2) w modlitwach kodeksu krakowskiego z r. 1375, 3) w kazaniach gnieźnieńskich z r. 1419 (Kraków 1880, str. 50; jest-to odbitka ze Sprawozdań komisyi językowéj Akad. umiej. tomu I). b) „O za-

kończeniu instrumentalu i locativu singul. masc.—neutr. i instrumentalu pluralis deklinacyi zaimkowéj i złożonéj w języku polskim" (Kraków, 1880, str. 16; jest to odbitka z Przeglądu akademickiego).— Ziomek nasz prywatdocent uniwersytetu kazańskiego N. Kruszewski w broszurze pod napisem „Lingwisticzeskija zamietki" streszcza najnowsze odkrycia w dziedzinie aryo-europejskiego wokalizmu, dokonane przez N. Brugmana i F. de Saussure'a, daléj rozbiera przemiany spółgłosek podwójnych, w trzecim zaś rozdziale rozprawia o absorbcyi morfologicznéj. (Warszawa 1880, str. 30). Tenże autor przełożył na język rosyjski „Ośm hymnów Rig-wedy" (Kazań 1879, str. 12).

— Całkowity przekład **Iliady** wierszem miarowym przez p. *Pawła Popiela* ukazał się w Krakowie (1880, str. 480). Z powodu dwu pieśni Iliady tego nowego tłomaczenia dawniéj już drukowanych podało *Ateneum* (w zeszycie kwietniowym z r. 1877) dość szczegółową ich ocenę, przyznając przekładowi wierność wyrazową, ale odmawiając mu znaczenia poetycznego. Obecnie sam p. Popiel w przedmowie do swéj Iliady objaśnia, że nie będąc poetą nie mógł się ubiegać o laur poetycki, pragnął tylko „niewolniczo" trzymać się tekstu „i o ile to było możliwém tłomaczyć słowo za słowem, a w każdym razie wiersz za wierszem." Słusznie tedy zaznacza tłomacz, że koléj wierszy w przekładzie odpowiada następstwu ich w oryginale; a jeżeli częstokroć, zmuszony koniecznością budowy wiersza, p. Popiel umieścił wyraz jaki z jednego wiersza w drugim, to działo się to jedynie „w obrębie ukończonego interpunkcyą zdania." Taki zamiar tłomacza i taki sposób tłomaczenia sprawiły, że Iliada p. Popiela może być niezłą pomocą dla uczniów, czytających epopeję grecką w oryginale i biedzących się ze zrozumieniem tekstu. Mając słownik do Iliady ułożony przez Łazarewicza i przekład dosłowny Popiela łatwiéj sobie z przyswojeniem sensu wierszy poradzą. Przekład atoli, któryby nam odtworzył piękność oryginału i do pewnego stopnia przynajmniéj zastąpił go, ciągle jeszcze życzeniem naszém jest tylko.

— **Wypisy z autorów starożytnych** dla użytku młodzieży ułożył *Kazimierz Kaszewski* (Warsz. 1880, str. 350). Książka ta, mająca zapoznać młodzież nie tylko z duchem ale i z formą utworów prozaicznych świata klasycznego, składa się z luźnych urywków a czasami całych utworów, wyjętych z pism Greków i Rzymian. Z pomiędzy Greków: Platon, Herodot, Ksenofont i Plutarch; z pomiędzy Rzymian: Cyceron, Liwiusz, Korneliusz Nepos, Pliniusz Młodszy i Waleryusz Maksym dostarczyli p. Kaszewskiemu materyału do ułożenia książki, któréj całość przejęta jest podniosłém obywatelskiém uczuciem. Takie ustępy jak *Maraton* (z Herodota), *W obozie Porseny* i *Bitwa pod*

*Kannami* (z Liwiusza), albo *Kryton* Platona, lub niektóre listy Cycerona i Pliniusza mogą niewątpliwie wpłynąć w sposób uszlachetniający na wrażliwe umysły młodzieży. Ale nie tylko tu wyszczególnione artykuły wybrane zostały z pewnym zacnym celem, nie mniéj i inne, drobniejsze mają swoje większe lub mniejsze znaczenie. Przekład z oryginałów jest wogólności bardzo staranny; dostrzedz tylko można kilkanaście niewłaściwych wyrażeń, które albo nie są polskie, albo téż nie odpowiadają tekstowi. Do pierwszych zaliczamy zdanie na str. 237 pomieszczone: „Po wydobyciu się z tych niebezpieczeństw, *nic innego nie czynił, tylko ratował* wielu, czém kogo mógł." Do drugich należy ustęp z Pamiętników Ksenofonta na str. 112—3, gdzie jest mowa o Eutydemie i Sokratesie. Tu między innemi czytamy: „Sokrates, chcąc ubość Eutydema, odpowiedział, że *głupstwem* (właściwie trzeba było powiedzieć: *naiwnością*) jest wierzyć, iż ludzie nie mogą się ukształcić w *rozlicznych* sztukach bez pomocy zdolnych mistrzów, i wzmiankował, że najważniejsza z nich wszystkich— sztuka rządzenia krajem—przychodzi ludziom sama z siebie." Tak wyrażona myśl Sokratesa całkiem niejasną się wydaje, gdy tymczasem w oryginale odnajdujemy ją bardzo wyraźną: Sokrates zrobił uwagę, że naiwnością byłoby twierdzić, jakoby najważniejsza ze sztuk, sztuka rządzenia, sama przez się ludziom stawała się dostępną, gdy, wedle zdania powszechnego, najpospolitszych nawet sztuk nie można się bez dobrych nauczycieli wyuczyć.—Usterki takie jednak nie są zbyt liczne i ogólnéj wartości *Wypisów* nie umniejszają.

= **Belletrystyka** nasza jak zawsze celuje nad innemi rodzajami literatury—ilością, gdyż karmić musi tłumy spragnione lekkiéj strawy. Płodność *Kraszewskiego* jest niewyczerpana. Oprócz dalszego ciągu powieści z pierwotnych dziejów Polski („Kraków za Łoktka," „Pogrobek") wyszły odbitki z czasopism: „Chore dusze," „Przygody pana Marka Hińczy," „Dwa Bogi, dwie drogi" (ta ostatnia powieść wydana w Mińsku). — *Teodor Tomasz Jeż* dał nam w roku zeszłym oprócz swych interesujących „wspomnień" dwie powieści: „Serce matczyne," gdzie przedstawił poświęcenie matki dla dobra córki i narysował kilka wybornych postaci wiejskich, tudzież „Wnuka Chorążego," gdzie nawiązując nić opowiadania do wspomnień „Historyi o pra-pra-wnuku i pra-pra-dziadku" skreślił obowiązki obywatela wśród dzisiejszych, tak bardzo zmienionych od czasu napisania owéj „Historyi" stosunków.— *Eliza Orzeszkowa* ogłosiła w „Kłosach" swoje „Widma." Treść tego opowiadania pokrewną jest wielce z tematem „Sylwka Cmentarnika" znanego czytelnikom *Ateneum.* Wytwarzanie się pojęć i dążności socyalistycznych na gruncie małomiasteczkowym, wśród młodzieży, która nie ma dostatecznéj rozumnéj opieki

z powodu ruiny majątkowéj albo upośledzonego stanowiska w hierarchii społecznéj upostaciowała autorka w dwu osobistościach — młodzieńcu i dziewicy — prawdziwie pomistrzowsku.— Zbioru pism *Henryka Sienkiewicza* wyszło tomów cztéry. Ponieważ *Ateneum* podało w roku zeszłym ogólną charakterystykę sympatycznéj działalności tego niepospolitego talentu, ograniczymy się tutaj na wskazaniu treści dalszych tomów. Tom 2 i 3 zawiera żywo pisane Listy z podróży i „Komedyą z pomyłek,“ tom czwarty mieści następujące opowiadania: „Przez Stepy,“ „Orso,“ „Za chlebem,“ „Z pamiętników nauczyciela poznańskiego,“ tudzież przysłowie dramatyczne: „Kto winien.“ Do zbioru tego nie weszły dwie najnowsze prace belletrystyczne Litwosa: „Jamioł,“ przedstawiający bolesne dzieje opuszczonéj przez wszystkich sieroty i „Niewola tatarska,“ gdzie Sienkiewicz przeszedł do dziedziny powieści historycznéj, przebierając się za szlachcica z wieku XVII, żyjąc jego myślami i uczuciami, przemawiając jego językiem. Próba ta jest próbą tylko; rzewność i miękkość nie licuje trochę z rubaszną a jowialną figurą szlachcica; a język pomimo że Litwos czasami dosłownie korzysta z dawnych źródeł (np. z „Pamiętników Jańczara,“) niezawsze dopisuje. Sądzimy wogóle, że taka maskarada powieściowa nie bardzo się zgadza z dzisiejszą dążnością do prawdy w sztuce.

= **Wydawnictwa Elizy Orzeszkowéj**, podjęte w Wilnie a napotykające w rozwoju swoim wiele trudności, zasługują na jaknajszersze i jaknajszczersze poparcie. Czytelnicy *Ateneum* znają już pierwszą, wstępną niejako książkę zagajającą wydawnictwo to, a mianowicie pięknie napisaną przez p. Orzeszkową rzecz „O patryotyzmie i kosmopolityzmie.“ W dalszym ciągu wyszły dotychczas: komedya Edwarda Lubowskiego „Sąd honorowy,“ zarys historyczny Walerego Przyborowskiego p.n. „Włościanie u nas i gdzie-indziéj,“ fragmenty dramatyczne Maryi Konopnickiéj p. n. „Z przeszłości,“ wreszcie obrazek dyalogowany Elizy Orzeszkowéj: „Pokociło się i dam nogę.“ Niebawem zaś wyjść ma studyum literackie Wilhelminy Kościałkowskiéj o „Władysławie Syrokomli,“ oraz „Poradnik dla osób wybierających książki dla dzieci i młodzieży“ przez Jana Karłowicza. Zawiadamiając tu tylko czytelników naszych o tych książkach, postaramy się dać wkrótce obszerniejsze ich oceny.

= W Tuluzie wyszła w r. 1880 książka pod napisem: **Droit romain et gréco-byzantin chez les peuples slaves**, *avec un appendice contenant un extrait serbe des lois romano-byzantines.* Jest-to dokonany przez d-ra Aleksandra Stekerta przekład dzieła, które w r. 1868 ogłosił po polsku w Warszawie senator Romuald Hube. Praca ta znalazła swojego czasu uznanie w świecie naukowym. W Zagrzebiu wydany

został przekład jéj na język kroacki, a *Heidelberger Jahrbücher* (r. 1868) pomieściły szczegółowy z niéj wyciąg. Uczeni słowiańscy, jak Bogiszić, Jireczek, Wasilewski, przyjęli jéj tezy co do powstania pierwszego zbioru praw bulgarskich, a profesor brukselski p. Adolf Rivière zużytkował badania senatora Hubego w dziele swém: Introduction historique au droit romain (r. 1879). Niniejszy przekład francuski, na prośbę tłómacza, wzbogacił autor kilku dopełnieniami.

= **Historya literatur słowiańskich** Pypina i Spasowicza, w języku rosyjskim napisana, doczekała się bardzo przychylnego przyjęcia nie tylko wśród Słowian, ale także wśród innych narodów europejskich. Na język czeski dzieje te przekłada *Antonin Kotik* („Historie literatur slovanskych"), na język niemiecki — *Traugott Pech* („Geschichte der slavischen Literaturen," wyszedł już tom pierwszy nakładem Brockhausa w Lipsku). Zapowiedziane jest także tłomaczenie na język francuski. W naszym języku ma się ukazać jedynie część téj historyi t. j. dzieje literatury polskiéj skreślone przez Włodzimierza Spasowicza. Przekładu dokonał w części Antoni Gustaw Bem, a nakład daje „Księgarnia nakładowa" w Warszawie. Tłomaczenie to drukuje się w Petersburgu.

---

= Badania nad dziejami literatury nigdy może nie zaprzątały tylu umysłów, co obecnie. Prace szerszych rozmiarów i szczegółowe monografie ukazują się niemal codziennie we wszystkich ogniskach ruchu umysłowego. Niemcy, jak we wszystkiém, podobnież i tutaj zdają się przewodniczyć innym i podawnemu interesują się nietylko własną przeszłością; zaglądając w świat starożytny i nowożytny, usiłują nawet niejednokrotnie wykrzesać z zabytków literackich ich głębsze, cywilizacyjne znaczenie. Właściwa im skłonność do abstrakcyi, nie zawsze przecież, jak wiadomo, osiąga cel pożądany, a często-gęsto służy tylko za pozór do nadawania szumnych tytułów. Manija ta jest tak powszechna, iż hołdują jéj nietylko dyletanci, ale nawet ludzie poważnéj nauki i lada książęczynę gotowi są ochrzcić wielce obiecującym tytułem. Nowy dowód podobnéj zarozumiałości złożył dr. *H. A. Manitius*, wydając drugi tom dzieła: **Die Sprachenwelt in ihrem geschichtlich-literarischen Entwickelungsgange zur Humanität**, którego tom piérwszy, traktujący o narodach Azyi, Afryki i Australii wydał już przed kilku laty. Tom II obejmuje świat Europy grecko-romańskiéj (Griechenland und die romanischen Völker). Niewiadomo, jak dzieło to uważać. Nie jest-to bowiem ani historya cywilizacyi, ani literatury, lecz co najwyżéj—pobieżny rzut oka na wybitniejszych przedstawicieli ruchu literackiego, powtórzenie

rzeczy aźnadto znanych w elementarnych podręcznikach. Żadnéj nawet charakterystyki pisarzów tu nie znajdzie czytelnik. A co się zaś tyczy owego „Etwickelungsgang zur Humanität,“ to prawdziwie niepodobna domyślić się, w czém go autor upatruje, ani jak wykaże? Źleby jednak było, gdyby tylko podobne dzieła zdolni byli tworzyć uczeni niemieccy. Ostatniemi czasy ukazało się i kilka prac nader poważnych, gruntownych, świadczących o wielkiéj pracowitości i sumiennémobrobieniu przedmiotu. W pracach tych spostrzegać się daje widoczna predylekcya do wieków średnich. Nie ma w tém nic dziwnego: pole to najmniéj uprawione zwraca dziś na siebie uwagę i Niemców i Francuzów i Włochów. Wszędzie rozpoczęła się skrzętna, mrówcza praca i to bardziéj filologicznéj niż literackiéj natury. Krytyka tekstów i drukowanie ich — zaprząta wszystkich niemal badaczów. Szczególniéj literatura romańska cieszy się gorliwą uprawą. Na tym punkcie podają sobie dłonie uczeni wszystkich narodów zachodu. W specyalnych czasopismach francuskich, niemieckich i włoskich spotykają się ciż sami niemal współpracownicy wszystkich narodowości. Gröber, Stengel, Ebert, Bartsch i inni figurują obok Rajny, D'Ancony, Gastona Paris, Meyer'a, Littrégo i innych. Znalazły się nawet usiłowania do ułożenia obrazu literatury średniowiecznéj na zasadzie nowych wyników badań. *Aubertin* napisał dwutomową literaturę francuską w wiekach średnich: **Histoire de la langue et de la littérature française au moyen-âge**. Paris, 1876—78. Nie wszystkich jednak pracą swą zadowolnił, bo nie wszędzie uwzględnił to, co uwzględnić był powinien, a w wielu razach jest rozwlekły i powierzchowny. Podobnego zarzutu nie uczyni krytyka sędziwemu *A. Ebert'owi*, który rozpoczął wydawać historyą literatury średniowiecznéj wogólności **Allgemeine Geschichte der Literatur des Mittelalters im Abendlande.** Leipz. I. tom 1874; II, 1880. Wydane dotychczas dwa spore tomy traktują o literaturze łacińskiéj aż do śmierci Karola Łysego. Praca to wielkiéj i wielostronnéj uczoności, jaka się tylko pomiędzy Niemcami spotyka; autor kolejno przechodzi pisarzów łacińsko-chrześcijańskich, wszędzie przeprowadza szczegółową analizę ich pism co do treści i kompozycyi i przypomina w ten sposób poniekąd Hettnera, lubo wpada w pewną nużącą monotonią. Ztąd téż pochodzi, że dzieło jego urasta do olbrzymich rozmiarów, których sam autor zdaje się obliczyć jeszcze nie jest w stanie. Ebert zamknął się w ścisłych granicach saméj literatury; tła jéj szerszego nie podsuwa, przez co praca przybiera bardziéj specyalny charakter naukowo opracowanego materyału, niż historyi literatury w lepszém znaczeniu. — Inaczéj natomiast postąpił *Körting*. Rozpoczął on historyą literatury włoskiéj w okresie Odrodzenia. Ma ona obejmować sześć

tomów, z których pierwsze dwa stanowią skończone w sobie monografie o Petrarce i Bokacyuszu: **Geschichte der Literatur Italiens im Zeitalter der Renaissance.** Leipz. I tom: Petrarca's Leben und Werke. 8-o, 723. 1878; II tom: Boccaccio's Leben und Werke; 8-o 742. 1880. Obydwa tomy wykończone zostały według jednego planu: zawierają życiorysy na tle ówczesnych stosunków z wielką drobiazgowością zestawione, poczém następuje również szczegółowy rozbiór pojedyńczych utworów owych pierwszych apostołów odrodzenia. Jest wszakże pewna różnica w wyczerpaniu materyału. Petrarkę rozważa Körting głównie jako filologa i znawcę klasycyzmu, szczegółowo rozpatruje jego pisma łacińskie, poezye natomiast włoskie traktuje od niechcenia, jakby z musu. Ostatni rozdział poświęcony lirykom Petrarki nie odpowiada bynajmniéj szerokiemu założeniu całości. Bokacyusza przedstawił natomiast bardziéj jednolitym i harmonijnym. Żadna strona jego działalności nie została zaniedbana, każdy utwór autora Decamerona znalazł gruntowną i wielostronną ocenę. W obydwóch tomach zasługują na szczególniejszą uwagę rozdziały, w których Körting usiłuje oznaczyć zakres wiedzy Petrarki i Bokacyusza. Dotychczas w gruntownych nawet pracach można było spotkać się z ogólnikami, które niewiele nauczyć mogły. Tu po raz piérwszy mamy do czynienia z faktami, wchodzimy na grunt pewniejszy. Co do Petrarki rezultat skrzętnych poszukiwań autora jest taki, że wielki apostoł humanizmu znał pisarzy rzymskich nie więcéj, niż wogólności średniowieczni uczeni; zasługa Petrarki polega więc nie na ilości, lecz na jakości wiedzy klasycznéj; był on pierwszy, co ducha klasycyzmu zrozumiał; jego to powagą osłoniony autor Enejdy stał się ideałem epika dla poetów Odrodzenia. Co do tego twierdzenia zgodzić się trudno z autorem, wobec wielkiéj popularności imienia Wirgiliusza jeszcze w wiekach średnich i predylekcyi ku niemu Dantego; była-to raczéj powaga przekazana generacyom późniejszym a wyrobiona przez wiele bardzo czynników. Lecz mniejsza o jeden szczegół. Na inném polu wiadomości Petrarki—jak to autor okazuje—sięgały niezbyt daleko: nauki przyrodnicze znał mało, a jeszcze mniéj ścisłe i stosowane; do jurysprudencyi czuł wstręt, lubo jéj doniosłość pojmował; medycynę lekceważył jako naukę, która leżała poza granicami klasycyzmu rzymskiego. Jest on tak zaślepionym jego wielbicielem, że upośledza nawet prace greckie, które znał tylko z posłuchu, z imienia. Ztąd poszło, że Warrona i Cycerona stawiał narówni z Platonem i Arystotelesem, Wirgiliusza z Homerem, a matematyka Seweryna z matematykami greckiemi. Bokacyusz natomiast nie posiada téj głębszéj znajomości klasycyzmu rzymskiego. Jeżeli w Petrarce przeważa — zdaniem Körtinga —

uczony nad poetą, to w Bokacyuszu odwrotnie. Jest on raczéj encyklopedystą i dyletantem, więcéj oczytanym (zna literaturę francuską, a z przekładów łacińskich częściowo grecką, żydowską i arabską), lecz powierzchownym. Podzielając z Petrarką nieznajomość nauk przyrodniczych tudzież wstręt do prawoznawstwa i medycyny, był przecież znawcą astronomii (i matematyki zapewne), lubo wierzył i w astrologią. Najwięcéj upodobania znajdował w naukach historycznych i wielokrotnie złożył dowody zmysłu krytycznego. — Potrącając o pracę Körtinga, a zwłaszcza o wskazane rozdziały, które stanowią główną zasługę publikacyi, mimowolnie zestawiamy je z dziełem *Lotheissena*, który rozpoczął wydawać literaturę francuską wieku XVII. **Geschichte der französischen Literatur im XVII Jahrhundert**. Wien, 1877—1879. Całość także na większe obliczona rozmiary; dotychczas wyszły dwa tomy, z których piérwszy obejmuje okres przejścia, drugi traktuje o rozkwicie literatury pod wpływem arystokracyi. Dzieło Lotheissena— sądząc z tego, co już ogłosił—odznacza się niepospolitemi zaletami: nie jest ciężkie, jakiemi zwykle bywają prace Niemców uczone, a jednak traktuje przedmiot z głębszego, filozoficznego stanowiska. Szczególniéj zasługuje na uwagę ścisłe zespolenie literatury z rozwojem społeczeństwa. Lotheissen, nie rozwodząc się zbyt szeroko nad tym ostatnim, umie jednak związek ów dostatecznie uwydatnić. Tom drugi daleko większą ma wartość od pierwszego i czyta się z wielkiém zajęciem. Skutek-to różnicy w samym przedmiocie. Trzy pierwsze dziesiątki XVII stulecia, czasy wytwarzania się nowych pojęć i form społecznych, nie obfitują w osobistości wybitne, w ideały sformułowane; tymczasem dwa następne mają Kornela i Kartezyusza. Niemi téż głównie zajmuje się autor. Są-to przedstawiciele swego czasu. Zwłaszcza pierwszemu poświęcił Lotheissen większą część tomu (125—352); jego tragedye ocenia mniéj lub więcéj szczegółowo z ciągłém uwzględnieniem ideałów ówczesnéj arystokracyi. Dlatego téż dwa początkowe rozdziały poświęcił treściwéj, lecz barwnéj charakterystyce życia, oświaty i ideałów arystokracyi francuskiéj. Rozdział „Die Ideale der Zeit“ (61—84) jest nowością, podobnie jak w pracy Körtinga ustępy o zakresie wiedzy Petrarki i Bokacyusza. Wobec zanikłego poczucia patryotyzmu, miłość, honor i sława były gwiazdami przewodniemi dla ówczesnéj „noblesse.“ Było w tém coś średniowiecznego, z silném zaakcentowaniem wyłączności arystokratycznéj. W rzeczywistości mniéj wzniosłe spotykały się kopie, lecz był-to przecież ideał, do którego dążono w przeciwieństwie do wytwarzających się form społeczeństwa z widoczném przechyleniem się ku monarchizmowi i centralizacyi. Miłość, honor i sława ówczesnéj

arystokracyi mają coś spaczonego, sofistycznego. Z czasem zmodyfikują się one i w inném ukażą się świetle, kiedy złamana „fronda" podda się samowładnéj woli Ludwika XIV. Sama już bowiem arystokracya, pomimo opozycyi, wiele w sobie posiadała tych pierwiastków, z których złożyło się hasło XVII wieku. Dążnością jego było wytworzyć porządek i piękność w życiu. Wiek siedmnasty z rzadką zgodnością ku temu zdążał zarówno w państwie i w kościele, jak w społeczeństwie i sztuce. Kartezyusz stanowi poniekąd przejście od ideałów dawnéj arystokracyi do późniejszych haseł, któremi kierowały się pokolenia młodsze. Jego stosunek do współczesnych pojęć i dążności, oraz wpływ na późniejsze generacye rozbiera Lotheissen dosyć szczegółowo, lubo mniéj może dobitnie wykazuje związek jego poglądów z ogólnym procesem umysłowym wieku XVII.

= Dzieło d-ra Rudolfa Sohma **Fränkisches Recht und Römisches Recht**. *Prolegomena zur Deutschen Rechtsgeschichte* (Weimar, 1880) jest na polu badań historyczno- prawnych nader zajmującém zjawiskiem. Głębokość i trafność poglądów, wolnych od cienia pychy narodowéj, która u Niemców, nawet uczonych, tak często pokazuje rogi, — odwaga, z jaką autor wypowiada swe przekonania, wreszcie forma lekka i ozdobna, lubo w niczém gruntowności wykładu nie ubliżająca, — są-to zalety niezawsze w dziełach naukowych razem napotykane. Godzi się zaznaczyć i tę okoliczność, że dr. Sohm, lubo jest profesorem uniwersytetu w Strasburgu, a więc w krainie oderwanéj od Francyi i z jawnym wstrętem panowanie niemieckie znoszącéj, ani poczuwa się do obowiązku lżenia Francuzów lub Alzatów, ani stara się schlebiać próżności swych rodaków, owszem, dla cywilizacyjnéj roli Francyi wypowiada szczere uznanie. O ile wiemy, żaden rozbiór tego dzieła nie ukazał się dotychczas, tylko, jak nam piszą, uczeni niemieccy zaczynają się tu i ówdzie odgryzać.

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Reskrypt znoszący akcyzę od soli — doniosłość téj reformy dla Cesarstwa i gubernij południowo-zachodnich — znaczenie jéj dla Królestwa — przypuszczalny wpływ jéj na ceny soli i ogólny na rozwój hodowli bydła i rolnictwa. — Kwestya pomocy naukowéj dla kształcącéj się młodzieży — ustawa stowarzyszenia w Wilnie—braki téj ustawy. — Odczyty na rzecz towarzystwa dobroczynności. — „Biblioteka najcelniejszych utworów". — „Wiosna".

W „Gońcu urzędowym" umieszczony został reskrypt znoszący od 1/13 Stycznia r. b. akcyzę od soli i zmniejszający wysokość cła opłacanego od soli zagranicznéj. Podatek ten istniał już w Cesarstwie przed wstąpieniem na tron Piotra I jako pewna opłata na rzecz skarbu od ilości wyprzedanéj soli, następnie ustanowiono cenę soli z urzędu, — reforma taka wpłynęła na zmniejszenie liczby handlujących; więc w pierwszych latach ubiegłego stulecia (1703) rząd zajął się sam rozprzedażą soli. Ówczesne ceny równały się podwójnéj wartości produktu z doliczeniem kosztów przewozu. System ten trwał do roku 1728; w ciągu trzech lat następnych sprzedaż soli powierzoną została prywatnym handlującym a od 1731 wprowadzono na nowo rządowy monopol. W r. 1748 ustanowiono cenę soli sięgającą od 35 do 50 kop. pud (1).

W roku 1818 opracowano nową ustawę, rząd zachowywał prawo produkcyi i sprzedaży soli, ale uprawnił jednocześnie konkurencyą prywatnych przedsiębierców, zobowiązując ich tylko do płacenia akcyzy na korzyść skarbu. Nareszcie w roku 1862 rząd zrzekł się na rzecz prywatnych przedsiębierców prawa produkcyi, sprzedaży i przewozu soli i ustanowił stałą opłatę akcyzną, normując ją względnie do rozmaitych gatunków soli i miejsc eksploatacyi od 10 do 35 kop. za

---

(1) Istorija finansowych uczreżdienij w Rossii. Hr. Tołstoj. Petersburg r. 1848.

pud. Tak hurtowa jak i detaliczna wyprzedaż soli, nie ulegając ograniczeniom, korzystała z praw wolnego handlu, a sól przywożoną z zagranicy oclono do wysokości 38½ kop. od puda. Dochód skarbu, płynący z akcyzy od soli, sięgał w ostatnich latach (bez cła pobieranego od soli zagranicznéj) 12 milionów rubli.

W dawnéj Rplitéj sól przynosiła także dochód skarbowi.

Według świadectwa ks. Jana Bielskiego (1) dochód ten wliczony do hiberny wynosił z prowincyj wielkopolskich 30,300 złp. i małopolskich 11,481 złp. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego utrzymano wprowadzony za rządów pruskich monopol rządowy, zakupując sól w Austryi i Prusach. Traktat 1809 roku zapewnił Księstwu bezpłatnie 500,000 cetnarów soli z Wieliczki. Sól wówczas sprzedawaną była z magazynów rządowych po cenach od zł. 4 gr. 24 do zł. 8 gr. 24 pud.

W r. 1813 po zaborze kopalni wielickich na wyłączną własność Austryi, ogłoszono wolny handel solą, z opłatą cła od puda zagranicznéj soli zł. 1 gr. 28. Ceny mogły być stanowione przez handlarzy; zastrzeżono tylko ich jednostajność i ogłaszanie w pismach publicznych. W roku 1814 rząd Księstwa zawarł dwuletni kontrakt na zaopatrywanie solą pięciu departamentów, utrzymując nadal wolny handel w pozostałych. Dochód skarbu powstający z cła pobieranego na komorach (po zł. 6 i złp. 7 gr. 10 od cetnara) wynosił wówczas przeszło złp. 5,000,000.

Rok 1816 przyniósł nową zmianę, wrócono bowiem do dawnego monopolu i wydzierżawiono go na lat pięć, — sól przywożoną z zagranicy sprzedawano pod kontrolą urzędników i po cenach przez rząd ustanowionych, a w roku 1821 rząd objął na siebie rozprzedaż soli w kraju i administracyę magazynów, ustanawiając jednostajną cenę po złp. 8 gr. 20 pud dla wszelkich gatunków soli. Jednocześnie wszedł w wykonanie układ zawarty z Austryą, na podstawie którego rząd austryacki zobowiązał się dostarczać bezpłatnie na rzecz pretensyj polskich 350,000 cetnarów wiedeńskich soli i 100,000 cetnarów za opłatą po złp. 5 gr. 25 za cetnar. Oprócz téj ilości soli kupowano jeszcze w Prusach 100,000 cetnarów soli liwerpolskiéj.

W dalszym przebiegu lat na podstawie nowych kontraktów aż do r. 1842 rząd miał zapewnioną odpowiednią ilość soli zagranicznéj, która z solą wywarzaną w Ciechocinku zaspokajała potrzeby kraju. Układy z rządem austryackim odnowione i przedłużone zostały do r.

(1) Widok Królestwa Polskiego ze wszystkiemi województwami, Księstwy i Ziemiami i t. d. W drukarni Collegium Poznańskiego Soc. Jesu. 1763 r.

1852 a po zniesieniu linii celnéj między Cesarstwem a Królestwem zniżono cenę soli w kraju, poczynając od r. 1851. Straty, powstałe dla skarbu Królestwa z powodu zniesienia monopolu rządowego, wynagradzał skarb Cesarstwa wypłacając corocznie 1,060,424 rub. Kompensata ta ustała od r. 1866, gdyż opłatę cła oraz akcyzy od soli przeniesiono do budżetu Cesarstwa.

Nareszcie w r. 1873 wprowadzono w Królestwie zasadę wolnego handlu solą, akcyzę zniesiono, całe zapasy soli, będące w magazynach rządowych sprzedano austryackiéj kompanii morskiéj, a cło ustanowione od soli zagranicznéj zrównano z cłem pobieraném w Cesarstwie po 38½ kop. od puda.

Do r. b. cło od soli zagranicznéj stanowiło więc jedyny dochód, jaki przynosiła skarbowi sól spożywana w granicach Królestwa. Za przeciąg lat od 1851 do 1865 dochód z soli przynosił skarbowi Królestwa około 2,300,000 r. rocznie.

Przytoczyliśmy powyższe szczegóły dla uwidocznienia, że zniesiona obecnie akcyza od soli stanowiła od bardzo dawna stałe i nieprzerwane źródło dochodu skarbu. Częściowe odstępstwo od zasady opodatkowania soli, uczynione w r. 1873 przez wprowadzenie w Królestwie wolnego handlu solą, zastosowane teraz zostało i do całego Cesarstwa. Główne zasady reformy polegają na zniesieniu akcyzy i zmniejszeniu cła od soli zagranicznéj. Wypracowanie odnośnych szczegółowych przepisów powierzone zostało p. ministrowi skarbu, nie ogłoszono ich dotąd; nie wiemy więc, o jaką sumę obniży się obowiązująca obecnie opłata celna.

Dla Królestwa jest-to kwestya dość ważna, ileże dobrodziejstwa obecnéj reformy dotkną go tylko w tym punkcie. Nie mając swoich warzelni ani kopalni, Królestwo zaspokaja potrzeby swoje prawie wyłącznie solą zagraniczną. Do roku 186⁶/₇ potrzeby kraju zaspakajała sól obca: resztę potrzeb miała pokrywać warzelnia ciechocińska i sól przywożona z Cesarstwa. Obecne stosunki już są odmienne; produkcya ciechocińskiéj warzelni nie ma prawie znaczenia dla kraju. Wywarza ona zaledwie 40,000 pudów soli rocznie; cały ten zapas zakupuje rząd, płacąc po 36 kop. pud, i jak dotąd przedaje go „Austryackiéj Kompanii Morskiéj“ po 50 kop. pud, na mocy kontraktu obowiązującego rząd do 1 stycznia r. b. Czy zapas ten rozprzedaje się w kraju czy też wywozi się zagranicę i w jakiéj części, nie wiemy; kontrakt zaś nie mieści w sobie zakazu wywozu. Zresztą przy tak nieznacznéj produkcyi kwestya pozostawania ciechocińskiéj soli w kraju lub wywozu jéj za granicę zdaje się być obojętną, lecz wobec takiego zmniejszenia miejscowéj produkcyi (sięgającéj dawniéj, kiedy warzelnie ciechocińskie były w administracyi Banku polskiego, 400,000 pudów corocz-

nie) i niewielkiego odbytu w kraju soli krymskiéj, dochodzimy do przekonania, że kwestyi cła lekceważyć nie można a wniosek ten postaramy się usprawiedliwić wykazaniem wpływu cła na praktykowane u nas ceny soli.

Przy cząstkowéj rozprzedaży pud soli kamiennéj kosztuje obecnie w Warszawie 1 rs. 5 kop. kuchennéj (tak się nazywa w handlu ta sama sól kamienna tłuczona i sprzedawana nie w bryłach leczw drobnych kawałkach) 1 rs. 20 kop. Cło, jak-eśmy już wskazali wyżéj, wynosi 38½ kop. od puda. Gdy jednak od r. 1877 te 38½ kop. wymagane są w monecie brzęczącéj, przeto równają się według ostatniego kursu prawie 60 kop., wynika więc z tego, że cło wynosi prawie ⅗ ceny puda soli pierwszego gatunku a połowę ceny puda soli kuchennéj.

Dla Cesarstwa i tak zwanych prowincyj zachodnich dobrodziejstwa reformy są donioślejsze niż dla Królestwa, oprócz bowiem ułatwienia dowozu soli zagranicznéj uwolnione one zostały od ponoszenia kosztów akcyzy wynoszącéj od 10 do 35 kop. od puda.

Nie mamy danych co do cen praktykowanych w tamtych stronach, ani téż co do tego, jakie gatunki soli mają tam największy odbyt, nie możemy więc tak, jak-eśmy to uczynili dla Królestwa, wykazać udziału opłat rządowych w ogólnym koszcie puda soli, przypuszczając że opłaty te stanowią średnio tylko ¼ część ceny przedażnéj puda soli, co w żadnym razie nie zdaje się wygórowaném, obniżenie jéj o 25% będzie bardzo znaczném i pełném doniosłości dla rolnictwa i hodowli bydła.

W tym właśnie kierunku upatrujemy największe znaczenie ostatniéj reformy, zmniejszenie cła w Królestwie, połączone z nim zniesienie akcyzy w Cesarstwie i prowincyach zachodnich, sprowadzą, jako naturalne następstwo, obniżenie cen soli i ułatwią oględne dotąd i stosowane tylko w większych gospodarstwach użycie tego produktu dla bydła.

W Królestwie idzie o rozpowszechnienie użycia, sól bowiem, nie mówiąc już o bydle opasowém, daje się i teraz we wszystkich większych gospodarstwach i inwentarzowi, ale w guberniach litewskich dawanie soli bydłu spotyka się dotąd tylko w wyjątkowych gospodarstwach, gdyż koszt tego produktu przenosił siły większéj części majątków.

Wzgląd na rozwój hodowli bydła a tém samém i na rolnictwo wywołał zniesienie tego podatku w Anglii, Belgii, Holandyi i Cesarstwie Niemieckiém (1); ten sam wzgląd służył za podstawę p. GDło-

---

(1) Traité de la science des finances. Leroy-Beaulieu. T. I, str. 633—640.

waczowowi (1) do żądania zniesienia tego podatku w Rosyi. Autor ten opierając się na danych, zebranych przez komisyą do zbadania stanu gospodarstw, obliczył, że upadek bydła w Cesarstwie wynosi 1,3% rocznie, a że przez dodanie soli do karmu przeznaczonego dla bydła może on być ograniczony do 0,3%, jak to ma miejsce w prowincyach nadbaltyckich, gdzie dawanie soli bydłu jest w powszechném użyciu.

W Anglii po zniesieniu podatku od soli ilość bydła zwiększyła się znacznie w pierwszym zaraz roku po wprowadzeniu reformy, produkty zaś otrzymywane z hodowli bydła spadły w cenie o 50%.

Jużeśmy mieli sposobność wspominać w naszych kronikach o koniecznéj potrzebie rozwoju u nas hodowli bydła, chociażby dla celów rolniczych, zwłaszcza wobec wzrastającéj coraz bardziéj konkurencyi Ameryki na rynku zbożowym.

Reforma, o któréj mówimy, zdaje się sprzyjać temu rozwojowi, użycie bowiem soli do karmu dla bydła dając ilościowo i wartościowo lepsze produkty, zapewnia większe zyski z bydła hodowanego na sprzedaż, pozwala więc pomnażać liczbę inwentarza i daje tém samém możność ulepszania większéj przestrzeni gruntów.

Tak się przedstawia teorya; czekajmy na stwierdzenie się jéj w praktyce. Dodajemy tymczasem, że miejsce zniesionéj opłaty akcyznéj od soli, zająć mają nowe podatki, z których dotąd piszą i mówią tylko o dochodowym, i my też pomówimy o nim w następnych kronikach.

---

Dwa lata upływa od chwili, w któréj prasa nasza roztrząsała potrzebę utworzenia krajowego stowarzyszenia pomocy naukowéj dla kształcącéj się młodzieży. Znany okólnik p. ministra oświecenia zdawał się zapowiadać, że projekt ten nie będzie długo czekał na urzeczywistnienie; inaczéj się jednak stało, gdyż kwestya uorganizowania pomocy naukowéj pozostaje dotąd w rzędzie dezyderatów. Nie śmiemy nikogo oskarżać, témbardziéj że nie posiadamy wiadomości o tém, gdzie i na czém zahaczyła się cała ta sprawa, lecz nie możemy powstrzymać się od zakomunikowania czytelnikom, że nie wszędzie tak źle jak u nas.

Oto w Wilnie podobne stowarzyszenie istnieje już od kilku miesięcy i ma stu kilkudziesięciu członków. Wnosić więc można, iż chyba my sami jesteśmy powodem, że urzeczywistnienie naszych projektów jest dotąd rzeczą przyszłości; wobec zatwierdzenia podobnéj ustawy dla Wilna i dla Mińska Lit. trudno myśléć inaczéj. Czyż-

---

(1) Woprosy gosudarstwlennaho choziajstwa. Petersburg 1873.

byśmy mieli być w gorszych pod tym względem warunkach od Wilna? Zdaje się że tak nie jest, a z drugiéj strony sprawa pomocy uczniom nie straciła wcale na ważności. Dobrze więc byłoby rozpocząć ponowne starania, możeby się teraz i nam lepiéj powiodło, témbardziéj że, o ile widzimy z rosyjskiéj gazety „Mołwy,“ istniejący przy ministeryum komitet naukowy opracował już szematyczną ustawę dla stowarzyszeń tego rodzaju, a p. minister oświecenia już ją zatwierdził.

Nie znamy jéj w całéj rozciągłości, wiemy jednak, że opieka towarzystwa pomocy naukowéj ma ustawać z chwilą ukończenia przez ucznia średniego zakładu naukowego. Przyjęto więc zasadę wprost przeciwną zasadzie statutów istniejącego od lat 39 w Poznaniu „Towarzystwa naukowéj pomocy imienia Karola Marcinkowskiego,“ które zapewnia materyalne środki zarówno wychowańcom wyższych zakładów naukowych.

Ustawa wileńska nie odbiega zbyt daleko od szematycznéj ustawy zatwierdzonéj przez Komitet Naukowy i ma niektóre wspólne z nią ujemne strony.

Podajemy główne zasady ustawy wileńskiéj w téj myśli, że przydadzą się one tym, których sprawa kształcącéj się młodzieży pobudzi do działania, chociażby dlatego, żeby przy opracowywaniu statutów naszego stowarzyszenia uniknąć usterek i niedokładności mogących niekorzystnie wpłynąć na rozwój instytucyi.

Towarzystwo wileńskie przychodzi z pomocą uczącym się w męskich i żeńskich średnich zakładach naukowych. Lecz, w kilku w ustawie wskazanych wypadkach, opieka tow. nie ustaje i po opuszczeniu przez ucznia murów gimnazyum, a mianowicie: dopomaga ono uczniom przechodzącym do innych zakładów z przyczyn zasługujących na uznanie, tym którzy byli zmuszeni opuścić szkołę przed jéj ukończeniem ułatwia znalezienie zajęcia i pracy, może téż dostarczać środków uczniom, wstępującym do wyższych zakładów naukowych.

Uczącym się pomaga tow. częściowém lub całkowitém opłacaniem wpisu; udzielaniem bezpłatnie, lub za niewielką opłatą, podręczników szkolnych, ubrania i obuwia; dawaniem zapomóg na kuracyą w razie choroby i opłacaniem korepetytora niezbędnego często dla zastąpienia opuszczonych w czasie choroby wykładów.

Liczba członków rekrutujących się z pomiędzy pełnoletnich osób płci obojéj nie ulega naturalnie żadnym ograniczeniom. Członkowie dzielą się na trzy kategorye honorowych i stałych, wnoszących jednorazowo po 100 i po 75 rub., i rzeczywistych, wpłacających rocznie po rub. 3 jednorazowo lub w ratach półrocznych. Wyłączeni są od udziału w stowarzyszeniu wychowańcy zakładów naukowych.

Zastrzeżenie, że tylko osoby pełnoletnie mogą być przyjęte na członków, samo przez się odbiera całéj masie uczniów możność należenia do tow., zdaje się więc, że ograniczenie to jest dostateczném, i nie należałoby obok tego wyłączać jeszcze specyalném nadmienieniem uczących się; uczniowie klas wyższych, nieraz pełnoletni, mogliby dawać zarządowi bardzo cenne wskazówki co do potrzeb kolegów swoich, a powoływanie ich do podobnéj narady może wywierać wpływ zbawienny na umysł młodzieńca.

Fundusze i zasoby stowarzyszenia powstają nie tylko z opłat członków lecz i z widowisk i koncertów urządzanych na korzyść towarzystwa, tudzież z dobrowolnych ofiar w pieniądzach, książkach i innych odpowiednich przedmiotach. Wydatkują się one na mocy decyzyi zarządu w skutek podań rodziców, lub przedstawienia gimnazyalnych rad pedagogicznych.

W kwestyi zarządu sprawami stowarzyszenia ustawa wileńska zgodna jest z wymaganiami szematycznéj ustawy, oddaje go bowiem w ręce dyrektora gimnazyum, kilku nauczycieli i kasyera wybranego z grona członków, z wyłączeniem od udziału w zasadzie innych członków, rodziców i opiekunów kształcącéj się młodzieży. Naturalnie że przedstawiciele władzy wychowawczéj muszą mieć miejsce w zarządzie, ale z tego nie wypływa jeszcze konieczność usunięcia innych.

Przypuszczenie do zarządu rodziców, opiekunów i wogóle poważniejszych obywateli kraju, z pewnością oddziałałoby dodatnio na sam rozwój instytucyi. Wprowadzenie bowiem ludzi dokładnie obeznanych z miejscowemi warunkami ułatwić tylko może zarządowi wypełnienie ciążących na nim obowiązków. Jeden z ważniejszych np. „dbałość o powiększenie zasobów towarzystwa“ dla obcych wcale nie jest łatwym, i bez pomocy ludzi najbardziéj zainteresowanych w rozwoju instytucyi może pozostać martwą literą. Zresztą już sama kwestya szafowania funduszami stowarzyszenia, powierzona także zarządowi, wymagać się zdaje koniecznego udziału tych, którzy przeważną część tych funduszów złożyli.

Rewizya sprawozdań, składanych przez zarząd ogólnemu zebraniu członków, nie jest tu wystarczającą, gdyż ma miejsce dopiéro po skończonym roku, a więc po fakcie spełnionym; może się zaś zdarzyć, że fundusze stowarzyszenia z krzywdą biedniejszych rozdane będą tym właśnie, którzyby się bez téj pomocy obejść mogli.

Dlatego téż zarząd powinien się składać nie tylko z przedstastawicieli władzy, lecz i z innych członków wybranych na ogólném zebraniu.

Pozostałe obowiązki zarządu polegają na prowadzeniu rachunków, przedstawianiu sprawozdań, sprawdzaniu stanu kasy i zwoływaniu ogólnych zebrań.

Te ostatnie winny mieć miejsce przynajmniéj raz na rok dla wybrania członków honorowych i komisyi rewizyjnéj, sprawdzenia rachunków a raczéj sprawozdań zarządu i rozstrzygania kwestyj przedstawianych przez zarząd lub wymagających zasadniczych zmian w ustawie, o co znowu trzeba się udawać do ministra.

Taka jest główna treść ustawy wileńskiéj; ma ona swoje niedokładności, któreśmy się starali wykazać, ale ma tę wielką zaletę, że już istnieje; a przypuszczać należy, że usterki z rozwojem stowarzyszenia dadzą się usunąć.

Wychodząc zaś po-za obręb ustawy wileńskiéj dodamy, że w statutach tutejszego stowarzyszenia należałoby przeprowadzić zasadę, iż pomoc udzielana uczącym się jest bezprocentową pożyczką, którą obowiązani są oddać kasie stowarzyszenia, skoro raz wejdą na drogę praktycznego zawodu.

---

Po odczytach p. Stanisławskiego miały jeszcze miejsce w listopadzie dwa odczyty z dziedziny nauk przyrodniczych pp. Milicera i Boguskiego. Pierwszy mówił o „Smole węgla kamiennego“ otrzymywanéj jako uboczny produkt przy wydobywaniu gazu.

Ze znaną powszechnie jasnością i dokładnością prelegent opowiadał, jak przez stosowną dystylacyą ze smoły téj otrzymuje się benzol złożony z węgla i wodoru. Drogą zastępowania wodoru innemi ciałami otrzymują się liczne związki. pomiędzy któremi związek benzolu z kwasem azotowym daje nitrobenzol używany przy wyrabianiu kosmetyków, zwłaszcza zaś mydła migdałowego. Nitrobenzol pod działaniem cynku, kwasu siarczanego lub t. p. związków przeistacza się w anilinę. Ta znowu daje szereg świetnych barw czerwonych, fioletowych, błękitnych i mieniących się, używanych do farbowania nici i tkanin. Tym sposobem prelegent dowiódł i poparł doświadczeniami, że zapach mydła migdałowego w kosmetykach i kolory tkanin jedwabnych są tylko przeistoczoną smołą węgla kamiennego.

Treścią odczytu p. Boguskiego była „cząsteczkowa budowa ciał“. Prelegent zajął słuchaczów historycznym zarysem rozwoju teoryi w tym kierunku, poczynając od poglądów mędrców świata starożytnego. Zatrzymywał się nad teoryami Leucypa, hipotezami Kartezyusza, Roberta Boyle'a, Newtona i jezuity Boskowića. Sądy tych wszystkich uczonych nie mają obecnie wartości według p. Boguskiego, są bowiem zbyt arbitralne, nie oparte na dostatecznych doświadczeniach i obracają się w sferze abstrakcyj. Pierwszym z uczonych, który

przyczynił się do rzeczywistego rozwoju teoryi atomistycznéj, był zdaniem prelegenta niemiecki chemik Richter, który przekonał się, że zasady łączą się z kwasami w stosunkach stałych. Rezultaty badań Richtera rozwinął dopiero Jan Dalton; podzielił on ciała na molekuły a te ostatnie na atomy, łączność atomów pomiędzy sobą nazwał powinowactwem chemicznem, a zespolenie molekuł—siłą spójności. Dalton też wyprowadził prawo stosunków wielokrotnych i dał pojęcie o własnościach atomów.

W dalszym ciągu p. Boguski mówił o pracach Dulong'a, Bunsena i zajął się bezwzględną wielkością atomów i teoryami Klauziusa i Thomsona. Przeszedł następnie do podzielności atomów, a idąc za zdaniem Tyndala twierdził, że zbadanie niepodzielności atomów zależy od rozwoju wiedzy w przyszłości, dotąd zaś jest ono jeszcze niemożebném. Wszakże teorya atomistyczna i teraz już oddaje ważne usługi fizyce i filozofii, a opieranie się na doświadczeniu, pomijając abstrakcye, posunęło ją w ostatnich kilkunastu latach o wiele daléj, niż to uczyniły całe szeregi wieków. Na zakończenie p. Boguski zwrócił uwagę na konieczność zakładania gabinetów i laboratoryów dla ułatwienia studyów nad naukami doświadczalnemi; bez laboratoryów możemy, według słów prelegenta, być zmuszeni do zajęcia podrzędnego miejsca w szeregu ludów ucywilizowanych.

Wszystkie następne odczyty treści literackiéj odbyły się w grudniu. Rozpoczęła je Deotyma (panna Jadwiga Łuszczewska) prelekcyą o Klementynie Hofmanowéj, nietylko jako autorce lecz i rozumnéj reformatorce.

Deotyma zaznaczyła na wstępie nieuzasadnione obecnie lekceważenie prac Hofmanowéj i podniosła jéj zasługi jako autorki dzieł dla dzieci, pracy niezmiernie trudnéj, w któréj dotąd nikt Hofmanowéj nie sprostał. Wskazała następnie, że Hofmanowa była pierwszą występującą w sprawie emancypacyi kobiet, że ograniczając działalność swą w tym kierunku do rzeczy dających się dokonać w danych okolicznościach, starała się przeprowadzić je łagodnie, nie wywołując zadrażnień ani też pobudzając do raptownych przeskoków. Hofmanowa pierwsza wskazywała konieczność rozszerzania zakresu wiedzy udzielanéj kobietom i wymagała dla nich książek poważnéj treści zamiast romansów.

Prelegentka nie wdawała się w szczegółowy rozbiór prac Hofmanowéj i poprzestała na zaznaczeniu, że niektóre z nich należą do znakomitszych w naszéj literaturze i że słusznéj i bezstronnéj oceny prac téj autorki literatura nasza dotąd nie posiada. Zwracając się do matek, które korzystały z prac Hofmanowéj, Deotyma wezwała je do

składek na pomnik dla téj autorki, proponując nań miejsce w Saskim ogrodzie na trawniku oddanym dla zabaw dziecinnych.

Po Deotymie przemawiał z katedry p. Sienkiewicz „O naturalizmie w powieści“.

Kierunek ten jest krańcowym objawem realizmu zainaugurowanego przez Balzaka i Beyle'a (Stendhal) a w Zoli znalazł nietylko apostoła lecz i prawodawcę.

Zola w roli przewódcy „sekty“ narzuca swoje wyznanie wiary, każe ustąpić przedstawicielom innych kierunków i głosi, że „naturalizm“ jest jedynie prawdziwym kierunkiem. Podstawę do tak śmiałéj propagandy Zola upatruje w tém, że ze wszystkich dotychczasowych kierunków tylko naturalizm opiéra się *na prawdzie*, wynika więc z tego, że idące po sobie kierunki: klasyczny, romantyczny i realistyczny miały jéj być pozbawione. Krytyczna ocena tezy, tak stanowczo wygłaszanéj przez Zolę, a niemniéj znaczenia i wartości naturalistycznego kierunku, była właśnie przedmiotem odczytów p. Sienkiewicza.

Prelegent zaznaczył, że oprócz zerwania z moralnością i estetyką naturalizm nie wprowadził nic nowego do powieści, a jednak tenże fizycznych naturalizm twierdzi, że przetworzył ją całkowicie przez wprowadzenie do niéj fizyologii. Spoglądając na człowieka jako na siedlisko procesów fizycznych i chemicznych, naturalizm odrzuca psychologią i twierdzi, że wszystko, co podaje czytającym, jest rezultatem spostrzeżeń naukowych—fizyologią w przykładach. Zdaniem prelegenta i tu wszakże naturalizm rozmija się z prawdą, albowiem przykłady te jako wytwór fantazyi powieściopisarskiéj nie mogą mieć charakteru doświadczalnego, jaki im Zola gwałtem przypisuje.

Nareszcie p. Sienkiewicz podniósł istotny talent mistrza „sekty“, którego kilka utworów celuje plastyką artystyczną. Dodał także, że pisma autorów naturalistycznych przedstawiają materyał do studyów nie dla ogółu wprawdzie, który powinien od nich stronić, lecz tylko dla pisarzy obowiązanych zajmować się niemi dla nauki.

Nasza sztuka, według słów prelegenta, zapatrzona w ideał dobra, prawdy i piękna, winna pozostać nazawsze „arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty“.

Po Sienkiewiczu wstąpił na katedrę p. Władysław Bogusławski i w dwu odczytach zaznajamiał słuchaczów z „Faustem“ Goethego. Umiejętnie i pięknie nakreśliwszy zarys epoki, w któréj wielki wieszcz germański powziął początkowy pomysł swego potężnego utworu, rozbierał następnie po kolei część pierwszą i drugą, wykazując zarówno szczegółowe piękności jak i brak artystycznego zaokrąglenia w kreacyi poetycznéj rozważanéj jako całość. Pod tym względem wywią-

zał się prelegent ze swego popularyzatorskiego zadania wybornie odczyt jego opracowany był starannie i miał ustępy prawdziwie piękne. Istotną przysługą dla polskich czytelników „Fausta“, którzy obecnie mają sposobność zapoznać się po raz pierwszy z jego całością w przekładzie Feliksa Jezierskiego, było udatne chociaż naturalnie szkicowe tylko streszczenie części drugiéj, przedstawiającéj nie mało zawiłych zagadek. Atoli obok tego czysto-estetycznego chciał prelegent dokonać innego zadania; wykazywał, że Goethe był wstrętnym egoistą który nikogo nie kochał prócz siebie, że w poemacie jego nie dźwięczy struna miłości zbiorowéj, co sprawia, że „Fausta“ uważać musimy (zdaniem p. Bogusławskiego) nie za poemat wszechludzki, ale za, wyłącznie niemiecki, którego myśl zasadniczą spełnia dzisiaj w sposób tak wstrętny — Bismarck. Ani na ten ostateczny wynik ani na jego motywa zgodzić się nie można. Szlachetném zapewne było oburzenie prelegenta na zasadę „siły przed prawem“, ale oburzenie to nie mogło wypływać z przedmiotu prelekcyi. Poetę i jego utwory należy brać, jak są, nie wymagając od nich tego, czego w nich nie ma. „Faust“ przedstawia nowożytne rwanie się myśli ciągle badającéj, nigdy nie zaspokojonéj: autor jego nie chciał i nie potrzebował obrazować człowieka we wszystkich jego stosunkach, ze wszystkiemi jego żądzami, popędami i natchnieniami. Można zarzucić Goethemu, że metamorfoza myśliciela na męża dążącego do czynu odbywa się w sposób niekompletny a nawet ułomny; (i p. B. zarzut ten sformułował słusznie); ale nie można twórcy „Fausta“ wytaczać procesu za to, co robi Bismarck, ani narodowi niemieckiemu za to, że miał tylko (! takiego wieszcza jak Goethe....

P. Spasowicz zamknął szereg odczytów na rzecz Towarzystwa Dobroczynności. Mówił o Szekspirowskim Hamlecie. Pierwszy z tych odczytów mają już czytelnicy przed sobą; drugi ukaże się w zeszycie lutowym.

---

Na zakończenie zwrócimy jeszcze uwagę czytelników na istniejące od r. 1874 wydawnictwo „Biblioteki najcelniejszych utworów“. W przeciągu siedmioletniego swego istnienia Biblioteka oddała w ręce czytających nie tylko cenniejsze dzieła naszych autorów z bieżącego stulecia jak: Skarbka, Siemieńskiego, Libelta, Niemcewicza, Słowackiego i innych ale sięgnęła do wieku XVIII i XVII przez wydrukowanie dzieł Krasickiego, Zabłockiego i Wacława Potockiego. Uwzględnione były także celniejsze utwory innych narodów. W r. b. oprócz „Dziejów literatury powszechnéj z illustracyami“ redakcya zapowiada ukazanie się powieści Jeża „Uskoki“, „Wybór poezyj“ Ada-

ma Naruszewicza, „Nibelungów“ w przekładzie Szabrańskiego, „Komedyi Ludzkiéj“ Balzaka i „Francyi przed rewolucyą“ (L'ancien reginu) Taine'a.

Postępując tą drogą „Biblioteka“ pragnie z jednéj strony zgromadzić skarby dawnego piśmiennictwa ojczystego, a z drugiéj—ułatwić zapoznanie się z pierwszorzędnemi utworami literatury europejskiéj tym wszystkim, dla których to jest trudném czy-to wskutek braku większych księgozbiorów, czy też dla niedostatecznéj biegłości w obcych językach.

Do szeregu pism peryodycznych, rozpoczynających życie w roku bieżącym, o których wzmiankowaliśmy w listopadzie i w grudniu, obecnie dodać jeszcze możemy „Wiosnę“, czasopismo tygodniowe dla panien wydawane przez Maryą Ratyńską, pod kierunkiem literackim Jadwigi Zeitheimówny (Jaskółki).

---

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Za Redaktora, **Piotr Chmielowski**.

Zaproszenie do przedpłaty na r. 1881—IX wydawnictwa.

# GAZETA SĄDOWA

## WARSZAWSKA

dąży do rozszerzenia zdrowych pojęć prawnych w wykształceńszych warstwach naszego społeczeństwa i do czynienia zadość potrzebom naszej praktyki sądowéj. Liczni współpracownicy i korespondenci z kraju i zagranicy wypełniają wszystkie 22 rubryki, jakie na zasadzie koncesyi w Gazecie wprowadzone być mogły, z pożytkiem nietylko dla czytelników prawników, lecz i dla każdego wykształceńszego członka społeczeństwa, który pamięta o swych obowiązkach obywatelskich. Na pytania, nadsyłane do Redakcyi (Grzybowska Nr. 29), zawierające kwestye prawne, napotykane w praktyce, budzące ogólniejszy interes, Redakcya odpowiada w jednym z najbliższych numerów.

W nadchodzącym roku Redakcya postanowiła wprowadzić do Gazety **dwie nowe rubryki**, a mianowicie:

1) **Przegląd** artykułów prawno-społecznej treści, pomieszczonych w czasopismach polskich—i

2) **Wykaz ogłoszeń** rządowych, dotyczących regulacyi spadków co do majątków i sum hipotekowanych, oraz pierwiastkowego zaprowadzenia hipoteki. Z uwagi na przepis art. 36 Ust. o post. rozm., w moc którego wszelkie ogłoszenia o otwarciu spadku drukują się w „Sienackich objawleniach" w Petersburgu, które to bardzo obszerne wydawnictwo nie jest rozpowszechnioném i zaledwie w magistraturach sądowych napotykać się daje; że odszukanie w niém wiadomości jest bardzo utrudnione i z powodu braku systemu i z powodu wielkiéj ilości ogłoszeń sądowych i administracyjnych z całego państwa; z uwagi na jawność hipoteczną i na interes, jaki każdy obywatel kraju, jako spadkobierca lub wierzyciel spadku ma lub mieć może w otrzymaniu takich wiadomości w czasie użytecznym, upłynienie którego, pociągając za sobą prekluzyę, może niekiedy spowodować nawet utratę praw, — Redakcya jest przekonaną, że mozolna ta dla prowadzenia rubryka informacyjna przez czytelników za szczególnie pożyteczną uznaną będzie.

### PRZEDPŁATA WYNOSI:

| | rocznie | półrocznie | kwartalnie |
|---|---|---|---|
| w Warszawie . . . . . . . | 6 rs. | 3 rs. | 1 rs. 50 kop. |
| w Królestwie i Cesarstwie . . | 8 rs. | 4 rs. | 2 rs. — |
| w Austryi . . . . . . . . | 15 gul. w. a. | $7\frac{1}{2}$ gul. w. a. | |
| w Prusach . . . . . . . | 27 mk. | $18\frac{1}{2}$ mk. | |

Prenumerować można w ekspedycyi głównéj „Gazety Sądowéj" (Księgarnia M. Orgelbranda w Warszawie naprzeciw Kopernika) oraz we wszystkich główniejszych księgarniach i w kantorach pism peryodycznych, oraz na poczcie.